

**Steve Perry, Stephani Perry**

# **OBCY: WOJNA SAMIC**

Tłumaczył  
Waldemar Pietraszek

Wydawnictwo "ORION"  
Kielce 1994

Tytuł oryginału  
ALIENS  
THE FEMALE WAR

All rights reserved.

Copyrights © 1993 by Twentieth Century Film Corporation.

Aliens TM © Twentieth Century Film Corporation.

Cover art copyrights © 1993 by Dave Dorman.

Redaktor techniczny

Artur Kmiecik

Wszystkie prawa zastrzeżone

For the Polish edition

Copyrights © by Wydawnictwo „ORION” Kielce

ISBN 83-86305-02-9

*Dianie;  
I Małemu Kwiatuskowi;  
Witaj w klubie;  
SCP*

*Moim przyjaciołom przyjaciołom wielbicielom,  
mojej Mamie i bratu,  
W szczególności zaś memu współpracownikowi, który  
Nauczył mnie wiele w sztuce tworzenia  
SDP.*

## ROZDZIAŁ 1

Ripley czuła zaciskające się kurczowo na jej szyi ramiona małej dziewczynki. Ponownie nacisnęła przycisk przy drzwiach windy.

Królowa była tuż za nimi. Czyżby miały tu umrzeć? Myśli przebiegały w jej głowie oszłamiającymi falami. Zaczęła naciskać guzik raz za razem. Wyglądało na to, że zginą tutaj w tym piekielnym, wilgotnym, sztucznym szybie na planecie, której znaczna część zamieniła się w pył podczas nuklearnej eksplozji.

– No, dalej, jedź! Podniosła wyżej dziewczynkę i obejrzała się przez ramię. Spojrzała w ciemność. Para wydobywała się z jakiejś pękniętej rury, dodając jeszcze gorących wyziewów do zgniłej atmosfery mrowiska obcych. Czuła, że tamta nadchodzi, prawie słyszała śpieszne kroki zbliżającej się matki; słyszała pomimo ryczących syren alarmu. Przecież właśnie zniszczyła jej dzieci, setki dzieci. Nie wątpiła, że teraz królowa pragnie zglądzić ją i małą dziewczynkę.

Popatrzyła w górę i zobaczyła, że dno windy obniża się powoli, ale ciągle jest jeszcze kilka poziomów wyżej. Teraz to tylko kwestia sekund...

Gdzieś z tyłu rozległ się zawodzący krzyk, krzyk nieludzki i pełen wściekłości. Ripley odruchowo mocniej ścisnęła broń i podbiegła do wbudowanej w ścianę drabiny. Może uda jej się złapać windę na wyższym poziomie.

– Trzymaj się mocno! – krzyknęła.

Królowa była tuż. Wyglądała jak inni obcy, lecz była znacznie większa, jakby napuchnięta.

Nosiła ogromną koronę, coś w rodzaju wielkiego czarnego grzebienia, który kołysał się w przód i w tył na potwornej głowie. Druga mniejsza para ramion, sterczała wyciągnięta w przód. Królowa poruszała się ku nim powoli, śliniąc się i sycząc.

Ripley cofnęła się. Dziewczynka naprężyła swe drobne, spocone rączki.

Winda! Wreszcie nadjechała! Ripley ruszyła biegiem.

Drzwi otworzyły się, wskoczyła do środka. Nacisnęła guzik w obłąkanym pośpiechu...

Królowa biegła w ich stronę... Drzwi zaczęły się zamykać... Jeszcze sekunda i potwór dostanie się do środka.

Ripley postawiła dziewczynkę i wycelowała miotacz płomieni w zbliżające się monstrum. Ogień przeleciał przez zmniejszający się otwór. Paliwo było na wyczerpaniu i tylko cienki słaby strumień płomieni wydostał się na zewnątrz, ale to wystarczyło, by powstrzymać obcego.

Królowa jakby zawarczała. Grube pasmo śliny pociekło z rozwartych szczęk. Cofnęła się.

Zewnętrzne drzwi windy zatrzasnęły się. Bezpieczne! Są bezpieczne!

Droga w górę była nieprzyjemna. Wybuchy targały całym budynkiem, na dach zbyt wolno poruszającej się windy zwały się kawały gruzu. Ciągle jednak jechała w stronę lądowiska na wierzchołku budowli.

Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, miły kobiecy głos poinformował, że pozostało im dwie minuty na znalezienie bezpiecznego schronienia. Potem cała przetwórnica przeniesie się do niebytu. Wybiegły razem z windy i...

Gdzie, u diabła jest ten statek?

Odleciał! Ich koło ratunkowe zniknęło. Ta cholerna maszyna, ten android, zdradził!

Ripley krzyknęła z wściekłości, potem przyciągnęła do siebie dziewczynkę. Płomienie były już wszędzie wokoło, budynek trząsł się, wydając najdziwniejsze odgłosy... Nagle jakiś nowy dźwięk. Ripley spojrzała w kierunku windy.

Nie! To nie może być to! Królowa nie umie obsługiwać dźwigu! Nie potrafi!

Ale jest sprytna – odezwał się cichy głosik w głowie kobiety – widziałas, jak zareagowała, gdy chciałas zniszczyć jej jaja. Widziałas, że z początku odesłała robotnice, trzymała je z dala od ciebie. Z początku.

Ripley spojrzała na swój karabin. Licznik wskazywał brak amunicji. Miotacz płomieni też był pusty. Rzuciła broń, chwyciła dziecko i zaczęła się cofać.

Winda zatrzymała się, drzwi powoli stanęły otworem. Ripley mocno przycisnęła do siebie dziewczynkę.

– Nie patrz, kochanie – powiedziała zamknawszy oczy.

– Ripley? W porządku? Ripley otworzyła oczy i popatrzyła na Billie – młodą kobietę siedzącą naprzeciwko. Wyglądała na zakłopotaną, a lekki grymas zmarszczył jej brwi. Ripley lubiła ją, polubiła ją od pierwszej chwili, od momentu, kiedy ją zobaczyła. Niezwykle. Zaufanie było w obecnych czasach czymś niespotykanym, przynajmniej dla niej. Lecz historia dzieciństwa Billie była tak podobna do jej własnej...

– Tak – odpowiedziała i westchnęła. – Przepraszam. Zaraz dojdę do siebie. Swoją drogą, ostatnia rzecz jaką pamiętam jest ułożenie się do snu po LU-426. Byłam tam ja, jeden z żołnierzy i cywil, oraz mała dziewczynka. Myślę... sędzę, że statek musiał odnieść w czasie drogi jakieś uszkodzenia. Nic więcej nie pamiętam. Obudziłam się w tłumie uchodźców na Ziemi sześć tygodni temu. Wszyscy byliśmy w drodze tutaj. Wydawało się to dobrym pomysłem – wszystko wokoło się waliło. Tak więc jestem tutaj tylko około miesiąca dłużej niż wy.

Billie pokiwała głową. – Co mówią lekarze o utracie pamięci? To fizyczne czy psychiczne uszkodzenie? – Nie byłam u lekarzy – powiedziała Ripley lekko się uśmiechając. – Poza tym, czuję się dobrze. Wstała i założyła ręce za głowę.

– Chcesz pójść ze mną na obiad? Gdy szły do stołówki, Billie przyglądała się starszej kobiecie. To właśnie ona była pierwszą osobą, przynajmniej pierwszą znaną osobą, która spotkała się z obcymi i przeżyła. Billie była zafascynowana sposobem bycia Ripley. Była zrelaksowana, spokojna, wyciszona. Wydawało się to niezwykle w połączeniu z tym, co przeszła. Zwłaszcza, że Billie miała własne doświadczenia z obcymi. Wiedziała, co to znaczy. Nawet po dwóch tygodniach tutaj wydawało jej się, że minęły już miliony lat.

Szły korytarzem w stronę najbliższej stołówki. Jedną ze ścian stanowiła przezroczysta płyta, przez którą widać było dwoje młodych trzymających się za ręce. Sądząc po identyfikatorach, oboje byli technikami medycznymi. Dalej Billie ujrzała panoramę prawie całej stacji. Długie rury przechodziły w sfery i sześciiany, jakby złożone z klocków przez gigantycznego dzieciaka. Wstrząsnął nią zimny dreszcz, gdy przechodziły obok jednego z włazów. Stację wykonano z grubego plastiku i tanich księżycowych metali; ciepło wtłaczane do korytarzy jednocześnie uciekało w niektórych miejscach na zewnątrz.

Oczywiste było, że najnowsze dobudówki były znacznie gorsze – nie osłonięty niczym plastik, obskurne pomieszczenia z nędznymi urządzeniami i słabym oświetleniem. Zostały pozlepiane razem, by przyjąć napływających z Ziemi uciekinierów. W tej chwili Orbitalna Stacja Wejściowa była schronieniem dla 17 000 ludzi, prawie dwukrotnej liczby jaką przewidziano na początku. Więcej miejsca już nie było. Jak powiedziała Ripley, wszystko zaczyna się walić.

Chociaż było jeszcze stosunkowo wcześnie, sala była zatłoczona. W południe przybył transport warzyw z hydroponicznych ogrodów, a wieści rozchodziły się tu szybko.

Billie i Ripley wzięły po małej surówce z marchewki i główce sałaty oraz jakieś sztuczne mięso. Usiadły przy jednym z małych stolików obok wyjścia. Mimo tłumów, było spokojnie – większość ludzi przebywających tu straciła przyjaciół i rodziny. Wszyscy wręcz wstydziła się śmiać lub beztrudnie spędzać czas. Billie to rozumiała.

Sama większość swego życia spędziła w różnych ośrodkach psychiatrycznych, próbując udowodnić lekarzom, że obcy naprawdę istnieją. Poważna atmosfera stacji nie była dla niej czymś niezwykłym, przeciwnie wydawała się znajoma. Oczywiście nie czuła się tu jak w domu, ale tak naprawdę nigdy go nie miała. Tu przynajmniej jej życiu nic nie zagraża. To było coś. Po podróży z Wilksem bezpieczna przystań wydawała się nierealnym snem.

Ripley wzięła mięsa do ust. Wykrzywiła twarz. – Smakuje jak ścinki izolacji.

Billie spróbowała i kiwnęła głową.

– Przynajmniej jest gorące – stwierdziła.

Jadły powoli, każda skoncentrowana na własnym daniu. – Więc śnisz o niej? O matce obcych? Billie spojrzała zaskoczona na Ripley.

Ta przyglądała jej się uważnie.

– Bo ja tak – powiedziała. – Przynajmniej tak było, zanim straciłam pamięć.

Uniosła do ust kolejny kęs jedzenia.

– Ja... ech. Tak, ja także. Słyszałam, że inni też mają sny... wyrzuciła z siebie Billie. Rzeczywiście słyszała opowiadania, w szczególności o fanatykach, którzy sny o obcych zamienili w



pewien rodzaj religii. Nazywali siebie Wybrańcami, którzy wiedzą, że Dzień Sądu już nadszedł. Usiłowała zachować spokój co do swoich snów, ale ostatnio...

– Mam je często – wyznała. – Prawie każdej nocy. Ripley pokiwała głową.

– To samo jest ze mną. Zaczynają się od wyznań miłości, a potem zamieniają w... Czuję w tym pewien związek. To są przekazy. Wiem, gdzie ona się znajduje, wiem, że chce przygarnąć wszystkie swoje dzieci. Królowa królowych, nadrzędna siła wszystkich cholernych potworów. Wiem, gdzie ją znaleźć !

Odsunęła gwałtownie talerz.

– I wiem jak ją zniszczyć – dodała.

– Czuję, że nie jestem jedyną , która śni, ale nie miałam czasu, by o tym myśleć. Tu w stacji nie ma możliwości zorganizowania sesji terapii grupowej.

Ripley uśmiechnęła się z gorzką ironią.

– Myślę, że wiem czego ona oczekuje i mam pewien pomysł. Musimy znaleźć więcej takich, którzy śnią o niej... co z Wilksem?

– Wiem, że ma sny – Billie wzruszyła ramionami – lecz nie sądzę, żeby to były takie same koszmary, jak nasze. Nie wiem za dużo. On o tym nie mówi. Możemy go przecież zapytać.

Rozejrzała się wokoło, chociaż wiedziała, że poszedł gdzieś popracować. Od dwóch tygodni, odkąd byli w stacji, Wilks spędzał większość czasu w sali gimnastycznej lub na innych, równie wyczerpujących zajęciach.

– Przypuszczam, że spotkam go później ,w barze.

– Chciałabym się dołączyć – zaproponowała Ripley – jeżeli... jeżeli nie będzie to wam przeszkadzało.

Wydawało się, że szczególnie starannie dobrała ostatnie słowa.

– Nie ma sprawy. Będzie nam miło.

Billie uśmiechnęła się, a Ripley odwzajemniła uśmiech. Billie poczuła, że coraz bardziej lubi tę kobietę.

Wilks trenował na rowerze przez więcej niż godzinę. Pot oblewał mu całe ciało. Patrzył na małego chłopca siedzącego w rogu. Głowę trzymał podpartą na rękach, a wzrok miał wlepiony w ekran przed sobą. Pedałowanie pod obciążeniem dziewiątego stopnia dawało się nieźle Wilksowi we znaki. Czy mógł widzieć tego chłopca wcześniej?

Sala, w której ćwiczył, była jedną z mniejszych w Stacji, ale wolał ją od innych. W dużych mogło pomieścić się nawet dwieście osób, a zbyt wielu ludzi pocących się w jednym miejscu nie miało dobrego wpływu na jakość powietrza. Poza tym nie lubił tłumów.

Dzieciak miał może dziesięć, może jedenaście lat, był szczupły, blady i miał ciemne włosy. Jego twarz wyrażała całkowitą obojętność. Patrzył w pustkę, podbródek oparł na kolanach. Coś w sylwetce chłopca przypominało Wilksowi jego samego z czasów, kiedy miał dziesięć lat. Może budowa ciała i ciemne włosy... może to zapatrzenie. Mógłby się do niego przyłączyć.

Wilks wychował się w małym miasteczku na Ziemi, na południu Stanów Zjednoczonych. Opiekowała się nim ciotka; matka umarła na raka piersi, kiedy miał pięć lat. Ojciec zostawił ich rok wcześniej. Ciotka Carrie była miła, ale nie poświęcała mu zbyt wiele czasu. Pracowała na nocnej zmianie w domu wypoczynkowym, co było mu raczej obojętne. Mały Davey Arthur Wilks miał co jeść i w co się ubrać. Tak ciotka pojmowała odpowiedzialność za losy chłopca.

Carrie Green nie rozumiała zbyt wiele w ogóle, a z pewnością nie rozumiała potrzeb małego chłopca.

Nie rozmawiali też zbyt wiele o rodzicach – matka była świętą, która nie zajmowała się niczym poza kochaniem Daveya, ojciec zaś nieobliczalnym skurwysynem, który nie robił nic poza własnymi interesami. Dawid, który nienawidził imienia Davey, nie był zbyt przekonany co do obu postaci. Prawie nie pamiętał ich obojga. Wiedział, że matka nie wróci już nigdy; ale często śnił o ojcu, który pewnego dnia zjawi się z uśmiechem na jego drodze i zabierze go gdzieś, gdzie będą razem mieszkać i bawić się. Jego Tatuś był przystojny, silny i sprytny, i nic od nikogo nie potrzebował.

Wydarzyło się to w dwa dni po jego jedenastych urodzinach. Dawid leżał na podłodze małego, zaniedbanego pokoju i czytał nowy komiks z Danno Kruisem. Danno był w trakcie rozprawiania się z naprawdę niebezpiecznymi facetami, kiedy chłopiec usłyszał pukanie. Ciotka Carne w sypialni „leczyła swe zmęczone oczy”, więc Dawid, spodziewając się domokrażcy, odezwał się zapraszająco.

W drzwiach stanął wysoki mężczyzna z zawiniętą w kolorowy papier paczką.

– Dawid? Twarz tego człowieka rozpaczliwie domagała się golenia, a

ubranie było stare i znoszone. – Tak, dlaczego... – Chłopiec cofnął się o krok. Nie znał tego dziwnego przybysza o jasnych błękitnych oczach...

– Aaa... tak... cześć. Wiedziałem, że są twoje urodziny i... wiesz... byłem w mieście. Dla ciebie.

Obcy wyciągnął paczkę w jego kierunku.

Dawid wziął ją i spojrzał na nieznajomego. – Kim pan jest?

– O, rany. – mężczyzna uśmiechnął się. – Mam na imię Ben. Jestem... byłem przyjacielem twojej mamy – Ben popatrzył na zegarek, potem znów na Dawida. – Szczęścia w dniu urodzin,

Davey. Słuchaj, muszę już lecieć. Mam spotkanie... Wiesz jak to jest.

Popatrzył na Dawida tak jakoś bezradnie.

Dawid przyglądał mu się. Nie mógł wykrztusić ani słowa. Jego ojciec miał na imię Ben. Ścisnął mocniej paczkę. Papier zatrzęszczał pod naciskiem. Ben!

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł. Dawid stał nieruchomo, dopóki nie zamknęły się drzwi. Usiłował sobie wmówić, że to nieprawda, że ten Ben nie jest jego tatusiem. Nie mógł być. Nie mógłby przecież przyjść tutaj, rzucić mu prezent i tak po prostu wyjść. Zostawić go. Nie mógłby tego zrobić.

– Davey?

Ciotka podniosła się z kanapy i podeszła do niego. – Czy ktoś tu był? Co ty tam masz?

Chłopiec spojrzał na nią i pokręcił głową. – To nic ważnego – powiedział.

Wrzucił prezent do błyszczącego pojemnika na popiół, który ciotka trzymała razem z antycznym piecem na drewno.

Wilks potrząsnął głową. Znów był w sali gimnastycznej Jezu. Niektóre z tych starych taśm pamięci były tak trudne do wymazania. Popatrzył na chłopca.

– Hej, chłopcze. Nie wyćwiczysz sobie żadnych mięśni, jeśli będziesz tak siedział na tyłku.

Malec spojrzał na niego niczym przestraszony ptak.

– Podejdź tu. Pokażę ci jak działa ta maszyna.

Nie było to wiele, ale przynajmniej tyle mógł chłopcu ofiarować. Nikt nigdy nie zrobił dla niego takiego gestu.

Uśmiech, który pojawił się na twarzy chłopca, wart był miliony. A przecież nic to Wilksa nie kosztowało.

## ROZDZIAŁ 2

Amy i starzec stali przed pokrytym odchodami obcych tunelem i odrzucali gruz. Wewnątrz panowały gęste ciemności.

Stary człowiek przeciągnął drżącą ręką po białych włosach i wsparł się dłonią o dziewczynkę. Amy podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Była ładna, pomimo szarawej skóry i zniszczonego ubrania. Jej nieco nerwowy uśmiech czynił ją jeszcze młodszą.

– Używają tuneli metra do poruszania się po mieście – powiedział mężczyzna, starając się mówić jak najciszej. – Wszystko jest na miejscu, ale zmienione.

Postąpili kilka kroków w głąb. Oświetlenie było słabe, a długie cienie poruszały się i tańczyły na ścianach w ciszy.

Starzec mówił dalej:

– To... to trudne do sprawdzenia, ale tunele wydają się łączyć w jednym centralnym punkcie, jak szprychy koła.

Ciemne, kleiste konstrukcje obcych otaczały ich ze wszystkich stron. Ściany były obwieszane ludzkimi szczątkami -szkielety wisiały przeważnie na wyciągniętych ramionach, a większość czaszek zwrócona była w lewo. Widocznie z prawej strony znajdowało się coś, co mogło być kiedyś powodem przerażenia.

Amy przysunęła się do starego człowieka.

– O ile tylko się nie mylę, potwory trzymają się jednego terytorium, a potem przechodzą do następnego. Nasz obóz jest niedaleko.

Położył drżącą dłoń na ramieniu dziewczynki.

– Obcy są o kilka kilometrów stąd, tak przynajmniej mi się wydaje, więc jesteśmy bezpieczni.

– Mam nadzieję, że tak jest – odezwała się Amy – ale nie wiem, czy możemy być całkiem spokojni. Mężczyzna kiwnął głową.

– Są jeszcze ci, którzy czują się spowinowaceni i polują dla obcych na powierzchni. Tu, na dole, możemy się ich nie obawiać.

Szli w głąb tunelu, a śmierć otaczała ich swym niesamowitym tchnieniem. Oboje ciężko dyszeli. Po minucie zatrzymali się, a starzec znów zaczął mówić belferskim tonem.

– Teraz jesteśmy już niedaleko od centrum, niedaleko osi tego diabelskiego koła. Dlatego jest tu więcej szczątków. Nie wolno nam iść ani o krok dalej.

Amy wstrząsnął przenikliwy dreszcz.

– Czy możemy już stąd iść, Wujaszku? To nie najlepiej wygląda.

Mężczyzna rozejrzał się wokół z obawą, a potem uśmiechnął się do dziecka.

– Dobrze. Chodźmy na wcześniejszy obiad. Zawrócili, a Wujaszek pozwolił Amy prowadzić.

– Wiesz, powinienem... – zaczął, gdy nagle z ciemnej ściany wychynęła dłoń i chwyciła go za kolano. Amy wyrwał się cienki, przenikliwy okrzyk. Starzec upadł.

W ciemności rozległ się inny głos.

– Cholera, o cholera!

W polu widzenia pojawił się biegnący młody człowiek.

– Paul! – ryknął stary człowiek. – Zabierz to, zabierz!

Paul podniósł w górę małą latarkę. Jedna z ofiar obcych wiisała na ścianie bliska śmierci. Tym razem była to kobieta, chociaż bardziej przypominała zwierzę. Jej oczy wypełniało szaleństwo. Trzymała mocno nogę starca.

– Wujaszku – szepnęła Amy, a pierś uniosła jej się w tłumionym szlochu. Po chwili zaczęła płakać.

Paul i starzec bili kobietę pięściami po ręce, ale ta nie zwalniała chwytu. Jej twarz była opuchnięta i prawie czarna. Paul spojrział w kierunku, z którego przed chwilą przyszła Amy z Wujaszkiem. Gdzieś tam, daleko, słychać było klekoczące dźwięki.

– Słuchajcie – wyszeptała kobieta krwawiącymi ustami. – Jestem matką...

Paul wstał z klęczek i kopnął ją w rękę. Nadgarstek pękł z trzaskiem i stary mężczyzna uwolniony z uchwytu odczołgał się od umierającej ofiary potworów. Zdawało się, że nic nie zauważyła, jakby w ogóle nie czuła bólu.

Starzec wstał, chwycił Amy za rękę i razem szybko oddalili się od oszalalej kobiety.

Ta zamknęła okropne oczy i wyszeptała zachrypniętym głosem:

– Szybko... umrzeć jak najszybciej.

Przerażenie malowało się na wszystkich twarzach ofiar, które mijali wracając do obozu. Ostatnie słowa szalonej dotarły do nich jak odległe echo.

– Paul? – odezwał się stary mężczyzna. Młody skinął głową.

– Zajmę się tym.

Wyciągnął zza pasa nóż. Promień mdłego światła błysnął na ostrzu. Zawrócił w głąb tunelu...

Obraz na ekranie znieruchomiał. Billie zacisnęła dłonie na brzegu fotela tak mocno, że gdy chciała po chwili wyprostować palce, kości głośno trzasnęły w stawach. Potrzęsała przez chwilę głową, nie zdając sobie sprawy, że to robi. Chciała strząsnąć z siebie cały ból Amy, swój ból...

Siedziała sama w głównej sali łączności Stacji. Technik poszedł właśnie na obiad.

– Nigdy więcej – szepnęła do siebie.

Czuła się jak mała dziewczynka. Jej dzieciństwo na Rim, ze wszystkimi ucieczkami i ukrywaniem się, jeszcze nigdy nie wydawało jej się bliższe niż teraz. Wszyscy odeszli, krzycząc z oddali przerażonym głosem ludzi przeznaczonych na zjedzenie przez obcych. Potok wspomnień uderzył w nią z całą mocą: kuciała w przewodzie wentylacyjnym, kiedy tłusty mężczyzna z krwawiącymi uszami wył ze strachu i bólu o kilka metrów od niej; odgłos strzałów w środku nocy; krew rozbryzgana po mrocznej sali; i ciągły strach, ciągła bezsilność i pewność, że w końcu zostanie odnaleziona przez potwory. Potem będzie zjedzona. Albo jeszcze gorzej.

Lecz Amy żyje! Jest kilka lat starsza i ciągle żyje.

Technik, starszy mężczyzna o nazwisku Boyd, wspomniawszy jej, że ciągle odbierają nieliczne przekazy z Ziemi.

– W większości jest to jakieś religijne gówno – mruknął drapiąc się za uchem.

– Żadnego przekazu od pewnej rodziny? – spytała wtedy Billie, nie spodziewając się usłyszeć niczego dobrego. To musiałby być cud...

– A, tak. Przychodzą na różnych kanałach, jak przypadkowe sygnały. Dziewczyna i jej wuj, jeszcze parę innych osób. Smutne.

Boyd wzruszył ramionami i poszedł jeść, ostrzegając ją, żeby niczego nie dotykała zanim nie wróci. Billie uświadomiła sobie, że stary technik jest pewny, iż nic już właściwie nie można dla tamtych uczynić. Z wyjątkiem... Ripley. Może jej plan, jaki by nie był, mógłby ocalić Amy. To samo dziecko, teraz już nieco starsze, widziała w starym przekazie, na który natknęli się w tej obłąkanej bazie wojskowej. Amy.

Billie wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je bardzo powoli. Zobaczyła siebie w obrazie tej małej dziewczynki na Ziemi. Zrobi wszystko, żeby ją uratować. Wszystko.



Billie spóźniła się kilka minut do Czterech Żagli, bez wątpienia najbardziej obskurnego baru w Stacji i oczywiście jedynego, do którego chodził Wilks. Knajpa była mała i mroczna. Pijacy i odurzeni chemikaliami osobnicy siedzieli przy okrągłych stołach otaczających maleńki bar przy ścianie. Zgodnie z programem wywieszonym na ścianie, miały się tu później odbywać tańce erotyczne. Pary i trójki tłoczyły się już na podwyższeniu, przygotowując się do występu.

Billie spostrzegła Ripley siedzącą przy stoliku stojącym w rogu. Przed nią na zachlapanym jakimś płynem blacie, stało kilka szklanek.

– Wilksa jeszcze nie ma – powiedziała Ripley i nalala bledo pomarańczowego płynu do jednej ze szklanek. – Napijesz się?

– Tak, dzięki.

Billie wzięła szklankę. Przelknęła połowę zawartości jeszcze zanim usiadła. Ripley uniosła brew.

– Ciężki dzień?

– Moja przeszłość mnie dopadła. Na Ziemi jest rodzina, która wysłała przekazy. Po raz pierwszy widziałam ich na planetoidzie Spearsa. W tej rodzinie jest mała dziewczynka, teraz ma może dwanaście, może trzynaście lat. Patrzenie na te przekazy... – przerwała i pociągnęła ze szklanki -jest bardzo przygnębiające.

– Czy to Amy?

Billie zaskoczona podniosła wzrok.

– Widziałam ją kilka dni temu. – wyjaśniła Ripley. – Znasz ją? Billie pokręciła przecząco głową

– Chociaż czuję, jakbym ją znała od dawna.

– Tak, rozumiem. Amy, tak miała na imię również moja córeczka.

Do baru wszedł Wilks, skinął barmanowi i podszedł do ich stolika.

– Przepraszam, spóźniłem się – powiedział. -Trenowałem. Myślę, że straciłem poczucie czasu.

Uśmiechnął się i usiadł. Nalał sobie trunku do szklanki.

Billie zauważyła, że był bardziej zrelaksowany niż zwykle, jego poznaczona bliznami twarz wydawała się być całkiem odprężona.

– Cześć, Ripley.

Ripley pochyliła się ku niemu.

– Potrzebujemy twojej pomocy, Wilks – powiedziała. – Nie ma sensu owijać w bawełnę, śnisz o obcych?

– To nie wszystkim się śnią?

– Nie w formie koszmarów – odezwała się spokojnie Billie. – Nie jako sygnały, przekazy. Wiadomości od matki obcych, przewodniczki królowych. Ona... ona jest gdzieś w ciemnym miejscu, w grocie lub czymś takim. I pragnie. Czeka. Nawołuje.

Billie przymknęła oczy.

– Zbliża się, a potem mówi. Mówi, że cię kocha i chce być z tobą. Wręcz czujesz, jak jej pragnienia płyną falami do ciebie...

Otworzyła oczy. Ripley kiwnęła głową, lecz wzrok Wilksa był pełen sceptycyzmu.

– Może coś zjadłaś...?

– Słuchaj, Wilks. Pamiętasz ten statek kierowany przez roboty? Pamiętasz sny, jakie tam miałam?

– Tak, pamiętam – kiwnął głową.

Wtedy Billie czuła instynktownie, że obcy są na statku, chociaż w żaden sposób nie mogła o tym wiedzieć. Jej sen uratował im życie.

– Więc czego ode mnie chcecie?

– Żebyś dowiedział się kto ma sny o matce obcych – powiedziała Ripley – Miałam je przez jakiś czas, ale potem urwały się. Jeżeli są one czymś w rodzaju transmisji, będziemy mogli je

wykorzystać. Musimy wiedzieć czy ktoś jeszcze śni w ten sposób. Musimy mieć pewność. Macie jakieś pomysły?

Wilks popatrzył w głąb szklanki.

– Może – mruknął. – Mogę popytać ludzi, których znam. Uważacie, że to coś da?

– Sama jeszcze nie wiem – stwierdziła Ripley. – Ale może coś z tego wyjdzie. Wilks wzruszył ramionami.

– Pieprzyć to, ale i tak nie ma tu zbyt wiele do roboty na tej cholernej skale upakowanej plastikiem. Do diabła, popytam tu i tam.

Wysączył trunek do dna i wstał.

– Spotkamy się jutro o 9.00 w pokoju konferencyjnym B2.

Ripley uśmiechnęła się do Billie i z ulgą wypuściła powietrze z płuc. Amy ciągle była na Ziemi w jakiejś kryjówce i prawdopodobnie nic nie można było dla niej uczynić. Ale można w końcu coś zacząć robić.

Salkę konferencyjną udostępniano właściwie tylko wojskowym, lecz była tak mała i tak rzadko używana, że Wilks nie miał kłopotu z uzyskaniem pozwolenia na wejście do niej. Billie i Ripley stały po jego bokach naprzeciw małego komputera. Naciskał klawisze i jednocześnie mówił:

– Ostatniego wieczoru spotkałem starą przyjaciółkę, Leslie Elliot. Zwykle wychodziła z facetem, którego szkoliłem, aż do chwili, gdy stwierdziła, że jej iloraz inteligencji jest wyższy o prawie 50 punktów. Jest bardzo dobrą włamywaczką komputerową, ale teraz robi tylko czarną robotę wprowadzania danych. Myślę, że nie odmówi nam pomocy... nawet się zadeklarowała. Czekajcie, to jest to.

Dane zaczęły przewijać się przez ekran. Nazwiska, daty, miejsca. Potem pojawiły się obrazy.

Quincy Gaunt, dr/ Obiekt: Nancy Zetter. Obraz był marnej jakości i przedstawiał dwoje ludzi siedzących w biurowym pokoju. Kobieta opowiadała:

– Potem podeszła do mnie i usłyszałam jej głos. Mówiła, że zaopiekuje się mną. Powiedziała: "Kocham cię".

Atrakcyjna, młoda kobieta potrząsnęła głową z obrzydzeniem.

– To, co mówiła, było okropne.

– Czy na tym się skończyło? – spytał lekarz, szczupły, młody mężczyzna o obojętnym wyrazie twarzy.

– Tak. Z wyjątkiem tego, że to wciąż trwa – powiedziała kobieta. – Ja co noc śnię...

Wilks przycisnął klawisz. Więcej nazwisk przesunęło się po ekranie, kolejne pokoje, kolejne osoby. Dobrze zbudowany, młody mężczyzna kręcił się niespokojnie w fotelu, a starszy od niego lekarz przyglądał mu się uważnie.

– To było jak... nie wiem... ona mnie pragnęła – wyrzucił z siebie młodzieniec.

– Seksualnie? Mężczyzna poczerwieniał.

– Nie, nie całkiem. Tak jakoś... cholera, nie wiem. Jakby była moją matką, czy kimś w tym rodzaju.

– Czy miewasz sny o swojej matce? – Lekarz pochylił się do przodu w oczekiwaniu.

Wilks ponownie nacisnął klawisz. Doktor Torchin rozmawiał z kobietą – porucznikiem Adcox.

– ...i odczułaś jakby wołanie, żebyś z nią została-zastanowił się lekarz. – Interesujące. Wilks dotykał delikatnie klawiatury.

– ...to jest powracający ciągłe sen...

– ...kocham mnie, pragnie...

– ...mówisz, że potwór prosi cię o znalezienie...

– ...chce, żebym znalazła dla niej...

– ...woła mnie...

Wilks wcisnął klawisz pauzy i popatrzył na stojące obok dwie kobiety.

– Ilu? – spytała Billie. Poczwała nagłą suchość w gardle.

– Nie jestem pewny, ale Les dotarła do danych z jednego tygodnia. Psychiatrów odwiedziło trzydzieści siedem osób.

– A jest jeszcze wielu, którzy nigdy nie pójda do psychiatriy – odezwała się Ripley. Umilkła zamyślona.

– Dobra robota, Wilks – powiedziała po chwili.

– Dokąd nas to, do diabła, zaprowadzi? – spytał Wilks i odchylił się w fotelu. – Co to wszystko oznacza?

– Że królowa matka pragnie swych dzieci – odpowiedziała Ripley. – Nie wiem, dlaczego tak jest, ale jest. Sygnały są przeznaczone dla nich. Robotnice nie są wystarczająco inteligentne by załadować się na statki i odlecieć do domu, ale gdybyśmy tak ją odnaleźli i przewieźli na Ziemię...

– Mogłyby odejść wraz z nią – powiedziała Billie.

– Ujmując to najprościej: ta królowa królowych jest w innym systemie gwiezdny, tak? Chryste, znaczy to, że przekazy odbywają się z prędkością większą niż prędkość światła. Jak, wśród jakichś pieprzonych woodoo.

– A jeżeli to prawda? – spytała Billie. – Co powiesz, jeżeli jakaś superkrólowa potrafi przekazywać na takie odległości? Pomyśl lepiej, co się stanie, gdy zjawi się tutaj.

– Pójda za nią jak lemingi – powiedziała Ripley. – Połączą się razem w wielkim pochodzie. Każde z nich.

Wilks nie miał najświetlejszego umysłu, ale błyskawicznie dostrzegł możliwości tego scenariusza. Kiedy się odezwał, jego głos był cichy, ale pełen przekonania:

– Moglibyśmy poczekać, aż się zbiorą do kupy, a potem przy pomocy ładunków nuklearnych wysłać je do diabła.

Popatrzył na ekran komputera, gdzie twarz pacjentki z ciemnymi obwódkami wokół oczu została zamrożona przez stop-

klatkę. Przyjemne marzenie, lecz wydawało się, że takim pozostanie. Cofnął się myślą do swego pierwszego kontaktu z obcymi, jakże dawno to było. Przesunęły mu się przed oczami wspomnienia przeszłości: uwolnienie Billie z ośrodka psychiatrycznego, nowe przejścia u jej boku, nowe wysiłki, by zniszczyć obcych, którzy im zagrażali – im i ludzkości. Główny cel znał, lecz Wilks był bardzo praktycznym człowiekiem.

– Skąd masz pewność, że tak się stanie? – spytał Ripley.

– Nie jestem pewna – pokręciła głową. – Przynajmniej nie w sposób, który dałby się wyjaśnić czy zmierzyć.

– Ale wierzysz, że wszystkie te psychiczne brednie znaczą dokładnie to, o czym tutaj mówimy? Oznacza to dla ciebie, że istnieje gdzieś jakaś supermamuśka, która mogłaby zmusić te wszystkie skurwysyny do opuszczenia Ziemi?

– Tak, w to właśnie wierzę.

Wilks ponownie wpatrzył się w ekran. Billie mogła coś powiedzieć o obcych na statku, który ukradli wspólnie z Buellerem. On też miał własne przeczucia, które uratowały mu niejednokrotnie dupę. Nie był zbyt religijny, nie wierzył też w różne brednie psychologów, nie musisz być chemikiem, by rozpalic ogień. Pragmatyzm był jego sposobem na życie i do diabła z teoretyzowaniem. Jeżeli Billie mogła widzieć we śnie prawdę, mogli to robić i inni. To ma jakiś sens.

– Dobra. Przypuśćmy, że ten scenariusz zacznie działać – odezwał się po chwili milczenia. – Warto by sprawdzić nieco więcej szczegółów. Jeżeli macie rację, to mamy w garści wielki młot, którego możemy użyć przeciwko tym dupkom. Chcę popracować z wami i przekonać się, dokąd nas to zaprowadzi. Idę porozmawiać z przyjaciółmi.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdę z tobą – zaproponowała Ripley. – Billie? Gdybyś mogła przekopać się przez te zbiory i wyciągnąć nazwiska personelu wojskowego...

Billie wyjęła z czytnika metalowy krążek z zapisem informacji i schowała go do kieszeni.

Ripley wyszczerzyła zęby w szerokim, szczerym uśmiechu.

– Świetnie. Nie spotkalibyśmy się wieczorem i porozmawiali o tym, co udało nam się znaleźć?

Billie poszła szybko do swojej kwatery. Jak to dobrze być znów w akcji. Poza tym wiadomość, że inni też mają koszarne sny, również poprawiła jej humor. Nie czuła się już tak osamotniona. Ta Ripley to silna kobieta, przywódczyni.

Skręciła za róg i niemal biegiem zbliżyła się do robototechnika naprawiającego panel oświetleniowy. Zatrzymała się na chwilę i uważnie przyjrzała robotowi. Była to prosta maszyna, przystosowana jedynie do kilku nieskomplikowanych zadań. Z grubsza ludzkiego kształtu, około dwóch metrów wysoka; krótko mówiąc – metalowa skrzynka na dwóch nogach i o dwóch rękach.

Robot w niczym nie przypominał androida, który łatwo mógł uchodzić za człowieka...

Billie nagle znalazła się na granicy płaczu. Mitch. Co też się z nim stało, jaki los spotkał jej sztucznego kochanka. Owładnęły nią mieszane uczucia: złość, że nie powiedział jej prawdy, obawa i wreszcie smutek. Była też żalność, którą po raz pierwszy odczuła, gdy zobaczyła go zreperowanego na planetoidzie Spearsa, kiedy ujrzała jego piękne ciało przytwierdzone do okropnych metalowych nóg. Wyglądały zupełnie jak kończyny robota, który teraz stał przed nią. Kiedy w końcu zrozumiała samą siebie, było już za późno – ona i Wilks byli już w przestrzeni kosmicznej, uciekli z bitwy, która rozgorzała na planetoidzie. Mitch na niej pozostał. Ostatni raz zobaczyła go podczas transmisji przekazanej na ich statek. Prawda była taka,

że czymkolwiek – kimkolwiek? – był Mitch, okazał się najlepszą osobą jaką kiedykolwiek znała. I na dodatek kochała go.

Cóż, to pieprzone życie było okrutnie niesprawiedliwe. Była to twarda rzeczywistość i Billie zbyt wiele razy się o tym przekonała, by teraz płakać. Spędź całe lata w szpitalu, a z pewnością nauczysz się podchodzić do życia bez zbędnych emocji.

Otarła łzy z twarzy. Płacz niczego przecież nie zmieni. W swych podróżach z Wilksem nauczyła się jeszcze jednego: najlepszą metodą działania, by sprawy szły jak należy, jest zajęcie się nimi samemu. Jeżeli chcesz kopnąć kogoś w dupę, najlepiej użyj własnych butów. Tak trzeba zajmować się własnymi sprawami. Siedzenie i narzekanie w niczym ci nie pomogą.

Ripley o tym wiedziała. Miała plan. Jaki on był, to nie miało znaczenia. Ważne, że istniał. A jeżeli istniała najmniejsza nawet szansa, że się powiedzie, Billie chciała przyłożyć swą rękę do zniszczenia obcych. Za to wszystko, co zrobili.

Chciała śmiać się nad ich grobem.



## ROZDZIAŁ 3

Ripley potarła skronie i lekko zmarszczyła czoło.

– Problemy? – szepnął Wilks.

Nie chciał przeszkadzać rozmową kobiecie, która siedziała przy komputerze kilka metrów od nich.

– Ból głowy – odpowiedziała. – Ostatnio często je miewam.

Jeszcze chwilę pomasowała skronie i rozejrzała się po małym pokoju. Gustowne malowidła i fotografie zdawały się nie pasować do taniego, plastikowego wykończenia tego mikroskopijnego pomieszczenia.

Technik, Leslie Elliot, zgodziła się im pomóc, wykorzystując na odszukanie potrzebnych informacji swą przerwę obiadową. Siedzieli właśnie w jej kwaterze i przyglądali się jak pracuje. Była to ładna, nieco zbyt mocno umięśniona kobieta o miłym uśmiechu i kasztanowych włosach, które nosiła splecione w mnóstwo cienkich warkoczyków. Ripley zastanawiała się, co łączyło ją z Wilksem...

– Może powinnaś powstrzymać go jakimiś prochami – powiedział Wilks, przerywając jej myśli.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Twój ból głowy.

– Aha. Nie. W porządku. Poza tym, nie biorę leków. Większość problemów staram się sama rozwiązywać.

Wilks chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie Leslie odwróciła się wraz z fotelem i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Jesteś moim dłużnikiem, sierzancie – powiedziała.

– Znalazłaś coś.

Uśmiech Leslie stał się jeszcze szerszy.

– Kopalnię złota, oto co znalazłam. Po prostu trzeba zadać właściwe pytanie. Poczekajcie sekundę. Musimy to zabezpieczyć tam, gdzie nikt się nie dostanie.

Ripley uśmiechnęła się do Wilksa.

– Może nie jesteś całkiem szalona – odezwał się sierżant.

Szli w stronę kwatery Ripley. Metaliczny zapach powietrza wydawał się szczególnie intensywny w tym właśnie korytarzu. Był tak mocny, że mógłby być właściwie smakiem.

Wilks myślał o rozmowie, jaką przeprowadzili z Les.

– Tylko niektórzy ze śniących odznaczają się ścisłymi umysłami – powiedziała Leslie – No, wiecie, matematyczne głowy z bardziej rozwiniętą lewą półkulą. Faceci tacy jak ty, sierżancie, bez wybujałej wyobraźni.

– Pieprzyć cię.

– Wiem, że chciałbyś. Hmm, wróćmy do sprawy. Możemy zatem uściślić dane przy kreśleniu naszej mapy. Gdybyście powiedzieli mi, czego szukaliście ostatniej nocy, zaoszczędziłoby to wam wiele pracy.

– Faktycznie – stwierdziła Ripley – szybciej to znajdziemy, gdy popracujemy razem.

Jednak w końcu mieli nazwiska ludzi, którzy potrafili opisać planetę obcych. Zaledwie sześć osób. Podane przez nich szczegóły nie były precyzyjne, ale Leslie miała mapy znanych systemów i zdołała określić kilka możliwych lokalizacji. Ripley twierdziła, że mogliby uściślić położenie, gdyby udało im się porozmawiać z wybraną szóstką.

Ten telepatyczno-empatyczny chaos wydawał się być kuglarską sztuczką, ale musieli się przez to przedrzeć. Wilks ciągle chciał wziąć udział w akcji, jeżeli tylko do niej dojdzie. Niesamowite, lecz to było to.

– Myślałem, że roznieśliśmy tę planetę w pył, że zniknęła z przestrzeni – powiedział Wilks. – Spuściłem na nią połączone ze sobą ładunki jądrowe, które powinny przynajmniej wysterylizować tę pieprzoną planetę.

– Nieważne – stwierdziła Ripley – One rozmnażają się gdziekolwiek się znajdują, a opanowana planeta jest opanowaną planetą.

– No, tak. Ale ta jedna, gdziekolwiek jest, wydaje się być jądrem wszystkiego. Ciekawe jak wiele miejsc jest zarażonych...

Wilks przypomniał sobie rozmowę ze starym żołnierzem w barze. Sapnął cicho.

– Co jest? – spytała Ripley.

– Cóż. Kilka dni po przybyciu tu razem z Billie, spotkałem w barze starego i bardzo pijanego człowieka. Nazywał się Crane. Był kiedyś żołnierzem. Chciał kupić za drinka jakikolwiek mundur. Bełkotał o wojennej chwale, martwych żołnierzach i takie tam brednie. Nie zwracałem na to większej uwagi, dopóki nie zaczął mówić o obcych. Nazwał je zabawkami wojny. Powiedział, że są zbyt doskonale by być naturalne.

Ripley spojrzała na Wilks z nagłym zainteresowaniem.

– Interesujące – powiedziała. – Możliwość szybkiej reprodukcji, krew w formie kwasu, odporne na próżnię. Gdyby były sztucznym tworem, wyjaśniałoby to wiele zagadek.

Wilks skinął głową.

– Warto o tym pomyśleć. Oczywiście pojawiają się kolejne, gorsze pytania: Kto zaprojektował te pieprzone potwory? Dlaczego? Jakie są zamiary tego artysty?

Zatrzymali się przed drzwiami pokoju Ripley.

– Złapię was później, ciebie i Billie. Mam parę rzeczy do sprawdzenia.

Ripley zamknęła drzwi i pomyślała o teorii, jaką zbudował Wilks na podstawie jednego zdania starego pijaka. Wojenne zabawki? Co za pomyłony gatunek mógł stworzyć taki projekt, do jakiej wojny prowadziły te przygotowania?

Wrócił jej ból głowy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę.

Billie weszła i rozejrzała się po gołych ścianach pokoju: surowy i praktyczny, jak jego mieszkanka, która właśnie podniosła wzrok znad klawiatury. Wyglądała na zmęczoną.

– Cześć, Billie – powiedziała. – Masz coś?

– Osiemnastkę wojskowych, około połowy z doświadczeniem w walkach – odpowiedziała.

Pochyliła się i oparła o stolik. Sama też była bardzo zmęczona.

– Dobrze. Wilks i ja dostaliśmy trochę danych od jego przyjaciółki-włamywa- czki. Możemy więc zaczynać. Pewne podstawowe informacje musimy jeszcze sprawdzić, a potem zdobyć transport. Im szybciej, tym lepiej.

Billie uśmiechnęła się na tę niewzruszoną pewnością siebie, bijącą ze słów Ripley. To musi być wspaniałe uczucie, tak panować nad sobą.

– Nie pytam z czystej ciekawości – odezwała się – ale na jaki pomysł wpadliście?

Ripley wstała z fotela i nagle wyraz jej twarzy się zmienił. Był wyraźnie oznaką strapienia.

– Pamiętasz, mówiłam ci, że miałam córkę?

Billie skinęła głową. |

– Miała na imię Amanda. Miała niewiele lat, kiedy zaczęłam pracować na Nostromo. Obiecałam, że wrócę na jej urodziny. Nie zrobiłam tego.

Billie znów kiwnęła głową. Wiedziała, co się stało. Ripley spędziła całe dziesięciolecie w głębokim uśpieniu – było o tym w starych zapisach i każdy je znał. Szczęśliwym trafem znaleziono ją, kiedy dryfowała w śmiertelnej pustce. Billie była ciekawa jak to jest, gdy zostawia się dziecko, a po powrocie okazuje się, że to maleństwo zmarło właśnie jako stara kobieta. Cóрка starsza niż babka. Okropność.

– Lecąc tutaj mnóstwo myślałam o niej, o jej całym życiu, które przemknęło, podczas gdy ja spałam. Spałam i śniłam o innej matce, która chce, by jej dzieci do niej wróciły.

Ripley pokręciła głową i uśmiechnęła się nagle, choć w jej twarzy nie było wesołości.

– Dziwne porównanie. Ja i ten potworny stwór pragniemy właściwie tego samego.

Billie wiedziała, że musi coś zrobić, jakiś gest, cokolwiek. Z wahaniem wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Ripley.

– Przykro mi – powiedziała.

– Nie ma sprawy – Ripley cofnęła rękę nie przyjmując współczucia. – Po prostu, kochałam moją córeczkę i straciłam ją. Winna tego jest ta... ta rzecz. To ona mi ją zabrała.

Popatrzyła na Billie wzrokiem pełnym złości.

– Mój pomysł nie wziął się z chęci uratowania kogokolwiek, nie z wielkiej miłości do ludzi. Ja zwyczajnie nienawidzę jej i jej pieprzonego potomstwa i chcę zniszczyć je wszystkie.

Wciągnęła głęboko powietrze i spuściła wzrok. Wzruszyła ramionami.

– Dość historii. Mamy wiele do zrobienia.

Billie ciekawa była, ile lat miało dziecko. Może było w wieku Amy? Coś wspólnego tkwiło w całej ich trójce: Ripley, Billie, królowej obcych. Pragnęły powrotu swych dzieci... Nie,

Amy nie była jej córką. To tylko twarz na ekranie monitora. Och, nie wolno jej myśleć w ten sposób.

Billie przesunęła fotel na drugą stronę stołu i usiadła obok Ripley. Będzie jeszcze czas na zastanawianie się nad motywami działania. Teraz – tu Ripley znów miała rację – miały dużo pracy. Po dwóch tygodniach włóczenia się po bazie, nie wydawało się to złym pomysłem. Jakiegokolwiek działanie zawsze było dla niej lepsze niż nie robienie niczego.

## ROZDZIAŁ 4

Sierżant Kegan Bako był dziesięć lat młodszy od Wilksa, a wyglądał na jeszcze młodszego. Miał dziecięcą twarz i jasną karnację. Wilks zastanawiał się czy musi golić się codziennie by utrzymać twarz zgodną z wojskowymi standardami.

Dwaj mężczyźni w biurze Bako siedzieli przedzieleni biurkiem, którego powierzchnie pokrywały papierki po cukierkach i plastikowe torebki po jedzeniu. Mały pokój był duszny, a w powietrzu unosił się zapach sosu sojowego.

– Jesteś pewny, że nie chcesz nic z tych drobiazgów? To lepsze niż gówno w stołówce.

Bako manewrował koło ust bambusowymi pałeczkami. Co najmniej połowa smażonego makaronu wyslizgiwała się pomiędzy nich.

– Dziękuję, właśnie zjadłem trochę stołówkowego gówna.

– Niedobrze. Co cię tu sprowadza? Nie mów, że chcesz rewanżu.

– Dlaczego nie, w ostatnim tygodniu się zbytnio nie prze-męczałeś.

Wilks spotkał tego młodego człowieka w sali gimnastycznej, szukał partnera do gry w piłkę. Zagrali ze sobą kilka razy i chociaż Bako jak dotąd nie wygrał ani razu, to był niezłym zawodnikiem i okazał się dobrym kumplem.

– Tak naprawdę, to chcę coś sprawdzić. Z kim mam rozmawiać na temat transportu?

Bako przełknął porcję klusek i uśmiechnął się szeroko.

– Dobry Boże. Żartujesz, prawda?

– Załóżmy, że chciałbym przewieźć eee... broń, która może zniszczyć wszystkie potwory na Ziemi. Czy wtedy dostalbyśmy statek?

– Jaką broń?

– Hipotetyczną.

Bako zabębnił pałeczkami o blat biurka.

– Cóż, przede wszystkim musiałbyś udowodnić wartość tej broni, a nie tworzyć hipotez na jej temat. Pokazać to generałowi Petersowi, a może Davisonowi, uzyskać ich zgodę i znaleźć ochotników do załogi. Na koniec wypełnić parę formularzy.

Bako nabrał następną porcję makaronu.

– Powinienem ci też powiedzieć, że będziesz musiał mieć diabelnie dużo czasu, nawet mając mocne poparcie.

– Dlaczego?

– W ciągu ostatnich czterech miesięcy były trzy próby dostania się na Ziemię i z Ziemi. Trzy oficjalne próby, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Wilks kiwnął głową. Oznaczało to, że w innych czasach nikt nie chciałby o tym rozmawiać.

– Pierwszy statek wrócił z tuzinem nowych cywilów, ale czwórka komandosów była martwa lub zaginęła, tak samo jak ośmioosobowa załoga. Z drugiego straciliśmy niemal wszystkich ludzi i organizowaliśmy dodatkową wyprawę by uratować, tych co przeżyli.

– A trzeci?

– Nie wrócił. Wygląda na to, że obcy skądś wiedzą, że nadlatuje statek i czekają na niego. A my nie możemy sobie pozwolić na utracenie nawet drobnego sprzętu. Miejscowe wytwórnie nie są tym, czym były kiedyś. Niektóre ze statków są tutaj, większość daleko stąd i nikt nie wie, gdzie.

Bako położył pałeczki na blacie i popatrzył na Wilksa.



– Planowana jest kolejna misja. Wiesz że te dęciaki nie lubią być kopane w dupę, chociaż nie ode mnie to usłyszałeś, rozumiesz? Moje zdanie jest takie: przeznaczanie statku dla ratowania czegokolwiek nie ma obecnie najwyższego priorytetu. Nawet całkowity rupieć ma teraz cenę wyższą niż diamenty.

A Wilks chciał mieć w pełni wyposażony statek gwiazdny, który mógłby polecieć, Bóg wie dokąd poprzez galaktykę i umożliwić im porwanie matki wszystkich obcych. Mówiąc hipotetycznie.

Kiwnął głową i wstał. Uśmiechnął się do sierżanta o dziecięcej twarzy.

– Dzięki, Niemowlaku. Pomogłeś mi trochę.

– Nie nazywaj mnie tak. Kort C, jutro o ósmej?

– Pewnie. Zwiążę sobie ręce za plecami, żebyś w końcu wygrał.

Bako wybuchnął głośnym śmiechem, kiedy Wilks był już przy wyjściu, ale umilkł natychmiast, gdy tylko drzwi się zamknęły.

Dla Wilksa informacje Bako nie były żadną rewelacją. Gdyby chodziło tylko o niego, po prostu włamałby się w odpowiednie miejsce i zabrał statek. Robił już tak i wiedział od czego zacząć. Ale nie był teraz sam. Kto inny dowodził. Ripley chciała spróbować zorganizować wszystko legalnie, a on zrobił już co tylko mógł. Jeżeli generał nie zacznie śnić o superkrólowej, wszelkie wysiłki będą diabła warte.

Drzwi otworzyła Charlene Adcox ubrana w bladezielone kimono luźno przewiązane w pasie. Była niska i prawie chłopięcą szczupłą. Gładko uczesane włosy i ostre rysy twarzy przydawały jej jeszcze męskiego wyglądu. Billie poczuła zapach perfum. Był lekki, kwiatowy.

– Pani Adcox?

– Tak.

– Nazywam się Billie. Czy mogłybyśmy przez chwilę porozmawiać?

– O czym? – Adcox uśmiechnęła się uprzejmie.

Billie wzięła głęboki oddech.

– O pani snach – powiedziała.

Kobieta stężała, potem ruszyła w głąb pokoju. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Billie weszła. Pomieszczenie było większe niż jej własna klitka. Na ścianach wisiały japońskie grafiki, wokół stały proste meble. Adcox podsunęła Billie matę do siedzenia, sama usiadła naprzeciw na małym, niskim stołeczku.

– Jak zdobyłaś moje nazwisko?

Billie zawahała się. Zbiory badań psychiatrycznych były poufne, ale kłamstwo mogło szybko wyjść na jaw.

– Inni też mają takie same koszmary – powiedziała – Właściliśmy się do zbiorów. Kobieta kiwnęła głową.

– W porządku.

Młoda pani porucznik wydawała się teraz bardziej odprężona. Billie to rozumiała.

– Ilu? – spytała Adcox.

– Nie potrafimy dokładnie określić. Co najmniej pięćdziesięcioro. Zawsze śnią to samo. Sądzymy, że są to przekazy, nie sny. Obcy są telepatami, lub coś w tym rodzaju. To nie może być przypadek.

Adcox zdobyła się na słaby uśmiech.

– Tak, rzeczywiście na to wygląda. Czego chcecie ode mnie?

Billie wyciągnęła krążek informacyjny z kieszeni.

– Może mi pani powiedzieć, gdzie ona się znajduje – powiedziała. – Jest tutaj wiele opisów możliwych miejsc. Tylko kilka z nich wydają się odpowiadać temu, co przedstawiają sny.

Pani jest jedną z osób, które to widziały. Proszę zrozumieć, chcemy ją odszukać.

Adcox zeszywniała.

– Żeby ją zabić?

– Tak. Ją i jej dzieci.

Kobieta pochyliła się i wyjęła krążek z rąk Billie.

– Mów mi Char – powiedziała z uśmiechem.

Ripley owinęła ręcznik wokół szyi i naga padła na łóżko. Wyciągnęła swe długie ciało na materacu, założyła ręce za głowę, a nogi rozłożyła swobodnie. Spotkanie z Johnem Chinem poszło dobrze. Był architektem, jednym z tych śniących "o ścisłym umyśle". Zgodził się przejrzeć jej mapę. Nie był to typ wojownika i osobiście wątpiła, żeby zdecydował się wyruszyć z nimi, kiedy przyjdzie czas. Pomyślała jednak, że wystarczająco wielu żołnierzy zgodzi się zaryzykować...

Zamknęła oczy. Nie chciało jej się spać, gorący prysznic otworzył w jej mózgu szufladkę medytacji. Ciekawe, jak poszło Billie z porucznik Adcox... ile lat ma Billie? Dwadzieścia trzy, prawda?

W październiku, w roku, kiedy ukończyła dwadzieścia trzy lata, urodziła piękną, pulchną, maleńką dziewczynkę Amandę Tei. Amy...

Ripley pozwoliła ponieść się wspomnieniom.

– Ciiii, Amando. Moja mała, słodka Amando.

Powtarzała słowa raz za razem jak delikatną, usypiającą mantrę. Jak kołysankę dla noworodka, którego trzymała w ramionach. Szpitalny pokój był oświetlony przyćmionym światłem, a całe wnętrze pomalowano delikatnymi, pastelowymi kolorami. Maleństwo jeszcze nie widziało swego ojca i nigdy go nie zobaczy. Ripley poczęła swe dziecko w klinice, co było

bezpieczniejsze i wygodniejsze przy jej samotnym trybie życia. A teraz została mamusią...

Kiedy pielęgniarka włożyła jej maleńkie dziecko w ramiona, rozplakała się. Było takie piękne, takie spokojne i małe! Maleńkie paluszki i paznokcie, malutka główka z jedwabistymi, ciemnymi włoskami.

Poród miała ciężki i długi, ale warto było.

– Ciii, moje dzieciątko, moja słodka Amando – szeptała.

Zastanawiało ją, w jaki sposób może przekazać swej córeczce, że kochają tak bardzo, że kochają miłością zdolną przenosić góry...

Nagle tuż przed nią pojawiła się męska twarz, pomarszczona, mroczna. Zobaczyła wyciągnięte ku niej ręce...

\* \* \*

Ripley krzyknęła i z szeroko otwartymi oczami usiadła na łóżku. Okryła się ręcznikiem i rozejrzała po pokoju. Nikogo. Ale ta twarz... To był...

Męskie oblicze tkwiło w jej głowie, w jej śnie na jawie. I był to...

– Bishop?

Potrząsnęła głową. Android, jeden z żołnierzy; dziesiątki lat po urodzeniu córki, długo po tym, gdy nie wróciła na urodziny Amandy.

Skąd to się wzięło? Bishop... Nie myślała o nim od długiego już czasu. Ostatni raz... kiedy właściwie widziała go ostatni raz...?

Nie zbyt dobrze. Jej wędrówki w czasie dziwacznie się splatają. Może wszystko jest w jakiś sposób powiązane. Westchnęła, zakłopotana i sfrustrowana niemożnością poznania własnego umysłu. Może mimo wszystko jest zmęczona... Wstała i sięgnęła po ubranie. Nie chciała dłużej być naga.

## ROZDZIAŁ 5

Wilks zapukał do drzwi Leslie małą butelką burbona, którą właśnie kupił.

– Chwileczkę!

Usłyszał stłumione odgłosy zbliżających się do drzwi kroków, potem odgłos padającego ciała.

– Cholera!

Po chwili drzwi się otworzyły. Leslie z zaczerwienioną twarzą pocierała prawe kolano. Tuż za nią leżało przewrócone krzesło.

– Wilks, ty dupku – powiedziała Leslie.

Miała na sobie obszerny czarny szlafrok, a na głowie turban z ręcznika. Na jej smagłej skórze perlił się pot. Mimo słów, jakie przed chwilą powiedziała, była uśmiechnięta.

– To dla mnie? – spytała.

– Jeżeli jesteś zajęta...

– To zależy.

– Chciałem ci podziękować za pomoc. Pomyślałem, że moglibyśmy się napić, jeżeli tylko nie masz innych...

Leslie uśmiechnęła się do Wilksa i cofnęła od drzwi.

– Zawsze byłeś niezwykle subtelny – powiedziała miękko.

– Wejdz, Dawidzie.

Billie siedziała w niewygodnym plastikowym krześle i oglądała obraz zrujnowanej Ziemi. Słyszać było trzaski i gwizdy i dziewczyna zastanawiała się, jak to jest możliwe, by tak stare przekazy były jeszcze nadawane. Od dawna nie reklamowały się żadne firmy, czasem pojawiał się jakiś dokumentalny program, czasem film fabularny. Programy nadawane były w najróżniejszych językach. Billie od czasu do czasu naciskała

jakiś klawisz, szukając czegoś rzeczywistego, czegoś z bieżących wydarzeń.

Czegoś takiego jak Amy.

Obraz zatrzymał się, a potem ekran stał się czarny. Nagle ukazała się męska twarz – średni wiek, brutalne przystojne oblicze, ostry nos i mocne szczęki oraz mroczne, przenikliwe oczy. Usta mężczyzny były mocno zaciśnięte, tak mocno, że w ich kącikach pojawiły się głębokie bruzdy. Nieruchome spojrzenie tego człowieka utkwione było prosto w kamerę.

Coś było takiego w tej twarzy, co przypominało...?

– Oto jest wyznanie wiary – powiedział człowiek z ekranu

– w nowego Chrystusa i w moc, którą Ona posiadała.

Głos miał głęboki i zniewalający.

"Spears – pomyślała Billie – jak Spears."

Kamera odjechała w tył i ukazała mężczyznę stojącego na małym podwyższeniu w niewielkim, słabo oświetlonym studio. Był wysoki i nosił obcisły kombinezon, który podkreślał jego wyrobione mięśnie ramion i klatki piersiowej. U pasa zawieszony miał długi sztylet.

– Jestem Carter Dane – powiedział – i widzę Prawdę.

Billie usłyszała pomruk aprobaty pochodzący spoza pola widzenia obiektywu kamery.

– Moc leży w moich dłoniach. Bogini pokazała mi właściwą drogę.

Zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Bogini nie sieje strachu. Bogini nie przeraża. Jesteśmy jej dziećmi, a Ona jest naszą matką. Nie jesteśmy jej godni.

Pomruk stał się głośniejszy.

Dane mówił coraz potężniejszym głosem.

– Kiedy rozpoczęło się oczyszczenie, byłem pełen obaw.

Krzyczałem ze strachu, litowałem się nad sobą. Bałem się o własne życie i życie otaczającej mnie powszechnej słabości.

Przerwał na chwilę. Wyglądało to na celowy zabieg mający zwiększyć dramatyzm wypowiedzianych słów.

– Jestem wart nie więcej niż kupa łajna.

– O, tak – rozległ się ryk niewidocznego audytorium.

– Bezżyteczny i obezwładniający strach nappełnił mnie pustką. Nie pozwalał działać. Byłem przez niego przywalony, jakby zwałił się na mnie mur.

Przystanął i odwrócił się do słuchaczy.

– Ona przemówiła do mnie. Prosiła mnie o pomoc. Bogini, Stwórczyni tak nieprawdopodobnej potęgi prosiła mnie, niegodnego kalekę. Tak samo prosi wszystkich Wybrańców. I stałem się silny. Nauczyłem się Jej miłości. Zrozumiałem, że śmierć jest niczym! Jest gównem! Jest strachem!

Billie siedziała wpatrując się w ekran. Stwierdziła, że nie może się poruszyć, nie potrafi nacisnąć odpowiedniego klawisza.

"Kolejny śniący, na dodatek kompletnie szalony" – pomyślała.

Dane usunął się w bok i na ekranie pojawiła się potężna kobieta w zniszczonym wojskowym mundurze. Prowadziła za sobą młodego mężczyznę. Ręce miał związane na plecach, a jego powolne kroki sugerowały, że jest całkowicie odurzony chemicznymi środkami. Kobieta w mundurze pchnęła go na podłogę obok Dane'a i odeszła w cień. Chłopak wyglądał na nastolatka, był szczupły, ubrany w poszarpane i brudne łachy. Leżał na boku z zamkniętymi oczami.

Dane wskazał na więźnia, lecz wzrok miał ciągle utkwiony w słuchaczach.

– To – powiedział – jest człowieczeństwo. Słabość. Obawa. On nie jest wystarczająco mocny, by stać się dawcą boskiego życia. Nie jest tego godny, w przeciwieństwie do was, którzy stoicie przede mną.

Dane szerokim gestem wskazał na tłum, a potem położył dłoń na biodrze. Palce objęły rękojęść sztyletu.

Wyciągnął go powoli i podniósł w górę.

– Stare człowieczeństwo już się przeżyło.

Ukląkł obok chłopca. Młodzieniec nie okazał najmniejszym ruchem, że słyszał przemowę. Nie poruszył się też, gdy Dane bez widocznego wysiłku wbił ostrze głęboko w jego gardło. Krew rozprysnęła się po całej platformie.

Młody mężczyzna otworzył oczy, potem usta. Wydawało się, że chce coś powiedzieć. Okropny, bulgoczący charkot wydostał się z jego krtani, a twarz wykrzywiła w grymasie zaskoczenia i bólu. Przewrócił się na plecy, oczy wypełniało przerażenie. Coraz więcej krwi wypływało z rany i pokrywało oślizłą warstwą jego ciemne włosy i białą skórę. W końcu szczupłe ciało zadrżało śmiertelnym spazmem. Oczy pozostały otwarte.

Dane przyłożył ostrze sztyletu do czoła swej ofiary i powiódł nim w dół, poprzez mostek aż do krocza, tnąc głęboko.

Odwrócił twarz do słuchaczy i krzyknął z dzikim grymasem na ustach: – Chodźcie i pożywiajcie się! Jedzcie ciało! Spożywając stary porządek świata, zjednoczycie się z Boginią!

Rzucił sztylet na podłogę i jedną z zakrwawionych dłoni zanurzył we wnętrznościach martwego chłopca, potem podniósł ją do ust. Ciemne postaci wychyły na podium. Obdarte kobiety i brudni mężczyźni rzucili się na ciało. Było ich z tuzin, może więcej. Oszalałe twarze, głośny śmiech, wyciągnięte ręce...

Dane wstał i zaczął deklamować z patosem. Z ust ściekała mu świeża krew. Głos miał zachrypnięty.

– Jesteśmy Wybrańcami! Stajemy się Nimi! Będziemy...

Billie konwulsyjnie nacisnęła właściwy klawisz i przerwała ponure widowisko. Ekran zgasł, po chwili usłyszała tekst komercyjnej reklamy. Wzdrygnęła się. Spostrzegła nagle, że stoi



i bije pięściami w fotel. Uciekała w ten sposób przed szaleństwem. Po chwili przycisnęła obie pięści do ust i pobiegła do kosza na śmieci stojącego w kącie pokoju. Zwymiotowała. Po kilku sekundach zwymiotowała powtórnie. I jeszcze raz.

Powoli wracała do rzeczywistości. Jej spazmy przeszły powoli w drzenie ciała. Oddychała gwałtownym krótkim oddechem.

– Uspokój się – powiedziała cicho do siebie. – Przestań. Uspokój się!

Przetarła załzawione oczy. Sny musiały być zbyt ciężkie do zniesienia dla tych ludzi, którzy widzieli walący się świat, którzy widzieli ich ginące rodziny. Ona jest inna. Tamci byli chorzy, ośpiali, a ona jest tutaj i może coś zmienić.

– W porządku – powiedziała sobie i wyprostowała się. Kwaśny zapach wymiotów wydobywał się z kosza i skażał powietrze w całym pomieszczeniu. Billie poczuła nagłą wściekłość. Ta królowa i jej cholerne transmisje doprowadziły tych ludzi do szaleństwa. Wywołały niepowstrzymaną falę zabójstw...

Wstrząsnął nią dreszcz, gdy ocierała usta wierzchem trzęsącej się dłoni. Wciągnęła głęboko powietrze. Wiedziała, że twarz umierającego chłopca będzie do niej powracać. Cóż, tego nie zmienić. Teraz musi się skoncentrować na tym, co zmienić może.

Wilks delikatnie zamknął dłoń na jednej z jędrnych, małych piersi Leslie. Przeciągnęła się z rozkoszy i własną dłoń położyła na jego. Uśmiechnęła się. Leżeli nadzy wśród pomiętych, przepoconych prześcieradeł. W powietrzu unosił się zapach ich niedawnego aktu. Wilks podparł się na łokciu. Czuł się odprężony i spokojny. Leslie była dobrą kochanką, biegłą we wszelkich pieśczołach, lecz bez chęci dominowania.

– Mmm – zamruczała cicho i otworzyła oczy. – Nieźle, sierżancie. Powinieneś zostać awansowany.

Wilks uśmiechnął się szeroko.

– Pewnie. Myślę, że jestem dobry w musztrowaniu. Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa...

Leslie zrobiła zdziwioną minę.

– Ej że, twój żart jest dwuznaczny.

– Co? No tak, jestem dowcipnisiem.

– Choleera.

Leżeli przez chwilę bez słowa, zajęci własnymi myślami. Wilks przypomniał sobie swą niedawną rozmowę z Bako. Sprawa istnienia królowej matki nie zawładnęła bez reszty jego umysłem, więc udowodnienie tego komuś, kto nie znał Billie – konkretnie generałowi – mogłoby przerosnąć możliwości ich małej grupki.

– Dokąd się wybieracie, Dawidzie?

– Hmm?

– Do królowej ze snów. Pójdziecie tam, niezależnie gdzie to jest. Żeby ją schwytać.

Było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Nie wiem – powiedział szczerze. – Wszystko ciągle stoi pod znakiem zapytania. Oficjalna droga jest nie do przejścia.

Potrząsnął głową.

– Nawet jeszcze nie wiemy, gdzie ona jest. Zapytaj mnie, gdy będę wiedział więcej.

– Zamierzasz wybrać się w podróż tylko na podstawie tych ulotnych wizji?

– Jeszcze mniej. Nie śniłem tych snów. Ale ty tak. Wierzysz w to?

– Tak, myślę, że to prawda. – Oparła głowę na jego nagiej piersi. – Zrobię wszystko, by tylko wam pomóc.

Wilks zataczał palcami małe kółka po gładkiej skórze jej brzucha, potem posunął dłoń niżej. Lekko dotknął łona.

– Tak? Wszystko?

Przycisnęła się do niego i zamknęła oczy. Jego członek wyprężył się, napierając na smukłe nogi Leslie. Ona wsunęła się leniwie na niego, a delikatny uśmiech skrzywił jej kąciki warg.

– Naprawdę jesteś dobry w musztrowaniu, sierżancie. A teraz opowiedz mi, co jest do strzelania, a co do zabawy...?

Siedząca samotnie w pokoju Ripley wyłączyła komputer i ziewnęła szeroko. Setki myśli przebiegało jej po głowie. Było już późno, a wszystkie pigułki, które wzięła na ból głowy, nie podziałały. Silniejsze środki wymagały kontroli lekarza, a to nie szło w parze z jej pogardą dla medyków...

Zmarszczyła brwi. Swoją drogą, skąd to się wzięło. Musiał to wywołać ten długi hipersen, albo coś poszło nie tak w szpitalu, kiedy ją wybudzano. W żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, czy przed tym wydarzeniem też cierpiała na bóle głowy. Właściwie nie było to ważne. Nie był to najważniejszy problem. Poza tym spowodowany był pewnie ciągłym stresem. Poczwała zadowolenie, że znaleźli tę planetę. Obie osoby, z którymi rozmawiała Billie i ona sama, wskazały na ten sam system, Leslie określiła go jako bardzo prawdopodobny.

Podeszła do łóżka i potarła pięściami oczy. Potem położyła się, nie zadając sobie trudu ściągnięcia ubrania. Od pewnego czasu nie widziała się z Wilksem i ciekawa była, czy zdobył jakieś informacje o transporcie wojskowym. Najlepiej byłoby wyruszyć mając oparcie w Stacji, ale jeżeli nie... Cóż, istnieją inne sposoby.

Pomyślała o swoim śnie na jawie. Twarz Bishopa zaskoczyła ją swą realnością. Lubiała tego androida, pomimo swej awersji do wszelkich syntetyków. Jednak jego obecność w myślach oznaczała coś złego. Była nie na miejscu, nie w jej pamięci.

Medycy i sztuczni ludzie – świat nauki i osobistych demonów. Może wszyscy są szaleni. Może jej pomysł nie był niczym innym, tylko koszmarem obłąkanej kobiety. Może...

Ripley zapadła w sen.

## ROZDZIAŁ 6

Peter Schell był ciężko zbudowanym, starszym mężczyzną, którego normalnym wyrazem twarzy była ponura, groźna mina. Nawet kiedy się uśmiechał, jego brwi opadały w dół. Ripley pomyślała, że wygląda jakby się napił czegoś kwaśnego.

Człowiek obok, Keith Dunston był o wiele młodszy, mniej więcej w wieku Billie. Drobnokościsty i delikatny sprawiał wrażenie nauczyciela sztuki walki, którym zresztą był. Dunston słuchał Wilksa z pogodnym wyrazem twarzy. Wyglądał jakby raczej oglądał mecz tenisowy, a nie wysłuchiwał ponurych wizji sierżanta.

Ripley pozwoliła, by to właśnie Wilks przekazał wszelkie informacje dwóm mężczyznom. Spotkali się w prywatnym dojo, gdzie nauczał Dunston. Po krótkim wstępie; Wilks szybko przedstawił ich teorię i wyniki przeprowadzonych badań. Shell przerywał mu kilka razy, zadając pytania. Dunston natomiast nie wymówił przez cały czas ani słowa, tylko kilka razy przesunął delikatną dłońią po rudej czuprynie.

– A co będzie, jeżeli nie dostaniecie transportu? – zapytał Shell.

Wilks wzruszył ramionami.

– Właśnie próbujemy zebrać załogę. Im więcej będziemy mieli ludzi, którzy chcą walczyć, tym większa szansa, że dostaniemy statek.

– Tak, ale gdybyście mimo to nie dostali?

Nie demonstracyjny ukrywany sceptycyzm Shella działał Ripley na nerwy. Nie spodziewała się, że ten facet zamierza...

– Spaliliśmy za sobą mosty w momencie, gdy zaczęliśmy działać – odparł Wilks. – Jeszcze jakieś pytania?

Na chwilę zapadła cisza. Sierżant spojrzął na Ripley, potem ponownie przeniósł wzrok na mężczyzn. Siedzieli bez słowa i widać było, że się zastanawiają.

Shell w końcu spojrzął na zegarek. Wstał i wyciągnął rękę do Wilksa.

– Wdzięczny jestem, że zaprosiliście mnie do dyskusji. Będzie mi łatwiej znieść sny po tym, co mi opowiedzieliście. Muszę jednak to sobie przemyśleć i wtedy skontaktuję się z wami.

Wilks zamierzał coś powiedzieć, ale tylko mocno uściśnął dłoń Shella.

Ten skinął głową Ripley i Dunstonowi, odwrócił się i wyszedł. Ripley westchnęła. Nie każdy, z kim rozmawiali, gotów był zaryzykować życiem.

– Wchodzę w to – odezwał się Dunston.

Ripley zaskoczona spojrzała na niego. Był tak spokojny podczas przedstawiania planu. Sądziła, że nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany.

W dalszym ciągu sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie powiedział coś błędnego. Siedział z tym samym, nieodgadnionym wyrazem na swym beznamiętnym obliczu.

– Powiedzcie mi w czym mógłbym pomóc.

Wilks i Ripley zgodnie uśmiechnęli się szeroko. Sierżant wyjaśnił, co zamierzali zaproponować generałowi Petersowi. Ripley widziała teraz, że Dunston chłonie każdą informację. Jego ciało emanowało spokojem i siłą. Dobrze byłoby go mieć ze sobą.

Billie siedziała na macie u Char Adcox i sączyła powoli czarną herbatę. Czekwała na odpowiedź. Młoda kobieta początkowo wydawała się podchodzić z entuzjazmem do wszystkiego, co usłyszała, ale teraz wyraźnie się wahała. Bębniła palcami w filiżankę i marszczyła brwi w głębokim zamyśleniu. Billie czekała spokojnie, nie chciała w żaden sposób przyspieszać decyzji.

– Nie wiem – odezwała się w końcu Char. – Brzmi interesująco, ale w mojej sytuacji... – zawahała się. – Miałam na Ziemi rodzinę. Dużo czasu upłynęło, zanim pogodziłam się z jej utratą. Ciężko pracowałam, by dostać się tutaj, gdzie teraz jestem i taka, jaka jestem. Nadal miewam jeszcze takie poranki, kiedy boję się wyjść z łóżka.

Wpatrywała się w twarz Billie, jakby szukała w niej oznak zrozumienia.

Billie pochyliła głowę.

– Po prostu nie mogę...-. ponownie odezwała się Char. - Słuchaj, nie potrafisz. Przykro mi.

Billie usiłowała nie okazywać zawodu, ale bez powodzenia. Porucznik Adcox wypila łyk herbaty. W jej oczach widać było zakłopotanie. Billie postawiła filiżankę i wstała.

– Wszystko w porządku, Char – powiedziała. – Naprawdę. Nie dotarlibyśmy tak daleko bez twojej pomocy. L.. rozumiem cię.

Podeszła do drzwi. Cholera. Polubiła tę dziewczynę i była pewna, że pójdzie z nimi.

Odwróciła się.

– Gdybyś zmieniła zdanie...

Char kiwnęła głową, ale smutny uśmiech na ustach mówił, że jej decyzja jest ostateczna. Billie wyszła i na chwilę zatrzymała się w korytarzu. Potrząsnęła głową. Zrozumiała. Biorąc pod

uwagę, że-ostatnie tygodnie były jedynym okresem, kiedy mogła swobodnie odetchnąć, pojęła, jak pociągające są: spokój i cisza. Nagle pomyślała, że zbyt długo w jej życiu zmuszano ją do spokoju, do siedzenia w bezruchu. Nawet, kiedy potwory stały już u drzwi.

– No; McQuade jest z nami – powiedział Wilks. – I Brewster. Byłaś u Falka?

Ripley kiwnęła głową.

– Tak, ale stracił całe zainteresowanie, kiedy doszło do rozmowy o zapłacie. Powiedział, że jego czas można tylko kupić. Wilks wzruszył ramionami.

– Nie każdy jest bezinteresowny.

To jednak strata. Był kilka razy u Falka, wysokiego, muskularnego faceta, jednego z tych, których głośny śmiech można usłyszeć wszędzie tam, gdzie grają w karty. Niespecjalnie świetlana postać, ale sprawiał wrażenie człowieka, który bardzo dobrze potrafi osłaniać ci dupę podczas akcji.

Siedzieli w pokoju Ripley i rozmawiali o przypuszczalnym składzie załogi. McQuade, Brewster, Dunston i Jones. Jak dotąd tyłu. Jon Jones był młodym lekarzem, który wydawał się być zbyt poważny jak na swój wiek. Ripley lekko zeszywniała, kiedy Wilks wspomniał o nim, ale nie protestowała. Medyk mógł się przydać, oboje o tym wiedzieli.

Billie wpadła wcześniej, by powiedzieć, że Adcox nie zgodziła się. Wydawała się nieszczęśliwa z tego powodu i nie chciała dyskutować o locie. Wilks przypuszczał, że poszła do pokoju łączności, by poszukać Amy. To stawało się już jej obsesją. Rozumiał, dlaczego.

– Co z Carveyem? I Moto, ona ma doświadczenie...

Wilks zwrócił w tym momencie uwagę na ekran monitora. Światelko pojawiło się w górnym rogu. Towarzyszył mu cichy dźwięk oznaczający początek przekazu.



Ripley przycisnęła kilka klawiszy. To była Billy.

– Ripley, Wilks – powiedziała – na wojskowym kanale, 10 V, szybko!

Wyłączyła się zanim zdążyli odpowiedzieć. Ripley przełączyła na wskazany kanał.

Obraz na ekranie był zamazany. Wilks rozpoznał wnętrze opancerzonego transportowca. Biegnąca para nóg widoczna od kolan w dół. Potem następna. Wyglądało na to, że kamera znajduje się na podłodze. Gdzieś w tle rozległy się karabinowe strzały. Histeryczny męski głos wywrzaskiwał rozkazy, które ledwo było słycać ponad ogłuszającym hałasem.

– Broillet, Reiter, wracać! Hornoff, Anders, Sites, odpowiadać! Odpowiadać, do cholery! Nie ma... – głos umilkł. Wilks skamieniał. Hornoff był jednym z mężczyzn umieszczonych na liście psychiatrów.

Teraz na ekranie nie było już niczego z wyjątkiem słabo oświetlonego pustego magazynu. Obraz zadrgał nagle, jakby pojazd został czymś uderzony. Słycać było jeszcze pojedyncze strzały, ale nie rozlegały się żadne głosy ludzi.

– Co...? – Ripley zerknęła na Wilksa, potem znów na ekran. Na jej twarzy malowały się jednocześnie strach i gniew. Wiedziała dokładnie, na co patrzy.

– Ziemska misja – powiedział Wilks ponurym głosem. Palce zbieleły mu od zaciskania w pięści. Bako mówił mu, że będzie następna.

– Stara transmisja?

– Myślę, że nie. Zamierzałem jutro odwiedzić Hornoffa. Sierzant spostrzegł błysk zrozumienia w oczach Ripley. Przygryzła dolną wargę. Nie było sensu...

– Ktoś to spieprzył – powiedział Wilks.

Nagle rozległ się skrzek obcego. Był tak głośny, że musiał dochodzić z wnętrza statku. Rykowi nie odpowiedziały strzały. Potężny, pajęczy kształt przesunął się po ekranie. Był zbyt blisko obiektywu, by zobaczyć go wyraźnie, ale Wilks i tak go rozpoznał.

– O, cholera – szepnęła Ripley.

Ekran zamarł, potem zgasł. Przez chwilę żadne z nich nie mogło wydusić z siebie ani słowa. Po prostu wpatrywali się w czerń ekranu. Mechaniczny, bezpłciowy głos poinformował, że wystąpiły usterki natury technicznej.

– To był błąd – odezwał się Wilks.

Przekaz trwał prawie dwie minuty, jeżeli tylko Billie złapała jego początek. Głos świadczył, że został nadany przez pomyłkę. 10 V był kanałem wojskowej propagandy i Wilks prawie widział, jak jakiemuś technikowi splywa teraz do butów pot przerażenia. Kolosalna wpadka. Niewłaściwa taśma puszczonej w niewłaściwym czasie. Każdy w Stacji, kto miał włączony ten kanał, mógł to zobaczyć.

Wystraszony mężczyzna pojawił się na ekranie i zwrócił twarz w stronę kamery. Na skroniach i górnej wardze perliły mu się kropelki potu. Miał twarz i uczesanie typowego żołnierza, ale ubrany był w zwykły cywilny kombinezon.

Czas dla sprytnej łasicy – szepnęła Wilks.

– Jesteś na wizji – dobiegł głos niewidocznej osoby. Oczywiście, program na żywo.

– Pragniemy, tak... pragniemy przeprosić państwa za przerwę... eee... w nadawaniu programu. Wskutek pomyłki w naszym studio została nadana... eee... projekcja z ziemskiej misji... eee... sprzed pięciu tygodni.

Mężczyzna przed kamerą jękał się wyraźnie nieprzygotowany.

– Co za kupa gówna – odezwał się Wilks. – W żaden sposób nie powinno to ujrzeć światła dziennego.

– Pozwolą... eee... państwo, że... eee... wrócimy do... eee... naszego normalnego programu. Kanał 10 V nada... eee... oficjalny komunikat... wyda komunikat... eee... w późniejszym czasie.

Na ekranie pojawił się obraz z jakiejś małej naprawy w przestrzeni wokół Stacji. Ripley przycisnęła, klawisz i wyłączyła urządzenie. Odwróciła się do Wilksa. Twarz miała bladą nieruchomą.

– Czy ludzie się dowiedzą? Sierżant pokręcił głową.

– Może przyjaciele tych, co zginęli. Ale komu zdają powiedzieć przed otrzymaniem wyraźnego rozkazu milczenia? Wilks stwierdził, że ciągle ma zaciśnięte pięści. Wciągnął powietrze i rozprostował palce.

– Była to prawdopodobnie tajna operacja i na pewno będą to trzymać w ścisłej tajemnicy. Wierzę w to.

– Jaki to może mieć wpływ na nasze plany? – spytała Ripley. Sierżant zmarszczył brwi. Co może się stać? Wojsko nie powstrzyma ludzi od plotek... To może w jakiś sposób zachwiać ich staraniami.

– Nie wiem powiedział głośno. – Myślę, że szybko się o tym przekonamy.

Billie już miała wejść do łóżka, kiedy zabrzączał jej komunikator. Prawie go zignorowała. Ktokolwiek to był, będzie próbował jeszcze raz. Czowała się wyczerpaną już późna noc przecież. Po spotkaniu z Wilksem i Ripley, jeszcze raz poszła do łączności i przez kilka godzin szukała Amy.

Cała ich trójka była zgodna co do tego, że był to przypadek. Ktoś miał teraz ogień w dupie z tego powodu. Jej udało się złapać sam początek transmisji i powiadomiła innych w ciągu

dziesięciu sekund. Nikt nie stracił najważniejszej części przekazu. Tylko kamera, niestety, upadła na podłogę.

Billie westchnęła i wyciągnęła się wygodnie. Nie było żadnego śladu Amy, a teraz jeszcze ktoś dzwonił do niej w środku nocy.

W końcu zdecydowała się odezwać. – Tak?

– Billie? Tu Char Adcox. Nie zbudziłam cię, prawda? Przepraszam, że dzwonię tak późno.

Billie poczuła jak ulatuje z niej cała senność. – Nie, jestem na nogach. Co się stało?

– Czy widziałas ten przekaz dziś po południu? – Tak, widziałam.

W głosie Adcox również słychać było zmęczenie.

– Myślałam o tym, co zobaczyłam. Wróciłam głęboko w swoją przeszłość. Myślę, że inni też tak zareagowali. – Zaśmiała się cicho do siebie. – Przepraszam, myślę, że to rodzaj obłądu.

– Nie przepraszaj, Char. W porządku.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Przeciągała się tak długo, że Billie już miała się odezwać, kiedy usłyszała, że młoda pani porucznik wciąga głośno powietrze.

– Chcę lecieć z wami – powiedziała.

W jej głosie nie było najmniejszego wahania.

– Jeżeli tylko jeszcze mnie chcecie, to... ja muszę lecieć. Był to głos kobiety, którą widziała Billie na taśmach zbiorów badań psychiatrycznych.

– Wspaniale. Witaj na pokładzie.

Umówiły się na spotkanie następnego dnia i rozłączyły się. Billie leżała na wznak i usiłowała usnąć. Instynktownie polubiła i zaufała Char Adcox. Teraz cieszyła się, że ta kobieta będzie razem z nimi. Jeszcze jeden właściciel takich samych snów na statku. To było pocieszające.

Odplynęła w otchłanie głębokiego snu. Nawet jeżeli królowa matka zawiadnęła jej nocnymi marzeniami, to nic z nich nie przetrwało do następnego ranka.

## ROZDZIAŁ 7

Ripley otworzyła drzwi i zobaczyła, że stoi za nimi Falk, który podniósł właśnie rękę, by ponownie zapukać. Teraz opuścił ją powoli. Wyglądał na niewyspanego i śmierdział alkoholem.

– Falk – odezwała się – co za miła wizyta. Właśnie wybierałam się na śniadanie.

Spostrzegła, że sarkazm w jej głosie nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

– Cóż... tak... chciałem z tobą chwilkę porozmawiać. Eee... o wyprawie. Chcę lecieć.

Ripley aż cofnęła się ze zdziwienia. Falk wyraźnie potraktował jej ruch jako rodzaj zaproszenia; wszedł do środka, podszedł do stołu i oparł się ciężko. Wzrok miał ciągle utkwiony w podłodze.

Przyjrzała mu się uważniej. Kiedy rozmawiała z nim poprzednio, nie zwróciła uwagi na jego potężną posturę. Miał co najmniej 195 centymetrów wzrostu i ważył pewnie ze 100 kilogramów. Umięśniona klatka piersiowa i długie, muskularne nogi również robiły wrażenie. Swoje przerzedzone włosy nosił związane w kucyk z tyłu głowy. Zakłopotanie nie pasowało do jego twarzy. Wydawało się, że gości na niej po raz pierwszy. Kącik ust drgał nerwowo, a brwi zeszyły się prawie do jednego punktu.

– Nadal nie mamy pieniędzy. – W końcu wydobyła z siebie głos. Wyraz twarzy Falka nie uległ zmianie.

– W porządku. Ciągle potrzebujecie pomocy, prawda? Przepraszam, że byłem takim dupkiem. Chcę lecieć.

Ripley zmarszczyła brwi. To nie był ten sam człowiek, którego widziała jeszcze wczoraj. Hałaśliwy, przemądrzały i zarozumiały pirat. Przyznał, że miewa sny, ale lekceważył je. Powiedział, że kobieta, która składa mu telepatyczne wizyty i przywołuje go, traci czas.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie? – spytała.

Falk westchnął i podniósł wzrok, ale nie spojrzał na Ripley. – Wojskowy kanał – powiedział gapiąc się w sufit. – Słyszałaś o tej pieprzonej historii?

– Widziałam to. .

– Właśnie grałem w barze w karty, kiedy to nadali. Chciałem wyrzucić do góry nogami całą knajpę, kiedy zobaczyłem to gówno.

Umilkł na chwilę, jakby stracił oddech.

Ripley czekała.

– Wśród tych żołnierzy była Marla – odezwał się ponownie. – Powiedziała mi, że nie będzie jej przez krótki okres. Jakies normalne ćwiczenia. Powiedziała, żebym się nie martwił.

W końcu Falk spojrzał na Ripley. Zobaczyła jego przekrwione, dzikie oczy.

– Ostatniej nocy jakiś dupek w mundurze kapitana powiedział mi, że na jej statku był "nieszczęśliwy wypadek" i przyszedł, żeby mnie uspokoić. Ten skurwysyn stał i łgał w żywe oczy. W czasie transmisji słyszałem jej nazwisko. Słyszałem, jakiś wołający ją głos...

Przerwał i wciągnął głęboko powietrze. Cała nieufność Ripley do tego człowieka wyparowała. Widać było, jak mocno ten wielki mężczyzna przeżywa stratę bliskiej osoby.

– Przykro mi – odezwała się. – Chciałabym móc ci pomóc...

– Chcę lecieć – szepnął Falk. – Chcę je zabijać.

Jego głos nie był gniewny ani zdesperowany. Przeciwnie, łagodny i jakby beznamiętny, jak w czasie rozmowy o pogodzie.

– Kochałem ją – dodał.

– Spotykamy się jutro o ósmej w dojo na poziomie C.

Wyprostował się i kiwnął głową. Jego twarz była nieprzenikniona. Ripley wiedziała, że nie może w tym momencie zrobić nic, co mogłoby ulżyć Falkowi.

– Dzięki – rzekł jeszcze olbrzym i poszedł w stronę drzwi. – Będę punktualnie.

Nie wątpiła w to nawet przez sekundę.

Wilks patrzył na generała Petersa przeglądającego dane psychiatryczne, które wydobyła Leslie. Nikt nie wspomniał o ich poufności ani o fakcie włamania się do bazy danych. Były to po prostu nazwiska ludzi, którzy śnią o królowej matce. W zbiorze figurowało dwanaście osób, z których dziesięć zgodziło się wziąć udział w wyprawie.

– I mówicie, że te sny są identyczne we wszystkich przypadkach, sierżancie? – spytał generał znad wydruków.

– Tak, panie generale.

Wilks stał na spocznij, z rękami założonymi w tył. Biuro Petersa było jednym z bardziej okazałych pomieszczeń w Stacji; dobrze oświetlone i porządnie ogrzane. Na ścianach wisiały akwarele, a fotele pokryto sztuczną skórą wysokiej jakości. Peters nie poprosił Wilksa, by usiadł.

Nikt nie uważał generała za myśliciela. Jego stoicki wyraz twarzy i twarde spojrzenie mówiły wszystko – standardowy dowódca z pierwszej linii. Z jego tłustej postaci można było wywnioskować jednak, że już od dłuższego czasu nie brał osobistego udziału w walce. Wilks służył kiedyś pod rozkazami takich oficerów – dupków ze zbyt ograniczonymi mózgami – żeby wierzyć w cokolwiek, co im się nigdy nie przytrafiło. Wyraźnie tracił tutaj czas, ale Ripley chciała spróbować...



– Hmm, bardzo interesujące – odezwał się Peters i popatrzył na sierżanta – ale obawiam się, że naprawdę nie mogę zezwolić na taką wyprawę. Musimy przełożyć to na później.

Jego ton wyraźnie mówił: "Sprawa zamknięta."

– Czy jest ktoś jeszcze, z kim mógłbym o tym porozmawiać?  
– zapytał Wilks.

– Słucham?

Sierżant wzruszył ramionami. Ciągłe był kimś w rodzaju komandosa. Nie wyrzucili jeszcze wszystkich jego danych i jego status wciąż nie ulegał zmianie. To dawało mu małą przewagę w rozmowie z oficerami.

– Panie generale, w Zarządzie Stacji są również cywile. Może oni byłiby zainteresowani.

Peters popatrzył na Wilksa swymi małymi, świńskimi oczkami.

– Usiłujecie być sprytni, sierżancie?

– Nie, panie generale.

Przynajmniej nie z takim błaznem. Powiesz coś mądrego i jesteś skończony.

– Tak, są w tutejszych władzach również cywile, ale jeżeli chodzi o wojskową misję z użyciem wojskowego sprzętu, to ja tu jestem bogiem.

Wilks nie odzywał się. Czekał.

– Zapoznałem się z waszą karierą, sierżancie, i macie całkiem bogate dossier jako notoryczny sprawca wielu kłopotów. Nie potrzebuję więcej zmartwień niż mam.

Peters skończył mówić i machnął ręką w kierunku drzwi.

Wilks zrozumiał, że nie ma żadnych szans. Gdyby nauczył się całować przełożonych w dupę, może miałby więcej szczęścia. Dobra, pieprzyć to. Wszystko to strata czasu. Wiedział o tym od dawna i gotów był zdobyć się na jakiś nieobliczalny gest. Musi

trzymać nerwy na wodzy. Kiedyś z pewnością walnąłby tego frajera w zęby i z uśmiechem czekał na żandarmerię.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas, panie generale.

Peters chrząknął, ale nie podniósł wzroku znad biurka. Przeglądał już jakieś inne papiery.

Pokusa trzaśnięcia drzwiami była tak silna, że sierżant ledwie zdołał się powstrzymać.

Billie spotkała Wilksa pod Czterema Żaglami. Siedział na swym stałym miejscu i wpatrywał się w szklankę. Jego pokryta bliznami twarz była pełna napięcia.

– Ripley zawiadomiła mnie, że spóźni się kilka minut – powiedziała. – Jak poszło z generałem?

– Prawie tak, jak oczekiwałem. Ma głowę za daleko od dupy, żeby mnie w ogóle słyszał. – Pociągnął ze szklanki. – Pieprzeni oficerowie.

Billie poczuła ucisk w żołądku. Ta sprawa była dla niej naprawdę ważna. Jak inaczej może uratować Amy, czym może karmić swą nadzieję, że dziewczynka jeszcze żyje?

– Hej, co z wami? – powiedziała Ripley. – Jesteście gotowi do jutrzejszego spotkania?

– Tak, jeżeli tylko nauczymy się latać bez statku – cierpko stwierdził Wilks. – Generał uważa, że oszaleliśmy. To było do przewidzenia.

Billie poczuła, że ciężko jej na sercu.

– Wygląda na to, że gra skończona – powiedziała. – Chyba, że chcecie ukraść statek.

Ripley się roześmiała łotrowsko.

– Już myślałam, że nigdy o to nie zapytasz. Twarz Wilksa nagle się rozpromieniła.

– Wiedziałem! Cholera, wiedziałem!

– Chyba nie myślałeś, że tłusty stary facio da nam statek, co? W najlepszym wypadku był to daleki strzał.

Wilks kiwnął głową.

– Pora znowu stać się przestępcą.

– Na tak, fajnie, ale ciągle nie mamy tego, czego nam potrzeba, prawda? Czas na plan B – powiedziała Ripley – który jest właściwie dalszą częścią planu A: zwędzić to, co nam jest potrzebne.

– To ma sens – stwierdził sierżant. – Za nasze występki.

Podniósł w górę szklanę.

Billie uśmiechnęła się i kiwnęła głową. W porządku. Robili to już wcześniej. Chryste, są już zawodowcami w kradzieży statków kosmicznych. Jeden z Ziemi do wojskowej bazy Spearsa, jeden stamtąd tutaj i jeszcze ten mały ratunkowy stateczek. To ma sens. Ech, do diabła.

Do diabła!

## ROZDZIAŁ 8

Wilks przyjrzał się zebranej w niewielkiej salce grupie ludzi i skinął głową. Każda z tych osób miała bojowe doświadczenie, z wyjątkiem Jonesa – lekarza oraz Dunstona, chociaż ten nauczał sztuki walki wręcz. Właśnie w jego dojo siedzieli i stali w małych grupkach wszyscy zebrani. Poza tym wyglądał na człowieka, który potrafi się o siebie troszczyć.

Brewster, Carvey, Moto, Adcox i kapitan McQuade byli komandosami i walczyli na Ziemi na początku inwazji obcych.

Ana Moto była szczupłą, smutną kobietą. Jediną pozostałą przy życiu osobą, która, jako członek oddziału do zadań specjalnych, brała udział w odszukiwaniu mrowisk obcych na Ziemi, zanim jeszcze sprawy przyjęły zły obrót. Właśnie zaśmiała się z czegoś, co Adcox powiedziała do niej i Billie. Wszystkie trzy stały razem, w kącie pokoju.

Wszyscy przyszedli trochę wcześniej z wyjątkiem Falka, który wszedł do dojo dokładnie o wyznaczonym czasie. Ripley nie wspominała nikomu, dlaczego zmienił zamiar. Poinformowała po prostu, że Falk mimo wszystko przyjdzie.

Wilks popatrzył na Falka, kiwającego głową do Ripley, i pomyślał, że ten wielki facet jest wyczerpany. Podejrzewał, że zmiana jego decyzji nastąpiła wskutek niefortunnej transmisji i pomyślał, że ten olbrzym musiał znać któregoś z żołnierzy lecących tamtym statkiem. Po prostu miał takie przeczucie. Falk usiadł z dala od innych i wlepił wzrok w pokrytą piankową matą podłogę. Wyglądał na człowieka przeżywającego jakiś ogromny wewnętrzny ból.

Leslie uśmiechnęła się do Wilksa z drugiej strony pokoju. Stała tam i rozmawiała z Ripley i Marią Tully, przyjaciółką obu

kobiet. Tully była doświadczoną operatorką komputerów. Straciła na Ziemi całą rodzinę. W tej grupie przewidziano dla niej funkcję elektronika.

Wilks odczuwał mieszane uczucia co do Leslie. Z jednej strony, nie chciałby jej zostawiać w Stacji z powodów czysto osobistych. Patrząc na sprawy inaczej, gdyby była z nim, nie mógłby całkowicie skupić się na zadaniu, jakie go czekało. Właściwie był zadowolony, że Leslie nie leci z nimi. Nie chciał, żeby przytrafiło jej się cokolwiek.

Odwzajemnił jej uśmiech. Po spotkaniu z Billie i Ripley w barze, poszedł do niej przedyskutować jej udział w całym przedsięwzięciu. Mimo, że nie brała udziału w samej wyprawie, jej rola przy zdobyciu statku była kluczowa.

Ripley podeszła do podwyższenia, obok którego stał Wilks, i gwar rozmów natychmiast umilkł. Billie odłączyła się od swojej grupki i dołączyła do nich, chociaż ustalili, że to Ripley poprowadzi spotkanie. Ta kobieta była w naturalny sposób typem przywódcy, a i pomysł wyprawy pochodził od niej. Wilks był zadowolony, że tym razem ktoś inny będzie decydował o wszystkim. Jemu będzie przez to łatwiej.

– I cóż – zaczęła Ripley – wszyscy wiecie, po co tu przyszliśmy. Jestem Ellen Ripley, a to Wilks i Billie. Każdy z was posiada pewne przydatne nam umiejętności, które spowodowały, że zostaliście wybrani spośród innych śniących. Czuliście obecność obcej królowej niejednokrotnie. Czas z tym skończyć.

Wszyscy skoncentrowali uwagę na jej słowach. Wilks miał nadzieję, że z równą uwagą podejną do sprawy po usłyszeniu złych wieści.

– Zanim zaczniemy omawiać szczegóły misji, chcielibyśmy, żebyście wiedzieli o pewnych przeszkodach, jakie się pojawiły. Wilks?

Sierżant chrząknął.

– Tak, rozmawiałem wczoraj z generałem Petersem. Odrzucił naszą prośbę o transportowiec – przerwał na chwilę. – Tak naprawdę, to ten facet myśli, że jesteśmy stuknięci.

Wtrącił się kapitan McQuade:

– Peters to dupek – powiedział, a dwóch komandosów stojących obok kiwnęło potakująco głowami. – Zaskoczyło mnie, że w ogóle próbowaliście. Ten facet jest tak wypełniony gównem, że sra, kiedy mu się odbija.

Kilka osób wybuchnęło śmiechem. Wilks wyszczerzył zęby.

– Tak, słusznie. No i nie dostaliśmy oficjalnego zielonego światła. Próbowaliśmy ponownie, ale uważam, że to strata czasu.

Ripley ponownie przejęła prowadzenie.

– Dlatego zdecydowaliśmy się pożyczyć statek – powiedziała – a to już zupełnie inna zabawa. Chcę, żeby wszyscy zrozumieli, na co się decydują, zanim podejmą decyzję. Gdybyśmy zostali schwytani, siedzimy po uszy w gównie. Wpadniemy, poniesiemy konsekwencje. Nawet kiedy nam się powie, mogą nas ukarać.

Popatrzyła w oczy każdej z obecnych w małej salce osób. – Nie powiedzieliśmy Petersowi gdzie konkretnie zamierzamy polecieć, więc nie złapią nas, gdy się już wydostaniemy. Jednak nie mówiliśmy dotychczas o kradzieży statku. To nie było częścią planu. Jeżeli chcecie zrezygnować, to teraz. Zrozumiemy was.

Zapadła cisza.

– Pieprzę to – odezwał się z krańca pokoju Falk. – Nie robienie niczego jest znacznie gorsze.

Rozległo się kilka pomruków aprobaty.

Wilks rozejrzał się po Bojo i w każdej twarzy dostrzegł pewien rodzaj desperackiego decydowania. Nikt się nie poruszył.

Po chwili Ripley zaczęła mówić dalej:

– Wspaniale. Dzięki. Chcemy stąd odlecieć w ciągu kilku najbliższych dni, a jest jeszcze wiele do zrobienia. Przyglądamy się statkom, a Leslie – skinęła w stronę włamywaczki - przygotowuje nas do odczytania kodów bezpieczeństwa, z którymi będziemy mieli do czynienia. Mamy listę kłamotów, które będą nam potrzebne, sprzętu, broni... I musimy opracować plan zdobycia statku...

Ripley mówiła dalej, a Wilks obserwował uczucia malujące się na twarzach ludzi, z którymi przyjdzie mu działać. Kilka osób odrzuciło wszelkie wątpliwości już wcześniej, a wszyscy wyraźnie czuli się zaszczytzeni, że to ich wybrano do tej misji, do wyprawy, która może ich kosztować życie. Tak, to będzie dobra załoga.

Może nie błyskotliwa, ale nie będą mieli za wiele czasu na dyskusje.

Billie już trzeci raz sprawdzała listę sprzętu i porównywała ją ze spisem tego, co znajdowało się na pokładzie *Kurtza*. Wojtkowski frachtowiec został wybrany ze względu na wielką ładownię przeznaczoną do przewozu toksycznych płynów. Mogło pomieścić się w niej 10 000 metrów sześciennych odpadów radioaktywnych i innych niebezpiecznych cieczy. Była hermetyczna i dodatkowo zabezpieczona ścianami z durastali i ołowiu grubymi na pół metra. Również klapy włazów były odpowiednio solidne. Wydawało się to aż za dużo do przewiezienia bezpiecznie królowej obcych, i do powstrzymania jej przed wędrownkami po statku. Jeżeli tylko zdołają ją schwytać, jeżeli uda im się załadować ją na pokład, a przede wszystkim, jeżeli uda im się ukraść ten właśnie statek...

Billie przetarła oczy i rozejrzała się po pokoju. Było już późno i wiedziała, że powinna się położyć. Rano znów mają się spotkać w dojo, żeby ustalić pewne szczegóły dotyczące

porwania statku. Zabezpieczenia wydają się znikome, ale są. A oni nie chcą być złapani.

Ona i doktor Jones odpowiadają za zaopatrzenie, chociaż lista, którą udało się wykraść Leslie, jest prawie kompletna. *Kurtz* został zaprojektowany jako statek mający zapewnić wszelki komfort dla dwudziestu osób. Miał swój własny ładownik, a magazyny żywnościowe pełne były koncentratów i past. Mogło im to wystarczyć na lata. "Wystarczyć" było pojęciem względnym. Jedzenie będzie pewnie smakować jak gówno, ale jest to nie do uniknięcia. Statek był też świeżo zaopatrzony w paliwo i gotowy do lotu. Wszelkie wygody były na miejscu. Nawet większe niż mieli tutaj, w Stacji.

Pomimo zmęczenia, Billie czuła, że nie uśnie. Jej myśli były pełne wspomnień i nadziei. Wirowało w nich wszystko, co przeżyła, wszystkie twarze, które знаła. Wilks. Mitch. Ripley. No i Amy.

Wydało się Billie, że całe swe życie walczyła. Znalazła się teraz w punkcie, gdzie nie musiała robić nic więcej. Mogłaby prawdopodobnie przeżyć resztę życia w Stacji i może nawet umrzeć w sędziwym wieku. Lecz ta myśl nie przemawiała do niej. Tam, na Ziemi, ludzie są zjadani żywcem i tak nie powinno być. Szczególnie, że może to spotkać Amy.

Więc może powinna lecieć i skończyć z tym. Może nawet jakoś udałoby jej się przeżyć.

Amy. *Kurtz* nie był wyposażony w urządzenia do odbioru transmisji na odległość dzielącą ich od Ziemi. W żaden sposób nie dowie się, czy Amy i jej rodzina są ciągle żywi. Ostatni przekaz został nadany zaledwie kilka dni temu, ale nie udało jej się rozpoznać, czy była to transmisja na żywo. Chciała wierzyć, że są to najświeższe wiadomości. Podświadomie czuła, że Amy ciągle tam jest, że modli się o wydostanie się z Ziemi.



Odpowiedzią będzie plan Ripley.

Billie wróciła do początku listy. Ziewnęła szeroko. Wiedziała, że nie przeoczyła niczego, ale chciała sprawdzić jeszcze raz. Nie będzie już przecież następnej okazji. Gdy znajdą się na pokładzie, nie będzie już odwrotu.

Ripley siedziała na podłodze słabo oświetlonego dojo. Była w pokoju sama, tak wczesnym rankiem nikt jeszcze nie pojawił się tutaj. Chciała przemyśleć kilka spraw, a później nie będzie na to czasu.

Wiedziała, że akcja przemyślana jest w najdrobniejszych szczegółach i wszyscy są gotowi. Jeszcze dzień lub dwa zajęłoby im pewnie dopinanie wszystkiego, ale czas nie stał w miejscu pora działać. Zbyt długie myślenie rodzi dodatkowe wątpliwości. Zrobią wszystko, co tylko będą mogli.

Przebiegła wzrokiem listę uczestników wyprawy: ona sama, Billie, Wilks. Adcox i inni komandosi. Falk, Dunstom, Tully - koleżanka "po fachu", Leslie. I Jones...

To był dobry zespół. Może im się powiedzie. Oczywiście co innego działać na papierze, a co innego, w czasie rzeczywistym. Ale załoga zdaje się być zdolna do pokonania wszelkich przeciwności. Jediną niepokojącą ją sprawą były statki patrolowe straży. Chociaż te zwracały głównie uwagę na statki przylatujące do Stacji, zabezpieczając ją przed zainfekowaniem albo przedostaniem się kogoś niebezpiecznego, kogoś takiego, jak szalony generał Spears, którego pasażerami na gapę byli Billie i Wilks.

Powinno się udać. Ripley miała nadzieję, że pójdzie im tak gładko, jak sobie założyli. Jednak ze swego doświadczenia wiedziała, że rzadko kiedy tak się dzieje.

Zaangażowała się tak bardzo w przygotowania, że nie miała czasu na relaks. Chociaż właściwie nie miała go od chwili, kiedy zaczęła uciekać przed obcymi. Dla niej nie był to zbyt długi

okres. W realnym czasie było to jednak prawie sto lat. Cały wiek. Teraz cholerne potwory władają Ziemią, a ludzkość została zepchnięta do trzeciorzędnych, bezsilnych stworzeń.

Jej nienawiść do tych potworów była częścią niej samej, jak kolor włosów czy wzrost. Była we wszystkim, co ją w życiu spotykało, była siłą, która kryła się za jej każdym działaniem, była z nią zawsze i wszędzie. Uśmiechnęła się złośliwie. Gdzie się znalazła? Siedzi i przygotowuje się do poprowadzenia grupy wojowników przez całą galaktykę. Przygotowuje się do lotu skradzionym statkiem i schwywania królowej królowych. I, być może, do schwywania i zabicia wszystkich tych diabelnych obcych.

Westchnęła głośno. Wybory, których musiała dokonywać, były proste, oparte na podstawowej zasadzie moralnej: dobro lub zło. Lecz teraz było to coś więcej. Zły wybór mógł kosztować życia ludzkie, mógł oznaczać zagładę dla niej samej. Zwykle umiała poradzić sobie z odpowiedzialnością za życie ludzi, którzy ją otaczali, ale teraz czuła, że jest inaczej.

Do cholery, zawsze było inaczej.

Wiedziała jedno – nie chce umierać, ale jeżeli dzięki temu usunie się tę sukę królową, może poświęcić życie. Dokonała już kiedyś takiego wyboru. Po *Nostramo*. Tamto wydarzenie kosztowało ją zbyt wiele. Załogę. Rodzinę. Całe jej życie. Nie pozostało nic, czego byłoby jej żal.

Ripley przymknęła oczy i czekała na innych.

## ROZDZIAŁ 9

Dunston i Tully szli korytarzem w kierunku wejścia do doku D6 i głośno dyskutowali o polityce. Kiedy skręcili za róg, znaleźli się w miejscu, z którego mogliby spostrzec strażnika.

Dunston odwrócił się i pokazał Ripley, Wilksowi i Falkowi, że nie ma żadnego wartownika.

Wilks był wystarczająco blisko, by widzieć, Tully wyjmującą niewielką klawiaturę i podpinającą ją do płytki zamka. Przykucnęła i szybko zaczęła wprowadzać kody.

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że jeszcze jedna sprawa nie została poruszona...

Wilks i inni wolno szli w stronę drzwi, a Tully sprawdzała na monitorze wyniki swej pracy.

Dunston narzekał właśnie na jedzenie w stołówce. Zgodnie z danymi z komputera Stacji, w tym miejscu nie powinno być żadnego strażnika. Ripley nalegała by sprawdzić to dokładnie.

Tully spojrzała w górę z uśmiechem.

– Gotowe – powiedziała spokojnym głosem.

Wilks poczuł ulgę. Było bardzo ważne, żeby nikt nie zauważył ich tak długo, jak to tylko możliwe. Gdyby tylko rozległ się dźwięk alarmu, ich szanse zmalałyby błyskawicznie.

*Kurtz* był zakotwiczony w doku D6 i żeby się tam dostać, należało pokonać trzy pary drzwi: te, które właśnie otworzyli, hermetyczny właz doku i klapę do samego statku. Wszystkie były kodowane komputerowo, a złożoność zabezpieczeń pozwalała zrezygnować z ludzkich strażników. Była to jedna z najważniejszych przyczyn ich wyboru.

Będą mogli bez przeszkód dostać się do wnętrza i wezwać resztę załogi. Spektrum głosu kapitana McQuada pozwoli im na wejście do komputera statku. Wszystko, czego potrzebowali na pokładzie, to licencjonowany pilot wojskowy i odpowiednie kody. Zdobyły je Leslie i Tully, z niewielkimi tylko kłopotami. Może ze zbyt małymi...

Kiedy Tully odłączyła już swój przenośny komputer, Wilks poszedł do najbliższego komunikatora, by wezwać Billie i innych. Czekali dotąd w pokoju Brewstera. Komandosi mieli ze sobą tyle karabinów i granatów, ile tylko zdołali wynieść ze zbrojowni. Zabrali broń, dzięki osobistemu kodowi generała Petersa. Wilks roześmiał się głośno, kiedy Leslie zasugerowała jego użycie.

Wyglądało na to, że jednak Peters im pomógł.

Poszedł szybko korytarzem D do publicznego komunikatora i wystukał numer Brewstera. .

– Tak?

– Brewster? Tu Wilks. Dlaczego nie miałbyś wpaść na drinka?

– Brzmi wspaniale. Spotkamy się w barze.

Wilks rozłączył się i wrócił do pustego hallu. Jak na razie idzie nieźle. Billie i komandosi będą tutaj w ciągu dwóch minut, albo jeszcze szybciej. Nareszcie zaczną...

Hej – rozległ się obcy głos.

Wilks zatrzymał się i odwrócił. Młody, potężnie zbudowany mężczyzna ubrany w mundur strażnika zbliżał się powoli do niego. Jego twarz wykrzywiał ponury grymas. Prawą dłoń opierał o rękojeść swego ogłuszacza.

– Dokąd to się wybierasz, przyjacielu?

Brewster skinął na komandosów. Wstali i podnieśli ciężkie paczki z wyposażeniem. Broń, amunicję, różne narzędzia. Nikt się nie odzywał.

Billie podeszła do Jonesa, by pomóc mu dźwigać jego sprzęt – małą jednostkę diagnostyczną i mnóstwo innych, drobniejszych narzędzi medycznych. Uśmiechnął się do niej błyskając olśniewającą białą zębów na tle czekoladowej twarzy.

– Ciekawe czy już jesteśmy wyjęci spod prawa? – powiedział. Wyglądał na zdenerwowanego.

Billie odwzajemniła uśmiech.

– Szybko się do tego przyzwyczaisz. I powiem ci, że już to prawo złamaliśmy. Przez konspirację.

Adcox wyszła pierwsza, jako szpica. Nie niosła niczego i miała wyprzedzać resztę grupy o pół minuty.

Brewster i McQuade byli następni. Billie policzyła po cichu do dziesięciu. Wyszli Carvey i Moto.

W korku Billie z Jonesem przesili pręx drzwi,

Serce biło Billie jak szalone i czuła, że pomimo chłodu, pot spływa jej pomiędzy piersi.

"Amy" – pomyślała. Weszli w korytarz.

Wilks uśmiechnął się do strażnika.

– Próbuję znaleźć biolab. To w korytarzu D2, prawda? Wydawało się, że strażnik odprężył się nieco, ale nadal się nie uśmiechał.

– Idziesz w złym kierunku. Laboratoria są po drugiej stronie – powiedział i wskazał ręką za siebie. – Musisz skręcić w lewo za pierwszym rozwidleniem.

Wilks potrząsnął głową jakby z niedowierzaniem i ponownie uśmiechnął się szeroko.

– Dzięki.

Strażnik kiwnął głową, przeszedł obok sierżanta i skierował się w stronę D6, gdzie komandosi mieli czekać na Wilksa.

– Jesteś pewny, że nie w prawo? – zawołał do strażnika, który odszedł już kilka kroków.

– Tak, jestem pewny. Teraz...

– Bo już tam chyba byłem. Aha, czy na prawo dojdę do wind?

Mówił spokojnym tonem, udając niezbyt rozgarniętego, ale przyjacielskiego faceta. Miał nadzieję, że usłyszą go nadchodzący komandosi.

Strażnik odwrócił się i podszedł do niego, jakby wołał rozmawiać z Wilksem z bliskiej odległości.

– Słuchaj. Zawróć w tamtą stronę. Kiedy dojdiesz do krzyżówki, skreć w lewo. W lewo. Zrozumiałeś?

– W lewo. Hmm. Dobra.

Strażnik aż potrząsnął głową. Nie spodziewał się takiej głupoty u kogokolwiek. Ruszył w stronę przeciwną do D6. Wszystko skończyło się dobrze. Inaczej Wilks musiałby sprzątnąć tego młodzika.

Wypuścił głęboko powietrze i poczekał kilka sekund, nim ponownie je wciągnął. Komandosi zgromadzili się przy drzwiach do doku. Byli tam wszyscy z wyjątkiem Falka. To on wyszedł zza rogu, przygotowany na wszelkie przeszkody jakie mogły go spotkać. Musieli usłyszeć rozmowę ze strażnikiem.

Tully trzymała palec na przycisku i czekała na sygnał. Ripley uniosła brwi.

– Dalej, do dzieła – powiedział Wilks.

Zanim jednak Trully zdążyła zareagować, drzwi otworzyły się cicho. Stał w nich mężczyzna w roboczym kombinezonie. W dłoniach trzymał coś, co wyglądało jak broń.

Billie i Jones szli w stronę hallu. Nie zamienili ani słowa. Kiedy minęli pierwszy zakręt. Billie spostrzegła plecy Moto i Carveya. Nieco się odprężyła. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Ciekawa była, jak poradził sobie zespół Ripley. Dunston wystąpił do przodu jakby chciał powitać zaskoczonygo robotnika. Oczywiście przedmiot w dłoniach mężczyzny nie był bronią, lecz jakimś narzędziem. Człowiek w kombinezonie upuścił je i podniósł ręce do ust. Był zaskoczony, ale bojowo nastawiony. Nikt nie powinien się tu znajdować i on o tym wiedział.

Dunston wyciągnął ręce, trzymając je w taki sposób, że ich kanty zwrócone były w stronę robotnika. Ripley zauważyła, że mężczyzna zamrugnął stropiony...

Nauczyciel sztuk walki szybko przesunął do przodu prawą nogę. Teraz prawie kuczał. Naprężone palce wystrzeliły w stronę twarzy tamtego.

Robotnik chciał zasłonić dłońmi twarz i...

Dunston padł płasko na podłogę i zrobił szybki ruch nogami.. Mężczyzna jęknął i zwałił się ciężko na ziemię.

Wilks pochylił się i klepnął go w twarz. Tamten nie poruszył się. Najwyraźniej stracił przytomność.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu kilku sekund. – Dobry cios – odezwał się Wilks.

– W środku nie ma już nikogo – stwierdził Dunston – ale spieszmy się. Ktoś nadchodzi.

Billie i lekarz dochodzili już do doku; kiedy usłyszeli odgłos szybkich kroków zbliżających się w ich stronę. Dziewczyna skamieniała. Po sekundzie położyła wolną rękę na ramieniu Jonesa. Zatrzymał się i popatrzył na nią. W oczach miał strach. Nagle czas zwolnił swój bieg, ale tym szybciej przebiegały jej przez głowę wszelkie możliwe tłumaczenia. Właśnie biegniemy

do wypadku, jestem asystentką, a on lekarzem: Nauczamy w klasie...

Przed nimi pojawiła się Adcox. Dyszała ciężko. Billie i Jones wypuścili głośno powietrze. Ulżyło im, lecz wyraz twarzy pani porucznik natychmiast zniweczył ich spokój. Adcox chwyciła jedną z ich toreb.

– Kłopoty – powiedziała i ruszyła w kierunku doku.

Billie biegła pomiędzy nią i Jonesem. Char nie traciła czasu na wyjaśnienia, a ona nie pytała. Zresztą, szybko się dowiedzą o co chodzi. .

Wilks wciągnął robotnika do środka i odwrócił się do Dunstom.

– Kto idzie? – spytał. – Drugi robotnik.

– Jak? – Wilks zamierzał zapytać, skąd mógł się tamten o nich dowiedzieć, czy popełnili jakiś błąd, kiedy sam spostrzegł powód.

W jedynym rogu wielkiej sali stał stół, gdzie z pewnością robotnicy jadalі śniadanie. Na stole stały dwie tace i dwie parujące filiżanki z ciemnym płynem.

– To naprawdę mistyka – odezwał się Dunston. – Starożytny sekret Orientu, smak wielu kaw...

Wbiegła Adcox, a tuż za nią Billie i Jones. Wilks odwrócił się do nich.

– Zabierzcie wszystkich do środka. Spodziewamy się wizyty.

Tully już pracowała przy hermetycznym włączniku, Falk wyszedł na zewnątrz, by pomóc innym przetransportować sprzęt. Wilks popatrzył na Ripley i dostrzegł w jej twarzy nieme pytanie: Ile mamy czasu?

\*\*\*

Billie wbiegła do doku, a Falk zatrzasnął za nią drzwi. Carvey natychmiast przykucnął przy nich z palnikiem. Błysnął



plomień, zbyt jasny, by móc swobodnie na niego patrzeć. Komandos szybko stopił część twardego plastiku i odszedł do tyłu.

Moto wyjęła jeden z karabinów i wycelowała go w zespane drzwi.

Tully wystukała kod zamka luku powietrznego.

– No, szybciej – rzuciła Ripley pomiędzy zaciśniętych szczęką

– Dobra, dobra – powiedziała Tully cicho, prawie do siebie – I... już!

Właz odsunął się powoli. Tully odłączyła komputer i podbiegła do włazu *Kurtza*. Wetknęła wtyczkę w zamek. McQuade poszedł za nią. Inni stali w napięciu, gotowi do załadunku...

Za ich plecami zadźwięczał sygnał mechanizmu zablokowanych drzwi. Potem odezwał się ponownie, tym razem dłużej. Sygnał brzmiał tylko przez jedną lub dwie sekundy, ale wydawało się, że znacznie dłużej. Potem ktoś zaczął walić w drzwi.

– Diestler! – zawołał kobiecy głos stłumiony grubym plastikiem. – Hej, otwieraj !

Mężczyzna leżący na podłodze zamruczał i przekręcił głowę. Niewątpliwie to właśnie on nazywał się Diestler.

Moto skierowała broń w jego stronę, ale nie, poruszył się więcej.

Ripley i Wilks wymienili spojrzenia. Sierżant podszedł do drzwi.

Walenie nie ustawało.

-Ty dupku! Wystygnie mi to gówno, otwieraj!

Wilks wepchnął nerwowo przycisk. Mechanizm zazgrzytał, lecz drzwi pozostały zamknięte

– Poczekaj! – wrzasnął sierżant. – Drzwi się zacięły!

Zapadła cisza. Ripley zacisnęła zęby. Miała nadzieję, że głos Wilksa zabrzmiał podobnie do głosu nieprzytomnego robotnika.

– Dobra – stwierdziła kobieta z drugiej strony. – Rusz się, cudowny techniku, i napraw te cholerne drzwi. Moje śniadanie diabli wezmą, jak się nie pośpieszysz.

Ripley zauważyła, że wszyscy nieco się odprężyli. Wilks zapewnił im chwilę czasu.

Tully przestała naciskać klawisze i kiwnęła na McQuada. Spokojny głos komputera rozległ się z monitora umieszczonego na wysokości twarzy.

"Pilot dowodzący proszony jest o podanie kodu głosowego".  
– McQuade, Eric D., kapitan – powiedział spokojnie oficer. – A – siedem – zero – pięć – o – b.

"Dziękuję". Tully wprowadziła końcowy kod. Uśmiech pojawił się na jej twarzy. Z triumfującą miną wcisnęła ostatni klawisz.

Ripley również się uśmiechała. Prawie... Nic się nie stało.

"Fałszywy kod. Nie ma dostępu. Proszę wprowadzić nowy kod".

Wilks podniósł narzędzie, które upuścił Diestler, i przyjrzał mu się uważnie. Był to rodzaj komputerowego kodownika - podłużna skrzyneczka z kilkoma klawiszami po jednej stronie.

Z drugiej strony drzwi ponownie odezwała się kobieta:

– Hej, Diestler. Ruszaj się; albo siądę tu na podłodze i zjem wszystko, co niosę. Twoje także. I nie mów mi, że coś zrobiłeś z drzwiami, kiedy mnie nie było.

Wilks popatrzył ponownie na skrzynkę, którą trzymał w dłoniach. Oczywiście!

– Diestler? Odezwiij się – teraz jej głos zabrzmiał podejrzliwie. – Co ty tam, swoją drogą, robisz?

– Poczekaj sekundę – krzyknął. – Spróbuję jeszcze raz.

Odwrócił się i tak cicho jak tylko potrafił, podbiegł do zamkniętego luku.

– Nie mam żadnego nowego kodu! – powiedziała Tully. To jest to! Musieli zmienić go od wczoraj!

Cała załoga zgromadziła się wokół niej.

– Uży nie możemy wysadzić tych drzwi? – spytał Jones.

– Nie bez wywołania alarmu – wyjaśnił Falk. Olbrzym wyglądał na rozszoszczonego. – I nie byłoby dla nas najlepiej, gdybyśmy wystartowali z wielką dziurą w powłoce.

Billie poczuła narastającą wściekłość. Zatrzymani przez jakieś pieprzone drzwi...

Wilks przeszedł obok niej i wcisnął skrzynkę w rękę Tully. – Podłącz to. Szybko chwyciła urządzenie i wetknęła przewód w jedno z wejść swego komputera.

Ripley spojrzała na sierżanta. – Co... – zaczęła.

– Powinien tam być nowy kod. Generał jest większym paranoikiem niż myśleliśmy.

Właz do *Kurtza* stanął otworem.

McQuade i Ripley przypięli pasy w fotelach przy konsoli sterowniczej. Inni przygotowywali się do startu. Wilks stanął obok dwójki pilotów. Przy odrobinie szczęścia kobieta po drugiej stronie drzwi jeszcze nikogo nie zaalarmowała. Jeżeli to zrobiła, zaraz zaczną się kłopoty.

Gdy McQuade powcisnął wszystkie kontrolne przyciski, w interkomie zatrzeszczał głos.

– Pilot na *Kiertzcc*. Proszę o identyfikator.

– Tu kapitan Eric McQuade. A kto mówi? – powiedział spokojnie. – Panie kapitanie. Mówi porucznik Dunn z Kirklanda. Proszę podać cel wyprawy i kod zezwolenia.

– Operacja "Ostrze Strzały" – głos miał wyraźnie znudzony.  
– Kod: P – dwa jeden – cztery -o-dwa.

Był to kod generała Petersa. Przez chwilę panowała cisza.

– Panie kapitanie? Nie mamy takiej misji w naszych dartych.  
– Dunn wydawał się być bardzo młodym i nerwowym oficerem.  
– Proszę chwilę poczekać. Zawiadomię generała.

– Jezu Chryste. Peters wysłała kolejną wyprawę przeciw potworom i nie musi zawiadamiać jakiegoś szczeniakowatego porucznika. Czy dlatego teraz musimy czekać, żeby znowu wydał swoje zezwolenie, Dzięki, synu, nie skorzystam, Jak myślisz, po co chcemy lecieć? Dla zabawy? – McQuade przerwał na moment. – Dobra. Sprawdzaj, ale pomódl się, żeby generał był w dobrym humorze. Poruczniku.

Ponownie zapadła na chwilę cisza, potem odezwał się niepewny głos Dunna.

– Przepraszam, panie kapitanie. Uhm. Startujecie. Lot sprawdzony i zweryfikowany. Powodzenia, panie kapitanie.

Wilks i Ripley jednocześnie wyszczerzyli zęby w szerokim uśmiechu. Sierżant klepnął z rozmachem McQuada w plecy. Z tyłu dobiegł ich głośny śmiech kilku ludzi. Wilks podszedł do fotela, usiadł i przypiął pasy. Czuł, że mu przykro z powodu tego młodzika Dunna. Do czasu, kiedy połączy się z generałem, oni znajdą się poza zasięgiem patrolowców. Zapłaci za to ten dzieciak. Niedobrze.

Billie uśmiechnęła się do niego.

– Punkt dla dobrych chłopców – powiedziała.

Zanim odpowiedział, usadowił się wygodnie w fotelu. – To była najłatwiejsza część planu.

Skinęła głową, a jej uśmiech zgasł nagle. Wilks oparł się wygodnie o oparcie i wypuścił głośno powietrze.

Teraz już nie było odwrotu.

## ROZDZIAŁ 10

Ripley była ostatnią osobą na *Kurtzu*, która jeszcze nie spała. Sprawdziła jeszcze raz kurs statku, trzęsąc się z zimna. Miała na sobie tylko cienki kombinezon i bieliznę; ubiór przeznaczony do komory hipersnu. Nie zabezpieczał on wcale przed chłodem wnętrza statku. Wydajność nagrzewnic powietrza i wymienników została już zredukowana do minimum. Cały system włączy się ponownie na parę godzin przed ich obudzeniem, albo raczej zanim ona się obudzi. Ustawiła swoją komorę na wybudzenie o godzinę przed innymi. Zrobiła tak bez żadnego powodu, po prostu instynktownie.

Kiedy wszystko już sprawdziła, podeszła bosą do komory. Członkowie załogi już spali. Byli ze swymi snami. Ripley miała nadzieję, że nic nie zakłóci ich snu. Jak dotąd wszyscy wiele jej pomogli. Była zadowolona.

Ostatni rzut oka na pomieszczenie, w którym znajdowały się komory. Ciekawa była, co jej się przyśni podczas snu, który przypominał śmierć...

Ciałem Ripley wstrząsnął dreszcz. Nacisnęła klawisz uruchamiający mechanizm komory. Wzdrygnęła się ponownie. Tym razem nie z powodu zimna.

Wilks już tam kiedyś był. Pewność tego faktu tkwiła w jego świadomości. Stał w jakimś ciemnym miejscu, a w powietrzu krążyły strach i oczekiwanie.

– ...są wszędzie wokół nas! – krzyknął ktoś za jego plecami. Głos wydał się mu znajomy, podobnie jak całe otoczenie.

Gdzieś z przodu, w gorących, wilgotnych ciemnościach rozległ się ostrzegawczy dźwięk alarmu. Ogromne zwoje błyszczącej czerni pokrywały wszystkie ściany wokół niego.

– Nie – mruknął cicho.

To nie mogło być to. On sam i wszyscy inni znaleźli się na Rim. Na planecie, gdzie obcy wybili jego oddział, gdzie on miał umrzeć...

– Zamknijcie się! – ryknął nagle.

Wiedział, co muszą zrobić. Miał w tym doświadczenie.

– Pilnować swego pola ostrzału! Wszystko pójdzie dobrze! Już ośmioro z jego oddziału nie żyło. Jako kapral był teraz najwyższy rangą i musiał wszystko kontrolować.

Wewnątrz kryjóWKi obcych usłyszał strzały karabinowe. Mała dziewczynka uwiesiła się jego ramienia. Billie.

– Spokojnie, kochanie – powiedział.

Gdy podnosił ją w górę, odwróciła swą zapłakaną buzię i spojrzała na niego. Wszędzie wokół skrzeczały i syczały potwory. Słychać było grzechot maszynowej broni.

– Wszystko dobrze się skończy. Wrócimy na statek i wszystko będzie dobrze.

Próbował biec, ale nogi wrosły mu w plaston. Wszystko działało się tak szybko, a on nie mógł się poruszyć. Wykrzyczał kolejne rozkazy, chociaż nie widział, komu je wydaje. Którzy z jego żołnierzy jeszcze żyli?

– Celować dokładnie. Strzelać tripletami. Nie mamy na tyle amunicji, żeby tracić ją na ciągły ogień!

Przed nim były zapieczętoWane drzwi: Będą musieli się przez nie szybko przedrzeć. Reaktor stopi się niebawem, a tuż za nimi były całe gromady obcych.

Billie krzyknęła, kiedy próbował ją postawić na ziemi. Boże, jaka była mała.

– Muszę otworzyć drzwi – wyjaśnił.

Ktoś wyszedł z ciemności i chwycił małą. Odwrócił się zadowolony i...

– Leslie?

Ubrana była w kimono. Karabin miała zarzucony na ramię. – Wezmę ją – powiedziała z uśmiechem.

Źle, coś tu jest nie tak...

Nie ma czasu na myślenie. Wyciągnął zza pasa plazmowy przecinak i uruchomił go. Zamek rozplynał się i ściekł jak woda pod osłepiającym ostrzem plazmy.

Drzwi otworzyły się.

Wiedział, że się zbliża nieuniknione. Czuł, że czeka tam na niego królowa. Kiedyś już o tym śnił...

Lecz nie.

Wszedł w mroczną pustkę korytarza. Szybko ścichły głosy dochodzące z hallu. Zapanowała śmiertelna cisza.

Nagle stanęła przed nim Billie. Nie mała dziewczynka, którą była jeszcze przed chwilą, lecz dorosła kobieta ubrana w wojskowy mundur. Spostrzegł, że obnażyła jedną ze swych małych piersi. Jasna skóra połyskiwała od potu. Dziewczyna powoli zbliżała się ku niemu. Twarz miała spokojną i piękną.

– Dawidzie – szepnęła i przylgnęła do niego.

Poczuł nagle gorąco w dole brzucha, a po chwili jego członek wyprężył się i stwardniał.

Poczuł się nieswojo. Nie, to nie może się stać.

– Billie – odezwał się. – Musimy się stąd wydostać. Nie mamy czasu...

Zamknęła mu usta gorącymi wargami. Przesunęła po nich koniuszkiem języka. Zamknął oczy, a ona przesuwała dłońmi po jego ciele. Coraz niżej...



Kiedy stanął już na progu rozległ się ogłuszający hałas nowe, krzyki... rozkoszy, nagle za ich plecami Wycie alarmów, strzały karabinowe, krzyki... Oderwał się od Billie i chwycił za pas. Otworzył oczy. Szybko, sięgnąć po broń, zrobić...

Stał sam nieuzbrojony. Okręcił się wokół, rozglądając za Billie, szukając kogokolwiek, usłyszał, że nadchodzą potwory. Zbliżają się, a on nic nie widzi. Mechaniczny głos komputera oznajmił, że reaktor ulegnie stopieniu w ciągu pięciu sekund.

– Nie! – wykrzyknął i upadł na kolana. – Nie, nie, nie... "Trzy sekundy. Dwie. Jedna. Stos zaczyna się topić..."

Świat stał się nagle oślepiająco biały.

Billie i Ripley szły obok siebie w ciemnościach tunelu, gdzieś na Ziemi. Nie było tu ani zimno, ani gorąco. Powietrze było nieruchome i ciche.

Billie kilka razy spoglądała na Ripley, ale ta miała oczy bez przerwy wpatrzone w głębi korytarza.

Szukały Amy. Billie pomyślała, że znalazły się w jakimś ciągu komunikacyjnym. Chciała spytać Ripley, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Nic nie powiedziała.

Obawiała się, że może w jakiś sposób przegapić dziewczynkę. Zadowolona była, że Ripley z nią jest. Jeżeli ktokolwiek potrafi odnaleźć Amy, to z pewnością tym człowiekiem jest starsza kobieta idąca obok niej. Zresztą, nieważne kto ją odnajdzie, byle tylko żyła...

Doszły do miejsca, gdzie tunel się rozwidłał, a oba korytarze wiodły w mrok. Ripley bez słowa skręciła na lewo. Billie chciała iść za nią, ale przecież Amy mogła znajdować się w prawej odnodze. Weszła sama do ciemnego korytarza.

Utrzymywała stałe tempo od kilku, jak jej się wydawało, godzin. Szła prosto. Jedynymi dźwiękami były odgłosy jej kroków i oddechu. Odbijały się cichym echem w pustce. Wiedziała, że nie może niczego zobaczyć – tunel nie był przecież

oświetlony – ale w jakiś dziwny sposób rozróżniała kolejne części korytarza, zanim do nich doszła.

Nagle, gdzieś daleko przed sobą, usłyszała jakiś dźwięk. Zatrzymała się nasłuchując. Płakało dziecko. Samotny lament leciał wzdłuż tunelu i otaczał ją niewidzialną otoczką. Akustyka była tutaj niesamowita. Billie nie potrafiła określić jak daleko znajduje się płaczący dzieciak.

– Amy ! – krzyknęła. Zawodzenie nie ustawało.

Była pewna, że to właśnie ona. Zaczęła biec. – Trzymaj się, Amy! Idę do ciebie!

Dźwięk jej głosu zabrzmiał dziwnie płasko w przepelnionej echami pieczarze.

Biegła długo, aż zobaczyła, że tunel skręca., Czuła, że za zakrętem jest Amy. W końcu...

– Amy !

Wybiegła zza rogu i zatrzymała się. Serce waliło jej jak oszalałe. Ciemności otaczały ją nieprzeniknioną zasłoną. Poczowała zimno.

Tunel rozgałęział się w pięć kolejnych korytarzy. Gdzieś daleko ciągle słychać było płacz dziewczynki. Billie usiłowała ustalić, z którego tunelu dochodzi.

– Gdzie jesteś? – zawołała, lecz nie usłyszała żadnej odpowiedzi poza szlochem zagubionego małego dziecka. Osunęła się na podłogę. Objęła rękami głowę i zaczęła płakać. Czuła się tak samotna, jak jeszcze nigdy w życiu. Zagubiona i przerażona, jak to niewidoczne dziecko w oddali: Usłyszała, że ktoś woła jej imię, lecz nie była to Amy. Nie miała siły odpowiedzieć i nie zależało jej na tym. Nigdy już nie odnajdzie Amy. Teraz to wiedziała.

Otarła łzy. Nie było nadziei. Nie było żadnej nadziei!



## ROZDZIAŁ 11

Ripley wsunęła stopy w buty i ziewnęła szeroko. Czuła się wyczerpana i jakby brudna, skacowana od długiego snu. Wiedziała, że prędko jej przejdzie, gdy tylko zacznie się ruszać. Złe samopoczucie nie powstrzymało jej od uważnego sprawdzenia wszystkich zamkniętych jeszcze komór, w których spoczywała załoga. Były czasy, kiedy spanie wydawało się nieskończenie lepszym wyjściem niż czuwanie.

Westchnęła, wyciągnęła ręce nad głowę, a potem z rozmachem schyliła się do stóp. Jakiś wyrwany z pamięci obraz zamajaczył jej w myślach – coś, co miało związek ze świeżo wyklutym ptakiem. Dmuchawy ciepłego powietrza włączyły się zгідnie z planem i basowy szum mechanizmów rozleżał się w kabinie hipersnu. Pomieszczenie nie nagrzało się jeszcze dostatecznie i było ciągle tak zimne, że oddech skraplał się natychmiast po opuszczeniu ust. Do czasu, kiedy inni się obudzą, będzie już ciepłej. Z pewnością ptak, który pierwszy pojawiał się w gnieździe, miał najbardziej gorącą krew.

Jej sen był głęboki i nie zakłóciły go żadne majaki. Choć nie obudziła się zbyt świeża, mogła od razu zająć się ważnymi sprawami. Jej główny plan zabrania królowej na Ziemię był w porządku, chociaż wydawał się pozbawiony zdrowego rozsądku. Jednak szczegóły ciągle rysowały się nieco mgliście. Po pierwsze, jak załadować potwora na pokład – przecież monstrum z pewnością nie wskoczy samo do wjazdu, kiedy grzecznie poproszą:

– Przepraszam, czy nie zechciałaby pani podejść nieco w tę stronę?

Dobra, nie wszystko naraz. Znajdowali się o trzy dni lotu od planety królowej. To dużo czasu, żeby coś ustalić.

Ripley poznała rozkład statku jeszcze w Stacji, ale może spacer po jego pokładzie wyzwoli jakiś drzemiący w podświadomości pomysł.

Wyszła do przeraźliwie zimnego korytarza.

*Kurtz* był dwuzadaniowym frachtowcem. Zbudowano go nie tylko do podróży w głębokiej przestrzeni, ale także do penetracji planet i ich lądów. Miał kształt starodawnego bolidu z płetwami, był płaski na spodzie i w większym lub mniejszym stopniu aerodynamiczny. Uczyła się latać. Na takich statkach. Swoją licencję pilota otrzymała na jednym z nich. Nie różnił się wiele od *Kurtza*.

Wyższy poziom, na którym się teraz znajdowała, stanowiły pokoje rozdzielone głównym korytarzem, który biegł przez całą długość statku. Stanowisko dowodzenia znajdowało się z przodu i po lewej, Naprzeciw niej widać była rząd drzwi, Prowadziły do pokoi załogi.

Może więc mała przechadzka? Zaczęła iść w kierunku rufy.

Każdy pokój miał swoją część łazienkową, ale natrysk był wspólny, by łatwiej regulować zużycie wody. Mieścił się pomiędzy ostatnią kabiną a maleńką salką do ćwiczeń. Za nią było centrum medyczne, które wydawało się zimne i sterylne. Przynajmniej tak wyglądało przez drzwi z pleksifleksu. Przy odrobinie szczęścia nie będą musieli z niego korzystać.

Dotarła do końca korytarza i odwróciła się w stronę dziobu. Teraz po jej lewej stronie znajdowała się część magazynowa, gdzie komandosi złożyli swoje wyposażenie, zanim weszli do komór snu. Potem była mesa. Jej żołądek skurczył się nagle na myśl o jedzeniu. Popatrzyła na przymocowane do podłogi stoły i

krzesła. Ten pokój może im służyć za salę konferencyjną. Po namyśle przeszła dalej, postanawiając zjeść razem z innymi.

Znalazła się na powrót w miejscu, z którego wyruszyła przy komorach hipersnu. Wszystko wszystkim, to był dobry statek. Trochę większy niż tak naprawdę potrzebowali, ale to w niczym nie przeszkadzało. Poza tym przypomniała sobie czyjeś słowa, że złodziej zawsze lubi wygody.

Potrząsnęła głową. Znowu ten sam problem: wygrana czy porażka.

Poszła na stanowisko dowodzenia, mijając ponad dwadzieścia foteli dla załogi. Weszła do oddzielnego pomieszczenia dla pilotów. Stała przez moment i przyglądała się konsoli, jej kolorowym światelkom kontrolnym, które jarzyły się w mrocznej kabinie. Lot przebiegał bezproblemowo. Alarmy były nieme. Ruszyła w stronę jednego z pięciu szybów ze schodami, by zejść na niższy poziom.

Minęła pomieszczenie komputera i luk z ładownikiem. Nie zwróciła na nie większej uwagi. Serce zaczęło bić jej mocniej dopiero przed podwójnym włazem prowadzącym do ładowni. To było to, co chciała sobie obejrzeć. Nowy dom dla królowej. Wciągnęła głęboko powietrze i weszła do środka.

Stała w ogromnej komorze pokrytej grubą warstwą spieków karbonowych. Tylko oświetlenie było wolne od tej powłoki, lecz osłonięte za to grubymi płytami z pancernego szkła. Kwasoodporne szare pokrycie ścian nadawało ładowni wygląd gigantycznego jelita oglądanego od środka. Ściany były suche, ale wyglądały na mokre, wręcz oślizłe. W pobliżu były dwie klatki schodowe. Jedna prowadziła do komór hipersnu, druga do mesy. Obydwie kończyły się hermetycznym włazem i dodatkowo super grubymi drzwiami ciśnieniowymi. Trzeba je będzie sprawdzić, zanim załadują swój szczególny ładunek. Ostrożności nigdy za wiele. To miejsce miało powstrzymać

przed wydostaniem się wszelkie, najbardziej zjadliwe biologiczne, chemiczne i promieniotwórcze odpady, jakie potrafił wyprodukować człowiek. Inżynierowie, którzy zaprojektowali właz, wiedzieli, że zwykle tak niebezpieczny ładunek przewożony jest w specjalnych pojemnikach w stanie stałym lub jako ciecz w zaplombowanych baryłkach. Lecz w przypadku zagrożenia drzwi mogły być zamknięte, a ładunek przepompowany specjalnymi rurami. Ładownię można było w ten sposób zamienić w gigantyczne akwarium z toksycznym płynem.

Jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę był jej własny oddech. Rozejrzała się po komorze i pokiwała głową. Odpowiednie miejsce dla tej suki. Niech spróbuje wbić zęby w tę powłokę, niech siedzi tu jak pluskwa i myśli, jaki los przypadnie jej w udziale. Pieprzyć ją. Niech zdechnie.

Obejrzała wszystko, co chciała zobaczyć. Niedługo zbudzi się reszta załogi. To, czego teraz najbardziej pragnęła, to zjeść coś i wejść pod gorący prysznic. Nie miała żadnych rewelacji do opowiedzenia, ale może innym przyśniło się coś ważnego.

Ruszyła z powrotem do schodów wiodących do pomieszczeń komputera. Pomyślała, że może bliskość planety spowoduje, że sny będą zawierały więcej szczegółów. Może przyjdzie komuś do głowy pomysł dający się wykorzystać. Były to tylko przypuszczenia, ale przecież cała ich wyprawa nie opierała się na niczym innym. Grube płyty schodów dudniły głucho pod jej butami.

Uśmiechnęła się do siebie. Powietrze stało się już cieplejsze. Może królowa powie im jak ją schwytać, jeżeli uprzejmie ją poproszą. To byłaby bardziej zwariowana rzecz niż cała wyprawa.

Wilks usłyszał kilka stłumionych chrząknięć dochodzących z sąsiednich komór. Członkowie załogi gramolili się na zewnątrz, przeciągali, zakładali ubrania. Powoli wracali do życia. Sierżant

przechylił głowę do tyłu i usiłował usunąć ból tkwiący głęboko między łopatkami. Miewał już gorsze kace, ale wybudzenie się z hipersnu zawsze wywoływało u niego uczucie dezorientacji i zagubienia. Nie bardzo pamiętał, czy śniło mu się coś...

– Dzień dobry, Wilks – usłyszał głos Billie.

Obeszła komorę dookoła i stanęła obok niego. Rozprostowywała i zaciskała miarowo palce. Twarz miała bladą.

– Widziałeś Ripley?

Patrząc na nią przypomniał sobie fragmenty snu, bardziej uczucia niż obrazy. Było tam coś z Billie. Seks? Odwrócił się na chwilę od niej.

– Nie. Mam nadzieję, że robi kawę. – Pragnął, by te słowa zabrzmiały lekko i niefrasobliwie.

Kiwnęła głową i poszła w kierunku natrysków.

Wilks naciągnął buty. Może pójdzie pod prysznic po śniadaniu. Ziewnął szeroko i ruszył w ślad za innymi do mesy.

Ripley rzeczywiście zrobiła kawę, a na dodatek wyjęła kilkanaście pakietów z jedzeniem i sztućce. Siedziała teraz przy jednym ze stolików i dziubiła widelcem w parującym daniu.

Wilks nalał sobie kawy do filiżanki i wziął tacę z pakietem opisanym jako potrawka. Usiadł naprzeciw Ripley.

– Cześć – powiedział. – Wcześniej wstałaś.

Kiwnęła głową i popatrzyła na jego świeżo rozpakowane danie. Mimo opisu wyglądało dokładnie tak samo, jak jej szarawa bryja z soi. Skrzywiła się.

– Powinni pomyśleć o kolorowaniu tego świństwa – odezwał się. – Dobrze spałaś? .

– Tak jak tego oczekiwałem. Ale wyłożenie z łóżka było



potworne.. Znowu kiwnęła głową i zaczęła jeść. Wilks uszanował jej milczenie i skupił swą uwagę na reszcie załogi, która właśnie przybyła do stołówki.

McQuade wyglądał na zmizerniałego i wściekłego. Brewster zauważył to natychmiast.

– Na Buddę, kapitanie, wyglądasz jak rzadkie gówno. Odwrócił się do Carveya i dodał:

– No wiesz, mówią, że ciężko jest podróżować w starszym wieku.

Kapitan zmierzył Brewstera zimnym spojrzeniem.

– Właśnie, byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym się wyspał, ale wasze dziewicze pierdnięcia wydobywające się przez cały czas z komór nie pozwoliły mi usnąć.

Carvey parsknął zduszonym śmiechem.

Brewster pomyślał o powrotnej drodze. Zawahał się przez chwilę i w końcu wykrztusił:

– Eee.. przepraszam, panie kapitanie. Ja... McQuade przerwał mu:

– Dobra Twoja matka już mnie przeprosiła. To jest dokładnie to samo, co powiedziała mi w mojej kwaterze, w Stacji. Tylko to powiedziała, bo cały czas miała pełne usta...

Teraz nawet Brewster się roześmiał.

Wilks też się uśmiechnął. Kapral został zrobiony na szaro. Moto i Falk razem wzięli tace z jedzeniem.

– Co to jest? – spytał olbrzym i wskazał na talerz z jakąś rozdrobnioną substancją.

– A, to. Widzisz ulubiony przez wojsko chleb z kukurydzy – odpowiedziała Moto i położyła kawałek na swój talerz. - Przyzwyczaisz się do niego.

– Jak matka Brewstera – odezwała się Adcox i uśmiechnęła się słodko do komandosa.

Ten wrzucił właśnie na talerz kawał sojowego substratu. – Ale śmieszne, Adcox.

Wilksa nieco zaskoczyło to przekomarzanie się innych, lecz jednocześnie poczuł zaprawioną goryczą nostalgię. Urządzenie sobie kpin z kolegów było integralną częścią żołnierskiego życia; zwyczaje się nie zmieniły. Już dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy ostatni raz przebywał w takim towarzystwie. Teraz prawie słyszał swych starych kumpli, jak rozmawiają i przerzucają się żartami. Ich głosy panowały przez chwilę nad gwarą rozmów załogi Kurtza. Jasper, Cassady, Ellis, Quinn, Lewis. Jak zawsze w takiej chwili, czuł gorycz porażki. On ciągle żył, a oni odeszli.

Weszła Billie. Podchodząc do lady z potrawami, związywała włosy w kucyk.

Wilks chciał ją zawołać, ale ubiegła go Adcox i porwała do swojej grupki. Billie machnęła tylko ręką sierżantowi i Ripley. Potem usiadła i zaczęła rozmawiać z trójką koleżanek.

Wilks sączył kawę i rozglądał się po mesie. Spozstrzegł, że dwójka komandosów spogląda ustawicznie w kierunku Billie. Szczególnie często robił to Brewster. Uśmiechał się do niej bez przerwy, kiedy Carvey snuł jakieś zabawne opowieści o i barach w Stacji.

Sierżant poczuł nagle nieznaną mu dotąd potrzebę chronienia tej dziewczyny. Brewster nie był w jej typie, tego był pewny. Potrzebowała kogoś dojrzałego, kogoś, kto potrafi ocenić... "Jak ja" – przemknęło mu nagle przez myśl.

Śmieszne. Mieli wcześniej okazję, ale zdecydowali się iść własnymi drogami. Wszystko, co czuł do tej dziewczyny, to tylko przyjaźń, zawiązaną podczas wspólnych przeżyć.

"A ten sen..." – szepnął wewnętrzny głos.

Odwrócił wzrok od grupki, wśród której siedziała Billie. Dobrze, że w końcu znalazła ludzi w swoim wieku. Być może

jego troska o nią była po prostu wyrazem ojcowskich uczuć... Tak, chyba tak właśnie jest.

Billie stwierdziła, że bardzo polubiła Dylam Brewstera. Był nieco nieśmiały, o lekko sarkastycznym sposobie bycia i jasnym, szczerym uśmiechu. Był też bardzo miły. On i Tom Carvey zawsze trzymali się razem, a ich wzajemne uczucia były dla wszystkich oczywiste. Miała nadzieję, że są one jedynie wyrazem braterstwa.

Przysłuchując się ich rozmowom, pomyślała o Mitchu. Poczowała ból, jak w świeżo rozdrapanej starej ranie. Ciągle myślała o nim i ciągle czuła ból z powodu jego utraty. Nie powinna siedzieć tu i myśleć o innym mężczyźnie.

Jezu, przecież jadła tylko z nim śniadanie, a nie podrywała go. Jednak za każdym razem, gdy Brewster popatrzył na nią, czuła lekkie mrowienie w okolicy żołądka.

Popatrzyła w stronę Wilksa. Siedział i gapił się w głąb filiżanki z kawą. Kim jest dla niego? Albo kim on jest dla niej? Czuła się związana z nim, czuła swego rodzaju...

Za dużo myśli. Poczowała się zmęczona rozważaniem swoich związków z innymi w niecałą godzinę od przebudzenia się. Sny również ją wyczerpały. Szukała Amy i nie znalazła jej. Przypomniała sobie, że życie tej małej dziewczynki jest teraz najważniejszą sprawą.

Ripley wstała i powiodła wzrokiem po siedzącej wokół załodze.

– Przepraszam – powiedziała – skoro wszyscy tu są, chciałbym przedstawić kilka propozycji.

Wszyscy zamilkli. Billie nawet odłożyła widelec.

– Dzięki. Myślę, że nasze sny mogłyby powiedzieć nam coś nowego, skoro planeta jest już tak blisko. Może będzie to dokładniejsza lokalizacja, może liczba obcych, może coś innego.

Chciałabym, żebyście zapamiętali sny z dzisiejszej nocy, a jutro porozmawiamy o tym.

Jedna rzecz powtarza się w danych was wszystkich: jesteście twórczymi i wrażliwymi osobami. Pomyślcie o tym. Jestem otwarta na wszelkie pomysły, więc gdy przyjdzie wam coś do głowy, powiedzcie mi o tym.

Usiadła i zaczęła po cichu rozmawiać z Wilksem. – Myśleć? Ale o czym? – spytał Carvey.

– Czy rozumiesz słowo "pomysł", Cary? To coś takiego jak myśl, ale z rodzaju tych najnowszych. – Brewster uśmiechnął się wyraźnie z siebie zadowolony.

– Wytrzymaj sobie pod nosem, dzieciaku. Rozumiem, że jesteś tak "wrażliwy", jak moje buty...

Billie przestała słuchać rozmowy dwójki żołnierzy i zamyśliła się nad słowami Ripley. Bała się snów i sprawdziła wszelkie medykamenty, jakie tylko były w Stacji, by ich uniknąć. Teraz majaki mają nasilić się i mają być bardziej szczegółowe. Wzdrygnęła się na tę myśl. Koszmary istniały w jej świadomości od dzieciństwa. Nie potrafiła powstrzymać ich nawet na krótki czas. Cholera!

Potem, kiedy rozejrzała się po bladych twarzach reszty załogi, pomyślała, że są przecież rzeczy znacznie gorsze niż przerażające sny. Wszyscy tutaj to zrozumieli, cała ludzkość o tym wiedziała.

Brewster posłał jej uśmiech i ona również uśmiechnęła się do niego. Poczwała ciepło na policzkach. Cóż, przynajmniej nie jest już samotna. Wszyscy tutaj byli jedną wspólnotą.

## ROZDZIAŁ 12

Keith Dunston stał pośrodku mrocznej nory królowej. Powietrze było tu wilgotne i gorące, gdzieś kapłała woda. Otaczały go ciche dźwięki – szmery i trzaski – jakby ktoś skrobał paznokciami po szkle, albo szeleściły w mroku jakieś zupełnie niewidoczne stworzenia. Wiedział co to jest, wiedział też, że to tylko sen.

Trzymał dłonie przed twarzą. Oddychał powoli i miarowo. Był to sposób, którego używał już wcześniej i zawsze udawało mu się opanować szalejącą podświadomość. Oczywiście, teraz było inaczej. Teraz nie były to jego myśli, lecz kierowanie przekazami dochodzącymi do jego mózgu nie było potrzebne, wystarczyło panować nad sobą.

Ogromny cień przesunął się przed nim. Był bardzo blisko. Mógł już rozróżnić jej kształt. Była wyższa niż potwory na Ziemi, potężniejsza, bardziej wyniosła.

*Podejść do mnie... , – usłyszał.*

Głos, który rozległ się w jego mózgu, przepelniony był miłością i błaganiem. Jego świadomość przetłumaczyła transmisję w formę, którą potrafił zrozumieć, którą znał. Znał od dawna.

Zamknął oczy i skoncentrował się na odpowiedzi, jak to już kiedyś próbował zrobić. Nigdy mu się jeszcze nie udało. Może teraz.

*Gdzie jesteś? Muszę cię odnaleźć.*

*Przyjdź do mnie, kocham cię, czekam...*

*Wiem. Czy są z tobą inni?*

Dunston czekał z zamkniętymi oczami. Dźwięki nadchodzących obcych stały się głośniejsze, wyraźnie dały się słyszeć w spokojnym powietrzu. Otaczały go, były coraz bliżej. Jej dzieci.

Setki, może tysiące, odpowiadały na jego pytanie swymi ruchami, szelestami, robieniem hałasu, jak jakaś szalona hybryda szarańczy i dzikiego zwierzęcia z sawanny.

Wcześniej sny były odmienne, bardziej żywe. Wyczuwał pod stopami twardość podłoża w mrowisku, czuł ciepło wydobywające się z dziwacznych konstrukcji obcych. No i zapach. Panował nad wszystkim i był mieszaniną zgnilizny, wymiotów i ubikacji chemicznej. Pomimo to emocjonalny wpływ królowej był obezwładniający. Mógł go pokonać, by otworzył się dla niej. Matczyna miłość wstrząsnęła nim, kiedy królowa z delikatnością gwałciciela usiłowała się wedrzeć do jego wnętrza.

Umieścił dłonie przed klatką piersiową i splótł palce, pozostawiając wyprężone jedynie wskazujące.. Pierwsza z dziewięciu *kanji* sztuki Kuji Kiri – Tu Mo, kanał kontroli...

Królowa skinęła na niego, potem zaczęła powtórnie nalegać. Dunston zwolnił rytm swego serca i szybkość przepływu myśli. Teraz spokój. Ruch, działanie nadejdą później.

We śnie zawsze był czas na uspokojenie.

Falk znajdował się w gorącej, śmierdzącej kloace, gdzie przebywała ona i jej bękarty. Pieprzona królowa. Był już tu wcześniej, ale tym razem wyglądało to jakoś inaczej. Niby podobnie, niby widział to samo, ale wszystkiego było jakby więcej. Powietrze było przesycone wilgocią; niemal ciągnęło się jak jakiś gorący klej. Wprost lepiło się do ciała. Otoczenie żyło, było pełne najróżniejszych dźwięków, jakby znalazł się we wnętrzościach gigantycznej bestii.

Czekał, pełen złości i strachu, aż ona przemówi do niego. *Chodź do mnie...*

Gęsta ciemność tuż przed nim poruszyła się. Podniósł ręce, dłonie zwinął w pięści i czekał. Chciał zniszczyć, urwać jej ten pieprzony łeb i zatańczyć dziko na jej kościach. Jej dzieci zabrały mu Marłę...

Poczuł jak ogarnia go smutek, jak zatapia go fala ciemnego przyływu samotności. Te bezmózgowe; wielkie robale wyrwały z niego życie, sprawiły, że wszechświat stał się mniejszy i ziemniejszy. Dlaczego właśnie Marłę? Dlaczego?

*Rozumiem...*

Głos w jego głowie był łagodny i cichy, lecz pełen siły. To nie królowa, nie szept, ale jakieś nadnaturalne królewskie brzmienie. Opuścił ręce. Poczuł własną bezradność.

– Marla? – spytał.

Głos miał zachrypli i drżący. To chyba z powodu tego powietrza.

– Marla? – powtórzył. To chyba niemożliwe. *Kocham cię.*

To był jej głos. Znał to brzmienie i kochał je. Ten niski, lekko ochrypli pogłos. Myślał, że nigdy go już nie usłyszy. Spróbował zrobić krok do przodu, ale stopy odmówiły mu posłuszeństwa. Rozejrzał się dziko dookoła, lecz nie mógł przebić wzrokiem otaczających go ciemności. Nie dostrzegłby, gdyby Marla znalazła się jakimś cudem w tym zakazanym miejscu.

*Chodź tutaj: Czekam...*

Nagle Falk uświadomił sobie, że przecież nie słyszy tych słów. Pochodzą z wnętrza jego mózgu. I to tam właśnie ciągle żyła Marla. Tam i nigdzie więcej. Ten głos był sztuczką i pochodził od królowej. A już miał nadzieję...

Jego zakłopotanie zniknęło w mgnieniu oka, a na jego miejsce pojawiła się wściekłość tak wielka, że wstrząsnęła całym jego ciałem. Wszystko wokół pokryło się nagle czerwienią, a potem ciemność rozdarła się i rozjarzyła gorącą bielą.

Falk zaczerpnął powietrza i wykrzyczał cały swój ból, swą furię. Szara zasłona spadła mu na oczy...

Charlene Adcox stała w zaparowanej komorze królowej i próbowała opanować przerażenie. Bała się, ale wiedziała, że

strach w niczym jej nie pomoże. Jej własna matka powtarzała to wielokrotnie, a ona jej wierzyła. Chociaż wizyty u doktora Torchina pomogły jej stłumić to negatywne uczucie, prawie wyrugować z jej charakteru, to jednak...

Przestało być to teraz ważne. Przyjrzała się otoczeniu, w jakim się znalazła. Starła się nie przegapić niczego. Miejsce było gorące i wilgotne jak sauna, ale powietrze dodatkowo przesycone było zapachem zgnilizny. Było ciemno, a jedyne światło wpadało tutaj przez kilka szczelin wysoko w sklepieniu mrowiska. Słysząc było dźwięk wody i jakieś ruchy wokół, ale wszystko koncentrowało się... gdzieś poza nią, i po lewej. Tam panował najgęstszy mrok.

*Pragnę cię, Kocham..*

Królowa zbliżała się, a jej wyznania dudniły Adcox w głowie. Razem z nimi, tak jak bywało wcześniej, pojawiły się obrazy. Informacja nie miała jednak w sobie nic ludzkiego. Punkty odniesienia, dane telemetryczne, mapy gwiazdne widziane jak z głębokiego tunelu i przekazywane z bezlitosną siłą. I naleganiem. Wszystko stawało się jaśniejsze...

Adcox poczuła nagle siłę uczucia, które emanowało z królowej, ale nie poddała się mu. Miłość była ogromna, lecz całkowicie bezosobowa. Jej własne myśli były silniejsze, kontrolowały emocjonalny chaos świadomości.

*Czekam na ciebie...*

Gdy matka obcych przemówiła, Adcox zrozumiała, gdzie jest. Znajdowała się gdzieś w kulistej powłoce otoczonej wodą. Konstrukcja była dziełem obcych, złożona, lecz wykonana z organicznych materiałów...

Skoncentrowała się i spróbowała wyobrazić sobie geograficzny plan, ale nie udało jej się. Nawoływanie działało na jej pierwotne instynkty i nie mogła mu się oprzeć, jednocześnie obawiając się ich szalonej siły.



Nagle królowa podeszła jeszcze bliżej, wystarczająco blisko, żeby mogła ją dotknąć. Jej obawy znikły i strach się ulotnił.

To nie może się stać...!

Krzyknęła, a cała jej zdolność do kontrolowania widziadeł znikła, gdy królowa podniosła swą szponiastą łapę, by pociągnąć ją za sobą...

## ROZDZIAŁ 13

Billie siedziała w stołówce obok Char i powoli piła kawę. Patrzyła na innych, którzy schodzili się na śniadanie. Wyglądali jak ona sama: ciemne obwódki pod oczami, blade twarze i widoczne napięcie nerwowe.

Obudziła się przerażona i jednocześnie wściekła z powodu przekazu królowej. Ciekawa była, na ile prawdziwe są informacje w nim zawarte. Nie dowiedziała się niczego nowego, z wyjątkiem potwierdzenia, że planeta, na której znajdują się już jutro, jest tą właściwą, Na pewno. Różnice w intensywności odbieranych transmisji nie pozostawiały wątpliwości.

Billie nie usnęła już po obudzeniu się z koszmaru. Słyszała jak Char krzyczy od czasu do czasu, aż do świtu. Ich kwatery sąsiadowały ze sobą. Spojrzała teraz na przyjaciółkę z obawą, ale wyglądało na to, że młoda porucznik wzięła się w garść. Usiadły razem, by porozmawiać o wszystkim z wyjątkiem snów. Na to będzie czas w trakcie zapowiadzanego spotkania z Ripley.

Wilks przyszedł ostatni. Wyglądał jakby całkiem nieźle się wyspał. Billie poczuła zazdrość na myśl, że sierżant nie należy do ludzi przeżywających potworne majaki.

Ripley oparła się o jeden ze stolików, splotła ramiona na piersi. Kiedy Wilks usiadł, zaczęła mówić:

– Dzień dobry. Mogę przypuszczać, że nikt nie spał dobrze dziś w nocy i wszyscy wiemy, dlaczego. Chciałabym jednak; usłyszeć, czy ktokolwiek z was spostrzegł w koszmarach coś nowego.

– Cóż, to jest ta planeta – odezwała się Billie. Wszyscy prawie jednocześnie kiwnęli potakująco głowami.

– Pieprzony strzał w dziesiątkę – stwierdził Carvey.

– Dobrze wiedzieć – przytaknęła Ripley. – Adcox, jesteś jedyną, która wcześniej wiedziała, gdzie ...

– Zbudowała swój kopiec w jeziorach albo na mokradłach – powiedziała Char martwym głosem. – Nie potrafię dokładnie określić. Jakieś gorące miejsce. Jest okrągłe jak kopuła, albo jej część. Ona sama jest o wiele silniejsza niż ziemscy obcy.

Dunston skinął głową.

– Potężniejszej postury i znacznie inteligentniejsza. I jest z nią cały legion innych. Setki.

Ripley westchnęła.

– Obawiałam się tego. Czy ktokolwiek dokładnie ustalił lokalizację ?

Jones odchrząknął głośno.

– Ona jest gdzieś w najgorętszej części planety. Nie widziałem kształtu budowli, ale jest to w jakiejś płytkiej wodzie, gdzieś gdzie temperatura jest stale wysoka.

– Dobrze – stwierdziła Ripley. – To jest cenne. Co jeszcze ?

Zapadło milczenie. Billie rozejrzała się po pokoju. Brewster przechwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem. Ciekawa była, co mu się śniło. Carvey milczał również. Falk gapił się na swe wielkie dłonie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Moto i Tully rozglądały się i czekały, aż ktoś wreszcie się odezwie.

Wilks wstał i przerwał napięcie.

– Jesteśmy wystarczająco blisko, by zebrać dane o powierzchni planety. Może natkniemy się na jakiś szczególnie gorący punkt. Tully, mogłabyś zrobić takie pomiary ?

Kobieta kiwnęła głową i podniosła filiżankę z kawą.

– No, dobra – odezwała się Ripley. – Wiem że to grube oszacowanie, ale zamierzamy znaleźć się tam już jutro, a ciągle nie jesteśmy gotowi do kilku rzeczy. McQuade i ja zamierzamy

popracować nad przygotowaniem kilku mechanicznych podnośników i możemy potrzebować pomocy. Spotkajmy się przy luku załadunkowym za pół godziny.

Spotkanie było skończone. Billie nie czuła się szczególnie głodna, ale podeszła do pojemnika z jedzeniem i wybrała jedno z dań. Może jedzenie trochę ją pobudzi do życia. Nałożyła sobie jakąś naukową wersję jajecznicy i wzięła kawałek chleba.

– Kiedy pokonamy wszystkie przeciwności tutaj – odezwała się Char – to co zamierzamy robić po powrocie na ziemię. Czy ktoś myślał już o tej odległej przeszłości ?

– Nie wiem. Sądzę, że powinniśmy się martwić o to, gdy uda nam się zająć tak daleko.

Adcox poruszyła wargami, jakby chciała coś dodać, ale nie odezwała się.

Jedzenie podjechało zapakowane w biodegradowalne opakowania. Było gorące ale wstrętne.

Billie zaczęła jeść swoje nie smaczne danie i zastanawiać się nad ostatnim pytaniem Char. Co zamierzają zrobić ? Chyba odpowiedz na nie jest najważniejszą częścią ich misji.

\* \* \*

Ripley zaskoczyło pytanie McQuada.

– Bomby Orony – odpowiedziała. – Czy to nie oczywiste ? Nigdy ich nie odpalono.

McQuade wzruszył ramionami.

– Nie znam nikogo o nazwisku Orona.

Zaczęli właśnie pracę przy urządzeniach załadunkowych. Inni powinni zjawić się za kilka minut. We dwójkę rozmontowali dwa potężne dźwigi *Kurtza*, spodziewając się zrobić z nich cztery nowe. Mniejsze, lżejsze i lepiej zabezpieczone. Odgłosy ich pracy rozlegały się głośnym echem w wielkiej ładowni.

Ripley położyła na podłodze wielki klucz maszynowy i odwróciła się do McQuada.

– Orona był rządowym naukowcem. To on właśnie był autorem pomysłu detonacji ładunków nuklearnych na zainfekowanych obszarach. Wszystko już było gotowe, ale zginął, zanim zdążył nacisnąć guzik.

– Dlaczego nie zrobił tego ktoś inny ?

Tym razem Ripley wzruszyła ramionami.

– Może jakaś usterka. Może ktoś zawahał się, kiedy nadszedł czas to zrobić. Prawdopodobnie wszyscy którzy potrafiliby odpowiedzieć na to pytanie, nie żyją.

McQuade sapnął ze złości.

– Pewnie dlatego tu jesteśmy, kapitanie.

Podniosła klucz i zaczęła przymierzać się do jednej ze śrub dźwigu.

– Więc skąd dowiedziałaś się o tym Oronie ?

Ripley odcepiała dźwignię i ułożyła ją na podłodze.

– Podstawowa wiedza, przynajmniej tak myślę.

– Tak. Wgląda na to, że Korpus miał dostęp do tych informacji, a ja nigdy o czymś takim nie słyszałem ...

Ripley skrzywiła się.

– Tym jest właśnie dla ciebie wojsko. Grupa wtajemniczonych, którzy nie dopuszczają innych do tego, co sami wiedzą. Przechowują kawałki układanki jak diamenty w stalowych sejfach, żeby nikt ich nie znalazł. A ludzie o to nie dbają. Większość tych informacji używana jest wyłącznie do różnych diabelskich sztuczek. – Nagle przypomniała sobie do kogo mówi i dodała. – Nie bierz tego do siebie.

– Nikt nie brał tego poważnie, zgadzam się z tobą. Udział komandosów w tym kryzysie był od samego początku źle zorganizowany. Paka generałów latała wokoło i wszędzie wtykała swoje paluchy. W wyniku dostali totalne zero. Dlatego tutaj jestem.

Wrócili do pracy, odkładając na bok części maszyn, które miały być później poskładane w nowe urządzenia. Ripley lubiła McQuada. Widziała, jak szybko i efektywnie potrafi pracować. We dwójkę odwalili prawie połowę roboty, zanim ktokolwiek pojawił się, by im pomóc. McQuade nie wiedział o bombach, chociaż ...

Usiłowała przypomnieć sobie, kto jej o nich powiedział. O planie Orony. Usłyszała to niedługo po drugiej wyprawie LV – 426. Na pewno przed wylądowaniem w Stacji ...

Brewster, Carvey Adcox i Billie weszli do komory i zbliżyli się do nich. McQuade podniósł pytająco brew.

– Dalej, rozkazuj – powiedziała. – To są komandosi.

Obserwowała, jak kapitan wydawał komendy. Billie usiadła na podłodze i zaczęła sortować różnych rozmiarów śruby, a trójka żołnierzy rzuciła się do rozbierania drugiego dźwigu. Potężne klucze zgrzytały w ich rękach, zapach smarów i rozgrzanego metalu przesycił powietrze.

Dziwne, ale McQuade raz po raz spoglądał w jej stronę w czasie komenderowania swoimi podwładnymi. Wiedziała, że załoga ją właśnie uważa za przywódcę wyprawy, ale była zaskoczona, że ... sama odbiera to tak naturalnie.

Zwróciła swe myśli w kierunku dalszej realizacji planów i jednocześnie zanotowała w pamięci, że musi popytać innych, co wiedzą o Oronie.

Wilks pochylił się nad barkami Tully i odczytywał dane o planecie.

– Atmosfera zdatna co oddychania, ale na granicy normy – odezwała się techniczka. – Duża ilość skażeń, mała tlenu.

– Mogło być gorzej – stwierdził Wilks. – Wędrowanie w skafandrach w tym klimacie byłoby męczarnią.

– Dużo wody. Prawie osiemdziesiąt procent powierzchni stanowi ocean. Na łąkach jest też dużo jezior. Pełno śladów

rozpuszczonych minerałów i prawdopodobnie lokalnego życia. Picie tego rosółu nie byłoby chyba rozsądne.

Wilks pochylił się niżej. Ciężenie było o połowę większe niż na Ziemi. Dobrze, że wszyscy w grupie są silni fizycznie.

– Nie pij wody i nie oddychaj?

–Co?

– Stary żart – wyjaśnił. – Co jeszcze? Klimat, rośliny, zwierzęta...

– To wietrzna planeta – powiedziała Tully — przynajmniej w górzystych regionach. Życie musi opierać się na ciepłe i truciznach, bo tutejsze słońce nie świeci wystarczająco mocno przez grubą warstwę chmur. Nie jest to zbyt przyjemne. Muszą tu być jakieś zwierzęta, chociaż żadnego nie widziałam.

Wilks słuchał. Przecież pieprzone potwory muszą coś jeść. Mogłoby być gorzej, ale i tak znajdują się na planecie, gdzie jest gorąco i wilgotno, a bieganie przy tej grawitacji będzie wyzwaniem nawet dla najsilniejszych spośród nich. Dotrzeć do mrowiska i opanować wszechpotężną królewską głowę pieprzonej matki obcych na jej własnym terenie – wspaniałe zadanie. Nie ma problemu. Przecież komandosi są chudzi, podli i nieprzyzwoici. No właśnie.

– W porządku – odezwał się. – Może uda ci się określić najgorętsze miejsce na planecie. Warto wylądować w pobliżu.

Oparł się wygodnie o ścianę i przyglądał, jak Tully poszukuje informacji. Matka Królowa niewątpliwie wybrała najbardziej czarowny punkt na swoją rezydencję i pewnie nie będzie jej chciała opuścić bez walki. Kolejne niedobre miejsce na umieranie. Myślał już o tym wiele razy, że pewnie zginie na tej wyprawie. Wszechświat może przeznaczyć tylko pewną ilość szczęścia dla jednego faceta i on je już dawno temu wykorzystał. Ech, do diabła z tym. Jeżeli teraz kolej na niego, to i tak na o nic

nie poradzi. Jeżeli nie, to ciekaw był, co mu się jeszcze przydarzy.



## ROZDZIAŁ 14

Billie zmierzwiła włosy Dylana i przyglądała mu się jak śpi. Czowała jego gorące i gładkie nogi na swoich. Nie bała się zapaść w sen – jej strach ulotnił się, kiedy Brewster wszedł do łóżka. Interesujące, jak seks może uspokoić człowieka. Czowała się wyciszona, zrelaksowana, chociaż może nastawiona za bardzo introspektywnie.

Dylan zamruczał przez sen i odwrócił się od niej. Brewster. Dylan Brewster. Pojawił się u niej w drzwiach zaledwie kilka godzin temu i spytał, czy nie potrzebuje towarzystwa. Poczowała wtedy, jak delikatny dreszcz rozkoszy spływa jej w dół po kręgosłupie. Jaka uprzejma była jego propozycja spędzenia razem nocy. Prawdziwy dżentelmen... przynajmniej taki był na początku. Potem, kiedy się kochali, był namiętny i dziki.

Billie pamiętała, przeczytała to gdzieś dawno temu, że seks jest normalną reakcją w przypadku zagrożenia, jako rodzaj instynktu, afirmacji życia. Chyba tak rzeczywiście było. Polubiła mimo wszystko tego młodego żołnierza i zadowolona była, że jest teraz razem z nim. Lecz nie kochała go...

Pomyślała o Mitchu i zaskoczona stwierdziła, że jego wspomnienie nie boli już tak bardzo. Cokolwiek czowała do niego, nie miało najmniejszego związku z tym, co robili z Dylanem. Mitch pragnął tylko czuć jej miłość, niezależnie od tego, czy mogli się kochać fizycznie. Wątpiła, że mógłby jej zazdrościć spokoju myśli.

Tego ranka załoga miała spotkać się i przedyskutować ostatnie szczegóły planu. Wylądują na planecie za mniej niż dwanaście godzin. Na tę myśl żołądek skurczył jej się gwałtownie. Gdyby wszystko poszło po ich myśli, szybko

znaleźliby się w drodze powrotnej na Ziemię. Czują zdenerwowanie i jednocześnie podniecenie. Dobrze było być znów w uderzeniu, ponownie walczyć, zamiast siedzieć beczynnie lub uciekać. Może uda się zmienić los ludzi, którzy zostali na Ziemi...

Wsunęła się głębiej pod cienkie nakrycie i przyłgnęła do swego nowego kochanka. Chciała się trochę ogrzać. Odwrócił się do niej i uchylił powieki.

– Jak tam? – odezwał się zaspanym głosem. – W porządku?

– Pewnie. Myślę o różnych sprawach.

Ziewnął i zamknął oczy, ale uśmiechnął się nieznacznie.

– O czym konkretnie? – zapytał i wsunął rękę pomiędzy jej uda.

Rozchyliła nogi i podkurczyła je trochę.

– Myślałam, że nie będę cię miała już przez resztę nocy – stwierdziła.

Jej oddech stał się głośniejszy, gdy poczuła, jak palec Dylana wślizguje się do jej wnętrza.

– Nadal mnie nie ma. Po prostu zignoruj to, co czujesz.

Roześmiała się i sięgnęła po jego wyprężony członek. Zaczęła przesuwac dłoń w dół i w górę po gładkiej jak jedwab skórze. Dylan jęknął głośno, gdy wspięła się na niego. Poczuła, rozpaloną twardość przenikającą do głębi. Przesunęła ciało, by znaleźć swe najczulsze miejsce. Poczuła, jak rozkosz zaczyna w niej pulsować... "To jest właśnie życie" – pomyślała i krzyknęła głośno.

Ripley stała w luku załadunkowym i przyglądała się ludziom, którzy tu się zgromadzili. Patrzyła, jak chłonęli informacje przekazywane im przez Tully i Wilksa. Krążyli już po orbicie wokół planety. Kurtz wylądował i wypuścił ładownik z małą grupą wewnątrz. Sprawdzają, co dzieje się na powierzchni i prześlą raport reszcie załogi. Wszyscy zgodzili się, że jest to najlepsza

forma działania przed przystąpieniem do realizacji głównego zadania. Trzeba sprawdzić, co czeka ludzi na tej diabelskiej planecie.

"Chyba wreszcie, wraz z wiekiem, dojrzałam" – pomyślała. Teraz nie robiła już nic pochopnie, bez sprawdzenia.

Moto sugerowała wysłanie na początek robota, ale jej propozycja nie znalazła uznania. Nie dlatego, że był to zły pomysł, ale próbniki, które posiadali, miały bardzo ograniczone możliwości. Nie wolno było polegać na nich; można by za to drogo zapłacić. Robot nie potrafił dostrzec wszystkiego, ani wyczuć zapachu mrowiska obcych, a to mógłby dać im złudne poczucie bezpieczeństwa.

Ripley musiała się w tym momencie uśmiechnąć. Bezpieczeństwo. No właśnie.

Wilks i Tully zakończyli swoje wystąpienia i popatrzyli na nią. Wiedziała, czego oczekują.

– Cóż – odezwała się. – Czy ktoś śnił ostatniej nocy o królowej?

Popatrzyli po sobie i zgodnie potrząsnęli przecząco głowami. Najwyraźniej nikt dziś nie miał koszmarów.

– Czy to znaczy, że ona wie o nas? – spytała Adcox.

– Może tak. Albo po prostu strzela za daleko. Trudno powiedzieć.

Porucznik skinęła głową. Paru innych zrobiło to samo. – Wicie już dużo o tym miejscu – mówiła dalej Ripley. – Nie będę nikogo prosić o nic, do czego sama nie jestem przygotowana, więc będę również na ładowniku i potrzebuję ochotników. Większość z was była już w walce, ale niektórzy są silniejsi fizycznie, a to zwiększa szansę na skuteczne działanie. To wy jednak musicie podjąć decyzję, nie ja. Niektórzy muszą pozostać na pokładzie. Tully, ty jesteś magiem od komputerów i zostajesz tutaj.

– Tak sobie wyobrażałam – powiedziała Tully.

Starala się mówić całkowicie obojętnym tonem, ale Ripley usłyszała w jej głosie cień ulgi.

Ripley mówiła dalej: – McQuade i Brewster są pilotami. Nie widzę możliwości ryzykowania życiem któregoś z was, więc i wy zostajecie tutaj...

Brewster przerwał jej:

– Hej, jestem gotowy lecieć! McQuade może kierować statkiem...

– Słuchaj, nie powiedziałam, że się nie nadajesz, Brewster. Potrzebujemy ciebie na statku. Poza tym ktoś musi pozbierać nasze resztki, jeżeli spieprzymy zadanie. Zgadzasz się ze mną?

– Tak – odpowiedział tonem, z którego wynikało, że nie odpowiada mu taki obrót sprawy.

"Diabła tam się zgadzasz" – pomyślała Ripley.

– Jones, ty także zostajesz.

– Mogę wam być potrzebny – powiedział i wstrząsnął ramionami.

– To prawda. Ale jeżeli zostaniemy ranni, zawsze możemy użyć zestawu pierwszej pomocy. Lepiej zostań. Będiesz mógł nas naprawić po powrocie we względnie bezpiecznym miejscu.

"Jeżeli tylko wrócimy" – przemknęło jej przez myśl.

Wstał Falk.

– Zgłaszam się. Idę.

Ripley z radością powitała pierwszego ochotnika. Skinęła mu głową i powiedziała:

– Wspaniale, Falk. Witaj na pokładzie ładownika.

Dunston i Carvey wstali jednocześnie. Potem Adcox i Billie. Wilks zostawił Tully i dołączył do nich. Za nim poszła Ana Moto.

Ripley podniosła rękę.

– Wystarczy – powiedziała. – Jak już wspominałam, potrzebujemy zapasowego oddziału na wypadek, gdyby nam się nie powiodło. Gdybyśmy poszli wszyscy, nie będzie miejsca na broń. Moto, zostajesz. Jesteś wśród nas chyba najlepszym strategiem. Billie...

– Idę – odezwała się cichym głosem dziewczyna.

W oczach Billie jarzyła się tak nieodwołalna determinacja, że Ripley zawahała się, a potem kiwnęła głową.

– Dobrze.

Odwróciła się do McQuada i gestem pokazała, żeby stanął koło niej. Kapitan wyszedł do przodu, odwrócił się frontem do reszty i zaczął wyjaśniać, jak działają podnośniki załadunkowe.

Ripley popatrzyła na załogę. Są dobrzy, wszyscy z nich są dobrzy. Może się udać, po prostu powinno się udać. Co tam, musi się udać.

Wilks stał w kabinie sterowniczej razem z McQuadem, Brewsterem i Tully. Wszyscy przeglądali odczyty z miejsca przeznaczonego na lądowanie. Brakowało jeszcze tylko około

dwudziestu minut do przyziemienia i sierżant czuł, jak adrenalina zaczyna krążyć mu w żyłach. Ponownie zdąża na spotkanie z obcymi. Dopóki chociaż jeden z nich pozostanie przy życiu i dopóki on sam jeszcze oddycha, będzie stawał twarzą w twarz z tymi potworami, aż zniszczy je całkowicie. Nie wydaje się to być najłatwiejszym zadaniem, ale już się przyzwyczaił.

Brewster wychwycił jakiś ruch na południowej półkuli w rejonie, który Tully określiła jako najgorętszy na planecie. Tam wylądują najpierw. Nikt nie wątpił, że tam właśnie jest Ona. Wszyscy zdawali się być tego pewni.

Po wyborze zespołu ładownika, spotkanie trwało jeszcze przez jakiś czas. McQuade zademonstrował użycie dźwigów, a Ripley zrobiła małe dochodzenie na temat Orony. O nim i jego

bombach wiedzieli Wilks i Ana Moto. Dziwne, ale poczuła coś w rodzaju ulgi, że ktoś jeszcze wie o tym.

Wyglądało na to, że schodzenie do lądowania może być ciężkie, więc jeszcze raz sprawdzili statek i zabezpieczyli wszystko. Głupio byłoby zostać rannym przez jakąś zapomnianą filiżankę kawy.

Wilks zauważył, jak patrzą na siebie Billie i Brewster. Nie mógł zignorować tych spojrzeń i miał o nich swe własne zdanie. Cóż, to nie jego interes. Nie mógł jednak przeoczyć swych własnych odczuć. Wiedział, że Billie i ten kapral kochali się. Zaciśnął zęby. To było... czuł się niezręcznie, chociaż nie bardzo wiedział, dlaczego. Billie była już dużą dziewczynką i nie potrzebował troszczyć się o nią... Myślenie o tym na kilka minut przed wylądowaniem na planecie królowej-matki obcych było głupotą. Jakby nie miał się czym przejmować. Potrząsnął lekko głową i skoncentrował się na ekranie komputera. Byli o krok od wielkiego pieprzonego zamętu i powinien się całkowicie skupić na tym jednym zadaniu, a nie myśleć o seksualnych podbojach Billie... Powoli, z wysiłkiem wypchnął z głowy niepożądane myśli. Wciągnął głęboko powietrze. Czas zrobić wreszcie to, co ma być zrobione. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Trzeba w końcu kopnąć w tę dupę, albo samemu poczuć potężnego kopniaka. Był gotowy na obie ewentualności.

*Semper fidelis*, skurwysyny, i niech diabeł porwie tego, kto zostanie w okopie.

## ROZDZIAŁ 15

Moto ściągnęła ochronne okulary i odwróciła się do Ripley.

– Jeżeli to jej nie powstrzyma, nic jej nie powstrzyma – powiedziała.

Właśnie skończyła spawanie brzegów zamknięcia jednego z włazów do ładowni. McQuade ciągle jeszcze pracował przy drugim, a Ripley stała ze skrzyżowanymi ramionami i czekała, aż rozżarzony spaw ostygnie. Powietrze przesycone było zapachem rozgrzanego metalu i stopionego plastiku.

Będą na miejscu za kilka minut i dało się odczuć napięcie panujące wśród załogi. Zadziwiająca, ale sama była dziwnie spokojna.

Kapitan wyłączył palnik.

– Gotowe – powiedział to odrobinę za głośno.

Ripley kiwnęła głową. Pomyślała, że powinna być w tym momencie bardziej podniecona; jej stan odprężenia wyglądał prawie na dekoncentrację. Nie było to jednak rozproszenie uwagi, raczej... "Spełnienie – pomyślała. – Znalazłam się tam, gdzie pragnęłam być".

Po sprawdzeniu obu włazów, Ripley zabrała kapitana i Moto na wyższy poziom. Klapy wydawały się być wystarczająco solidne, a oni zrobili wszystko, co tylko mogli. Lecz to nie będzie jakaś zwyczajna robotnica. Ripley miała jednak nadzieję, że królowa królowych nie będzie zbyt potężna. Miała już do czynienia ze zwykłymi królowymi obcych – były większe, silniejsze i sprytniejsze niż zwykły potwór. Gdzieś w zakamarkach świadomości tliła się nadzieja, że ta jedna, najważniejsza, nie będzie czymś znacznie gorszym. Zresztą, to bez znaczenia. Będzie, co ma być.

Załoga usadowiła się już na swoich miejscach. Billie rzuciła Ripley przelotny, nerwowy uśmiech, kiedy ta weszła do kabiny sterowniczej. Brewster sprawował funkcję pierwszego pilota; za nim siedziała Tully. Wilks właśnie dopasowywał pas w jednym z foteli w drugim rzędzie.

Ripley podeszła do fotela drugiego pilota i usiadła.

Wilks odwrócił się do niej.

– Hej, Ripley. Ustaliliśmy schemat poruszania się po południowej półkuli. Na wypadek, gdybyśmy musieli lądować tam...

– Nie "na wypadek" – przerwała mu. – Ona tam jest. Wiesz o tym.

Sierżant pokręcił głową.

– Dobra, prawdopodobnie jest. Szybko się o tym przekonamy. Swoją drogą, Tully natknęła się na dziwną formację skalną. Nie uwierzyłybyś, jak wygląda. Jak jakiś trik. Jest także niewielki wiatr.

Brewster odwrócił się od konsoli i skinął na Wilksa.

– Gdyby to było takie łatwe, każdy mógłby to zrobić. Zresztą, topografia terenu to problem dla ładownika. Ja mam tylko wyrzucić was w odpowiednim momencie.

Ripley usłyszała gorycz w jego głosie. Ciągle był urażony, że nie włączyła go do załogi ładownika.

– Owszem, ale lot nie wydaje się łatwy. Dobrze, że to ty siedzisz za sterami, Brewster. Taki fachowiec jak ty nie powinien mieć problemów.

Brewster nie odpowiedział, ale Ripley zauważyła jakby jego napięcie nieco zmalało. Bardzo dobrze. Wchodzili w decydującą fazę lądowania i ostatnią rzeczą, której potrzebowali, był obrażony pilot.



– Carvey i ja ustawiliśmy sektory w komunikatorze ładownika – odezwała się Tully. – Nie musicie więc obawiać się zakłóceń.

– Wspaniale – pochwaliła Ripley.

Zerknęła na odczyty instrumentów przed sobą i dłonie same jej się zacisnęły. Brak zdenerwowania stał się wspomnieniem. Teraz trzeba było tylko siedzieć i czekać.

– Myślę, że jesteśmy gotowi – powiedziała.

– Dobra – odpowiedział Brewster. – Bo już jesteśmy na miejscu, współrzędne 0-6...

Reszty jego słów już nie usłyszeli. Zginęły w szumie, kiedy nacisnął guzik i polecieli w dół.

Billie chwyciła się kurczowo fotela i zamknęła oczy. Jak zwykle w zerowym ciężeniu, żołądek zaczął wyczyniać dziwne rzeczy. Nigdy się do tego nie przyzwyczai. Wyobraziła sobie, że *Kurtz* przebija się przez ciężkie chmury, a deszcz bębni o jego powłokę...

"Przestań o tym myśleć" – skarciła sama siebie, gdy poczuła mdłości. Starła się zmusić do przyjemniejszych rozmyślań: "Ostatnia noc z Dylanem, jego bliskość, dotknięcia, jego ruchy głęboko we mnie, spadanie... O, Panie, o tym też nie myśl"

Nagle statek jakby wjechał do jej brzucha. To nie było już łagodne spadanie, lecz coś znacznie gorszego. Otworzyła oczy. Miała nadzieję, że skończy się to niebawem. Char odwróciła się do niej z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

– Jeszcze żyjemy – powiedziała.

Billie kiwnęła w odpowiedzi głową i spojrzała na najbliższy monitor. Nic nie było widać. Ciągłe byli jeszcze zbyt wysoko.

Wilks przechylił głowę. Wyglądał na maksymalnie napiętego.

– Lokalny wiatr wieje z prędkością 130 węzłów – powiedział. – Spycha nas w dół. Lepiej uciekać, zanim zrobi się niebezpiecznie.

Na dźwięk jego głosu Billie poczuła jak wszystkie wnętrzności skręciły jej się w jeden wielki supeł. "Jak wiele przeciwności musimy pokonywać". Zdusiła w sobie narastające poczucie przerażenia. Poczwała, że całe życie przygotowywała się na tę chwilę. Wierzyła, że tak jest. Teraz była gotowa ryzykować głową – dla Amy, dla Wilksa i Ripley, dla innych. Każdy z nich miał swój własny osobisty powód, dla którego się tutaj znalazł. Obowiązek. Honor. Popatrzyła na Falka, na jego pustą twarz – on jest tu, by się mścić. To nie śmierć ją przerażała, bała się niepewności.

Lot stał się gładszy, prawie spokojny.

Carvey i Falk odpięli pasy i podeszli do jednego z monitorów.

"Co, do diabła" – pomyślała Billie i wstała, by dołączyć do nich.

Przelecieli już przez chmury i widać było najbardziej opuszczone miejsce, jakie kiedykolwiek widziała Billie. Kurtz poruszał się zbyt szybko, żeby przyjrzeć się uważnie, ale tak daleko jak tylko można było dostrzec, powierzchnia planety była taka sama. Kałuże płytkiej, szarawej wody rozciągały się całymi kilometrami, przerywane kawałkami brudnych zwałowisk skalnych. Kępki bezbarwnej roślinności, część z nich była z pewnością czymś w rodzaju grzybów, wyrastały na brzegu wód. Jakiś dziwny, beżowy mech wydawał się pokrywać wszystko wokół. Przelecieli nad jakimiś niecodziennymi formami życia roślinnego, a Billie pomyślała, że musi je uprawiać jakiś szalony ogrodnik. Miały poskręcane gałęzie i wijące się odnogi, które rozpościerały się na wszystkie strony i pulsowały na wietrze. Billie dostrzegła w końcu niemożliwie wysoką kolumnę skały,

wyrastającą z nieskończonego ciemnego morza. Co za miłe miejsce. Odwróciła się.

– Lepiej chodźmy do ładownika – powiedziała głośno.

– Właśnie – zgodził się Carycy i ruszył w kierunku schodów. Za nim poszli Falk i Dunston. Jones poszedł w kierunku działu medycznego.

Billie stała przez chwilę nieruchomo i próbowała przygotować się do tego, co miało nastąpić.

– W porządku? – spytała ją Char.

Dziewczyna spojrzała na przyjaciółkę i spostrzegła troskę w jej twarzy.

– Tak, pewnie. Po prostu uspokajam nerwy.

Zeszły razem na niższy poziom. Ciągłe nie mogła opanować strachu. Przecież byli tylko niewielką częścią jakiegoś ogromnego planu; przecież ich przecucie powodzenia jest fałszywe; przecież nie idą tam z własnej woli, ale są prowadzeni na smyczy przez sny...

– Na Buddę, co za wspaniałe miejsce – odezwał się Brewster.  
– Może powinienem przyjechać tu na wakacje.

Prowadził teraz *Kurtza* przez dziwne otoczenie. Porywy wichru targały statkiem tak mocno, że zachodziła obawa jego rozbicia.

Wilks przyglądał się widokom w milczeniu. Było to najbardziej przez Boga zapomniane miejsce, jakie kiedykolwiek widział. Prawie czuł lepką, gęstą wilgoć powietrza i odór alkalicznej wody. Tylko od patrzenia na to wszystko dostawał gęsiej skórki.

Brewster przerwał jego zamyślenie.

– Znalazłem miejsce, gdzie jest względnie spokojnie. Niedaleko od głównej trajektorii.

Przez minutę nikt się nie odzywał.

– Ludzie, albo się decydujemy, albo nie. Nie mogę tkwić tu, w tym wietrze, w nieskończoność.

– Dobra – zdecydowała Ripley – lecimy tam. Wilks, wracamy do reszty.

Tully uśmiechnęła się do nich, kiedy mijali ją, idąc do schodów.

– Powodzenia – powiedziała.

Brewster również podniósł kciuk na szczęście, mimo że właśnie manipulował przyciskami konsoli.

Inni zgromadzili się już wokół ładownika. Wilks machnął, by wchodzili do środka, sam wszedł jako ostatni. Sprawdził, czy wszyscy zapięli pasy, a potem poszedł do przodu pojazdu. Billie siedziała przy konsoli. Mogła z tego miejsca sprawdzać to, co dzieje się na zewnątrz. Zbliżali się do miejsca znalezionej przez Brewstera.

W interkombie zatrzeszczał głos:

– No, dzieciaki. Prawie dojechaliśmy. – Głos należał do Dylana Brewstera. – Tully mówi, że ruch powietrza prawie ustał i wydaje się, że to zasługa tej formacji na zachód od miejsca, gdzie macie wylądować. Dokładnie w punkcie 7-2-7.

– Czy to jakaś skalna formacja? – spytała Billie.

– Niestety nie. Wygląda na organiczną. Słuchaj, Carvey. Ciągłe winien mi jesteś pieniądze, więc uważaj na siebie, dobrze? Wy wszyscy też dbajcie o siebie.

– I ty także – powiedziała Billie.

– Dzięki, Brewster – powiedział Wilks.

Włączył systemy kontrolne pojazdu i sprawdził dane nawigacyjne. Wszystko wyglądało normalnie. Maszyna wyglądała jak kawał ołowiu na kołach i zaprojektowana została do jazdy po każdym terenie. Wnętrze było jeżeli nie komfortowe, to co najmniej wygodne. Na monitorze przedniej kamery można było zobaczyć dużą część terenu przed pojazdem;

teraz był to obraz wnętrza doku wyładunkowego. Była też mała szyba z krystalicznej stali, ale widok przez nią był mocno ograniczony.

Na wierzchołku ładownika zamontowano działka. Wielokrotnie je sprawdzili, chociaż mieli nadzieję, że nie będą musieli ich używać.

– Uwaga – rozległ się głos Brewstera.

Wilks sprężył się cały, gotowy do działania.

*Kurtz* dotknął podłoża. Sierżant aż podskoczył od gwałtownego uderzenia i poczuł, że powierzchnia planety trze o spód statku. Ładownik posunął się do przodu na metalowych linkach, a właz powoli stanął otworem.

-Naprzód!

Wilks chwycił drążek sterowniczy i wysunął w wodę na zewnątrz rampę dla ładownika. Na powierzchni planety tu i tam widać było porzrzućcane skały, jakieś marne resztki roślinności. Jednak prawie cała widoczna powierzchnia zalana była głębokim na metr oceanem. Rozciągał się we wszystkich kierunkach, aż po horyzont. Wiatr marszczył jego powierzchnię, a gdzieś tam pojawiały się małe grzywacze z białymi kołnierzami piany. Tylne koła ładownika zaczęły się obracać i pojazd zjechał w nieznaną stronę.

– Dobra robota – stwierdził Wilks. – Jesteśmy na dole. Witamy w mieście, ludziska.

– A nas tam nie będzie – odezwał się Brewster z żalem w głosie.

Odgłos startującego statku słycać było nawet we wnętrzu ładownika. Brewster i inni wznosili się wysoko, ponad rejon wichrów. Będą czekać na sygnał przywoławczy.

"Jeżeli tylko zostanie ktoś, by go wysłać" – pomyślał Wilks.

Coś tu było nie tak, czuł to gdzieś w podświadomości. Znaleźli się jednak tutaj i czas na działanie.

– Idziemy sobie obejrzyć dom królowej – powiedział.  
Ładownik potoczył się naprzód.

## ROZDZIAŁ 16

Z pozycji, w jakiej została zainstalowana kamera ładownika, trudno było określić dokładnie, czym jest obiekt, ku któremu zmierzali. Ekran pokazywał tylko wodę i niebo, tak podobne w kolorze, że niemal nieodróżnialne. Czuli się tak, jakby podróżowali przez próżnię. Billie prawie przez cały czas miała wzrok utkwiony w czujnikach ruchu i Dopplerze. Odezwała się, kiedy zobaczyła coś wartego uwagi:

– Mamy tu sześć z grubsza sferycznych obiektów. Rozstawione są w odstępach po około dwadzieścia metrów i ustawione na obwodzie koła. Największy ma ze trzydzieści metrów wysokości i jest umieszczony w centrum pomiędzy innymi.

– Wygląda to na mrowisko ze snu Adcox – mruknął Wilks.

– Tak – potwierdziła Billie i odsunęła włosy ze spoconego czoła.

Schładzacz powietrza ładownika robił co mógł z gorącym powietrzem planety, ale niewiele to pomagało. Trzęśli się i podskakiwali, gdy pojazd pokonywał powoli zalany wodą teren.

– Moja dupa – jęknął Wilks. – To ma być płasko. Chciałbym zobaczyć, co Brewster nazywa nierównością.

Dla Billie wszystko wydawało się snem. Serce dudniło jej w piersiach tak głośno, że zdziwiło ją, że nikt tego nie usłyszał.

– Wilks, to ma być, jak sądzę, wyprawa zwiadowcza, prawda? Dlaczego zmierzamy wprost do mrowiska? Czy nie powinniśmy znaleźć bezpieczniejszego miejsca do obserwacji...?

– Rozejrzyj się. Gdzie mielibyśmy je znaleźć?

– Mówię tylko, że możemy traktować te potwory z nieco większą ostrożnością, spróbować...

– Słuchaj, dziecko. Nie zamierzamy zajechać wprost pod frontowe drzwi. Podjedziemy trochę i zobaczymy, co się stanie. No, jak? W porządku? Jeżeli ta próba się nie powiedzie, wyślę robota, chociaż żaden z nich nie potrafi nic robić. Nic, co nam jest potrzebne.

Billie kiwnęła głową, ale ciągle czuła niepokój.

– Wilks, to nie wygląda najlepiej.

– Tak. – Zacisnęła usta. – Zauważyłem.

Billie westchnęła. Ona i sierżant już to przeżyli. Nie w tym miejscu, ale znaleźli się już kiedyś w podobnej sytuacji. Kiedy pomyślała o tym, niespodziewanie poczuła ulgę.

– Dwie minuty – powiedziała głośno.

– Będziemy gotowi. – Gdzieś, zza jej pleców zawołała Ripley.

Billie chciała, bardzo chciała w tym momencie podejść do niej i powiedzieć jej o swoim przerażeniu, swoich obawach. Może to pomogłoby jej w uporaniu się z własną psychiką.

Nagle lądownik zatrzymał się z przejmującym zgrzytem. Pojazd przechylił się na lewo, rzucając Billie w głąb fotela.

– Co, do kurwy...? – zaczął Falk.

Ripley podniosła rękę z niemą prośbą o ciszę.

– Wilks, Billie, co się stało?

Billie przebiegła wzrokiem wyniki testów diagnostycznych na ekranie komputera.

– Zgięliśmy jedną z rufowych osi. Myślę, że to o to chodzi – powiedziała Billie lekko drżącym głosem.

– W co uderzyliśmy? – spytała Adcox.

– Nie wiadomo. – Rzucił przez ramię Wilks. – Coś jest pod wodą. Chyba Straciliśmy gaśnicę. Poczekajcie, zobaczę, czy uda mi się wycofać lądownik.

Silniki zawyły. Minęło kilka sekund i Wilks zdołał uwolnić pojazd.



– W porządku, jesteście czyści – powiedział i po sekundzie dorzucił. – Popatrzcie na ekran.

Ripley spojrzała i głośno wypuściła powietrze.

– O, Boże – szepnęła Adcox.

Stali w odległości mniejszej niż sto metrów od jakby ogromnego, krągłego jabłka, które usadowiło się w ciemnej wodzie, połyskując różowawą szarością. Dziwne linie krzyżowały się na powierzchni dziwaczного obiektu.

"Jak żyły" – pomyślała Ripley.

Długi i gruby niby sznur łączył go z drugim, większym "jabłkiem". To bliższe było długości lądownika i ze dwa razy wyższe.

– Myślę, że najechaliśmy na coś dołączonego do tej rzeczy – powiedział Wilks.

– Billie, czy jest tam ktoś? – spytała Ripley.

– Nie widać żadnego ruchu. Jeżeli są gdzieś w pobliżu, to musieliby spać, żeby nas nie spostrzec. Słuchajcie, sadzę, że powinniśmy się trochę cofnąć. Czuję, że nie jest tu za ciekawie.

Ripley zmarszczyła brwi.

– Jesteśmy, gdzie jesteśmy. Jeżeli usłyszeli nasze stukanie do drzwi i nie zareagowali, uważam, że przez jakąś minutę nic się nie stanie.

Wszyscy wpatrzyli się maksymalnie skoncentrowani w ekran. Nic się nie działo.

Prawdę mówiąc Ripley oczekiwała, że zobaczy horde potworów, wyłaniającą się zza jednego z "jabłek" i atakującą lądownik. Spojrzała na Billie. Dziewczyna wpatrywała się uporczywie w wykrywacze ruchu. Nic...

To Falk pierwszy przerwał ciszę.

– Chodźmy przyjrzeć się temu z bliska, co wy na to?

Wstał, podniósł komunikator, założył go na tył głowy i sięgnął po buty.

Podniósł się również Dunston.

Ripley pokręciła głową.

– Myślę, że powinniśmy poczekać i może najpierw stuknąć w to lądownikiem. Nie wiemy z czym mamy do czynienia.

Falk nie przestał się ubierać.

– Czy nie po to tu jesteśmy – powiedział – żeby się tego dowiedzieć?

Carvey wstał i pomógł Dunstonowi zatrzasnąć zapięcia butów. Potem sam sięgnął po skafander.

– To dobry pomysł – powiedział. – Po prostu wyskoczmy i rzucimy okiem. Weźmiemy broń, mamy pancerze i lądownik za plecami. Zajmie nam to z górą pięć minut.

Ripley szybko przemyślała sytuację. Wszyscy z nich wiedzieli, czym są obcy i do czego są zdolni. Nikt nie lekceważył tego, co może się wydarzyć. Ale w jednym Carvey miał rację – byli przygotowani do tego zadania. Nie było ono zresztą bardziej wariackie niż cała misja, która miała coraz mniej sensu, według jej osobistego zdania.

– W porządku – powiedziała.

– Nie! – krzyknęła Billie. – Ripley, nie pozwól im wychodzić. To nic nie da. Nie czujesz tego?

Dunston wystąpił do przodu, ociążały w skafandrze. Buty głośno stukały o podłogę, cicho szumiała hydraulika ubioru.

– Billie – odezwał się spokojnym głosem. – Podjęliśmy decyzję, żeby tu przylecieć. To, co robimy, jest częścią planu.

Było coś w jego twarzy, może pogodzenie się z losem, co powstrzymało dziewczynę od dalszych protestów. Odwróciła się i poszła na przód kabiny. Nie odezwała się ani słowem.

Trójka mężczyzn w pełnych ubraniach stała przy wyjściu i spoglądała na Ripley. Czekali na ostateczną decyzję. Każdy z nich założył grubą kamizelkę z osłoną na głowę i ochraniacze

kończyn. Każdy dźwigał standardowy karabin, taką samą broń, kalibru 10 mm, jak ta, którą nauczyła się posługiwać Ripley.

– Słuchajcie komunikatorów – powiedziała. – Billie śledzi całe otoczenie. Na najmniejszą oznakę kłopotów, wracacie tutaj. Martwi bohaterowie nie są nam potrzebni. Powodzenia.

Przerwała na chwilę i zastanowiła się, co jeszcze może im powiedzieć. Chyba nic.

– Ruszajcie.

Otworzyli właz.

Kiedy właz się otworzył, Wilks poczuł uderzenie gorącego powietrza. Zapach był taki, jaki sobie wyobrażał, ale jeszcze intensywniejszy – zgniła, zatruta chemikaliami żywność. Wiatr zawył na brzegach odchylonej klapy wyjścia.

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i popatrzył na ekran monitora. Billie siedziała przy nim poblądła i napięta. Starannie obserwowała, co się dzieje.

Wilks chciałby być razem z innymi na zewnątrz, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Był pośród nich najlepszym kierowcą ładownika i gdyby coś się stało, będą mogli szybko stąd uciec.

– Falk, odezwij się – powiedział do komunikatora.

– Zbliżamy się do tego, jesteśmy może o trzydzieści metrów przed obiektem. Pozostaniemy po tej stronie. Meldunek Falka rozlegał się głośno i wyraźnie.

– Chryste, co za pieprzony smród – odezwał się Carvey – musieliście coś pomylić sierżancie.

– Co ty bredzisz? Możesz oddychać czy nie?

– Gdybym wiedział wcześniej, przywiózłbym latawiec. Tu musi wiać co najmniej kilka setek na godzinę.

– Sto pięćdziesiąt – poprawił go Wilks. Obserwował, jak trzech mężczyźni pojawiają się na dolnym brzegu ekranu.

– No, mamy was na wizji – powiedział. Jedna z postaci odwróciła się i pomachała ręką.

– Cześć, mamusiu!

– Przestań błaznować, Carvey. – Wilka wyszczerzył zęby. – Wydaje mi się, że jesteś tutaj tylko zwiadowcą.

Ich żarty tylko na chwilę przerwały napięcie, ale to i tak było coś.

Postacie zbliżyły się do dziwnej sfery. Ich buty podnosiły się i opuszczały w sięgającym kolan paskudztwie. Ciemna maź bryzgała na wszystkie strony. Stali teraz zaledwie kilka metrów od "jabłka" – Falk wysunął się do przodu, a Carvey i Dunston zostali nieco z tyłu po obu bokach.

– Nie rozdzielajcie się – ostrzegł Wilks – pozostańcie w zasięgu wzroku.

– Wszędzie na tym czymś jest jakaś powłoczka – odezwał się Carvey. – Jak... jak galareta.

– Wygląda na to, że wypływa ze środka tej budowli – dodał Dunston.

– Czym one są? – To znów był Carvey. – Za duże na odwłok... Mam nadzieję, że nie są to odwłoki z jajami. Cokolwiek to jest, do diabła, sączy się z tego jak skurwysyn. Cholera, prawie mogę zobaczyć, co jest w środku...

Uniósł mechaniczne ramię, by dotknąć powierzchni dziwadła.

Billie sapnęła i Wilks poczuł, jak zadrżało mu serce.

– Cholera, coś się poruszyło! – powiedziała.

– Wszyscy wracać! Już! – ryknął Wilks.

– Coś wychodzi ze środka – krzyknęła Billie do komunikatora. – Ruszajcie się, uciekajcie!

Trzy postacie na ekranie odskoczyły w tył, gdy najbliższy kokon otworzył się jak ogromny odwłok i gigantyczny, połyskujący kształt wyłonił się z niego.

Adcox krzyknęła gdzieś za ich plecami. Robotnica o rozmiarach królowej, większa niż wszystkie jakie dotąd widział

Wilks, wyciągnęła swe szpony tak szybko, że Carvey ledwo mógł dostrzec ich ruch. Wylądowały na jego osłonie głowy.

Potwór podniósł żołnierza w powietrze, jak dziecko podnosi swą zabawkę.

– Falk, Jezu, Falk, zabierz to, zabierz to ode mnie...

Krzyk Carveya urwał się gwałtownie. To monstrum rozdarło mu pazurami gardło. Potwór odrzucił wyrwany kawał ciała i wyrwał swej ofierze rękę. Także ją odrzucił na bok.

Do licha...

To się stało tak cholernie szybko!

Dunston i Falk ledwo zdążyli podnieść broń.

– Jedziemy do was! – krzyknęła Ripley, ale dwójka mężczyzn już wracała biegiem w kierunku ładownika.

– Dalej, Wilks. Jestem przy działku!

Falk wystrzelił w robotnicę. Ta upuściła Carveya, wrzasnęła i ruszyła w kierunku komandosa. Zasyczała i upadła w wodę, gdy odezwał się karabin Dunstona. Może były większe i szybsze niż zwykłe potwory, ale tak samo padały trupem.

Wilks wyduszał z ładownika całą moc.

Nagle Billie walnęła pięścią w konsolę.

– Cholera, jasna cholera. Inne kokony!

Ripley włączyła właśnie działka kiedy usłyszała krzyk Billie.

– Dalej! – ryknęła do Wilksa.

Ładownik skoczył do przodu tylko po to, by gwałtownie się zatrzymać. Silnik zawył.

-Dunston!

To był krzyk Falka.

Ripley popatrzyła na ekran i zobaczyła, że obcy wylania się z kokonu i błyskawicznie rzuca na nauczyciela walki. Ten upadł na plecy, zamortyzował uderzenie i wcisnął lufę karabinu w brzuch bestii...

Falk przymierzył się do oddania strzału, kiedy ładownik nagle ruszył naprzód...

– Giń! – krzyknął Dunston.

Nic się nie stało. Jego broń musiała się zaciąć. Podniósł wolną rękę i używając pancernych osłon usiłował powstrzymać głowę potwora, z dala od swojej...

Monstum zaskrzeczało i otworzyło swe gigantyczne szczęki. Pochyliło się.

Stalowy pancerz chrupnął tylko jak cienka skorupka. Wewnętrzne szczęki wysunęły się i zagłębiły w twarzy Dunstona. Jasna czerwień rozlała się po wodzie, a nauczyciel nagle zwiotczał. Był martwy.

– Ty skurwysynu! – ryknął Falk i otworzył ogień. Pociski posypały się na obcego. Woda wokół potwora zaczęła syczeć i bulgotać, kiedy jego potężne cielsko upadło bezwładnie na Dunstona.

Falk zniknął z ekranu, kiedy ładownik się zatrzymał.

– Wilks! – krzyknęła Ripley.

– Na miłość boską, nie każcie mi pukać! – odezwał się w komunikatorze głos Falka.

Adcox stała już przy wejściu z bronią gotową do strzału. Billie nacisnęła guzik i Falk wpadł zdyszany do środka.

– Zamykajcie – krzyknął.

Ripley kątem oka uchwyciła obraz jednego z potworów biegnącego szybko przez wodę. Naprowadziła działko... Billie ponownie przycisnęła guzik zamykający właz.

– No, podejdź!

Bestia zbliżała się. Bryzgi wody spod jej nóg opryskiwały już przód ładownika.

– Za blisko na strzał. Może schlapać kwasem całą powłokę – powiedziała Ripley. Właz się zamknął.

– Sytuacja alarmowa! – powiedziała Billie do mikrofonu komunikatora. Ręka drżała jej, kiedy usiłowała założyć na głowę całe urządzenie.

– Nie możemy lądować w tamtym miejscu – odezwał się Brewster udreńczonym głosem. – Wieją huragaby z trzech kierunków jednocześnie. Uciekajcie od mrowiska w kierunku punktu gdzie lądowałem!

– Gówno! – krzyknęła Billie.

– Billie, w porządku? Gdzie jest...

– Nie ma czasu, Brewster – powiedział Wilks. – Ruszamy. Będziemy tam niebawem.

Billie wyłączyła się i odwróciła do sierżanta. Obcy byli tutaj tak ogromni i tak silni...

Sprawdziła odczyty.

– Jest ich trójka – powiedziała.

Wnętrze pojazdu najpierw zakołysało się, a potem poczuli uderzenie i polecili gwałtownie do przodu. Ekran pociemniał, a małe okienko z krystalicznej stali zostało zachłapane mułem. Zgrzytnął metal. Coś zadudniło jak dzwon.

– Wilks – odezwała się szeptem Billie. Wpatrywała się w odczyty czujników nie wierząc własnym oczom.

– Nasz wewnętrzny system chłodzenia właśnie został otwarty. – W czasie gdy to mówiła temperatura zaczęła już rosnać.

– Zaczyna być gorąco. Wilks popatrzył na monitor.

– Ripley, mamy mały kłopot. Nie było odpowiedzi.

Ripley włożyła i zapięła kamizelkę. Prawie upadła, gdy lądownik się zatrzymał. Podniosła karabin Falka i sprawdziła, ile ma amunicji. Wilks krzyczał coś do niej kiedy szukała dodatkowych magazynków. Wszystko było porozwalane po podłodze.

– Ripley! – rozdarł się ponownie Wilks.

Podeszła do niego ubrana w ciężki i niezbyt wygodny pan-cerz. Falk i Adcox opierali się o ścianę naprzeciw wjazdu. Broń trzymali gotową do strzału.

– Cholera – odezwał się komandos. – Upieczemy się tutaj. Wilks obrócił się wraz z fotelem. Obejrzał Ripley od stóp do głowy.

– Jezu -jęknął. – Oszalałaś!

– Tylko zerknę na uszkodzenie...

– Nic z tego. Sterowanie ręczne nie działa. Nasz reaktor dostał kopa. Możemy jeszcze jechać w linii prostej przez około dziesięć minut, a potem się rozpuścimy. Jakies pomysły?

– Tak – powiedziała spokojnie Ripley – Użyjemy działek i rzowalimy tę trójkę na zewnątrz. Teraz nie ma to już znaczenia czy kwas zeżre ładownik czy nie. Zamknijcie wjazd i ruszajcie na pełnym gazie gdy tylko wyjdę. Potrzebujecie paru minut, by dostać się do jej gniazda.

– I co masz zamiar zrobić, kiedy już tam będziesz? Zaprosisz ją na herbatę? – spytał Wilks.

– Nie przyleciałam tutaj, tak daleko, żeby teraz pozwolić jej się wysliznąć. Jeżeli nie będę jej mogła schwytać, zabiję ją. Muszę spróbować. Słuchaj, dobrze się z tobą pracowało...

– Jesteś pieprzoną wariatką – odezwała się Billie.

Ripley wyszczerzyła zęby w uśmiechu i poszła do tylnego wjazdu ładownika. Adcox poszła za nią, by ją osłaniać.

Wilks uruchomił działka. Tylko jedno z nich nadawało się jeszcze do użytku. Uranowe pociski rozerwały atakujące potwory.

– Przedpole czyste – oznajmił sierżant. – Przynajmniej na razie.

– Trzymajcie się – powiedziała Ripley.

Wjazd otworzył się i Ripley wyskoczyła na zewnątrz.





## ROZDZIAŁ 17

– Wykryłam kilkanaście form poruszających się z wielką prędkością w kierunku ładownika – powiedziała Billie.

Zaschło jej w ustach i pomimo gorąca panującego w środku pojazdu, poczuła, jak przenikają zimny dreszcz. Punkciki na ekranie falowały i podskakiwały, wyraźnie się zbliżając.

– Oznacza to, że plan Ripley działa – dodała.

Wilks nawet na nią nie spojrział. Zajęty był kierowaniem.

– Reaktor jest prawie w stanie krytycznym, ładownik atakowany przez superpotwory i miałbym nie mówić, że plan działa. Jeszcze trochę i możemy całkiem wyrzucić nasze mózgi. Zaoszczędzi to czasu tym skurwysynom.

– Powinam wezwać ponownie Kurtza?

– Jeszcze nie. Damy Ripley te pięć minut i będziemy jechać, aż ten złom nie padnie nam całkowicie.

– I co dalej? – odwróciła się i spojrzała na niego. Oczy miała zalane potem.

– Nie wybiegałem tak daleko w przyszłość. Ładownik zatrząsł się. Billie spojrzała przez ramię na czujniki i krzyknęła.

– Jezus... – powiedział Wilks.

Gigantyczna, szczerząca zęby paszcza obcego pojawiła się po drugiej stronie okienka z krystalicznej stali. Potwór podniósł do szyby ogromne, szponiaste łapy i z głuchym skrzekiem przepchnął głowę przez otwór. Przezroczysty metal trzasnął i rozsypał się na kawałki. Obcy sięgnął po Billie...

Wilks chwycił za broń.

Bestia już wyciągała pazury, sycząc i przepelniając powietrze smrodliwym oddechem, kiedy sierżant podniósł karabin. Wszystko jakby zwolnione w czasie, jakby zahamowane przez

ogromne ciążenie..

„Za późno, za późno...” – dudniło w mózgu Wilksa.

Eksplzja ogłuszyła go. Monstrum wydawało się wylatywać na zewnątrz z rykiem wściekłości i bólu. Kwas rozprysnął się na wszystkie strony; bulgotał i syczał na odłamkach przezroczystej stali.

Adcox z wyciągniętym przed siebie karabinem zrobiła krok do przodu.

– O, cholera – mruknęła cicho Billie.

– Wszystko dobrze? – spytała Char. Billie popatrzyła na swą rozdartą bluzkę, a potem na koleżankę.

-Tak.

Wilks ciężko dyszał, sprawdzając czujniki ruchu.

– Jeden mniej – powiedział.

Gorące, potwornie cuchnące powietrze wypełniło kabinę. Billie miała na lewym ramieniu małe skaleczenie od odłamka stali i to było wszystko. To, że nie zostali poparzeni kwasem potwora, było zadziwiające...

– Później będzie czas o tym myśleć – mruknął do siebie Wilks.

Popatrzył na instrumenty pojazdu i stwierdził, że temperatura rdzenia ciągle wzrasta.

– Uważajcie na ten wskaźnik – powiedział.

„Czy będzie jakieś później?” – zastanowił się w myślach.

Ripley wpadła do płytkiej wody, dotknęła stopami dna i natychmiast podniosła się do przysiadu. Przydatna byłaby umiejętność patrzenia we wszystkich kierunkach jednocześnie. Ale potrafiła niestety kierować wzrok tylko w jedną stronę naraz. Nie zarejestrowała bezpośredniego zagrożenia.

Niewielki ruch, jaki dostrzegła, to lekko falującą powierzchnię oceanu. Byłoby świetnie, gdyby robotnice mogły pozostawić swą królową bez opieki, nie wierzyła w to jednak.

"Wygląda na to, że raczej nie będzie tak spokojnie przez dłuższy czas..." – pomyślała.

Wszystkie jej zmysły były napięte. Zgniły zapach planety, w połączeniu z gorącym i znacznym ciężeniem, nieco ją oszałamiał. Jedynym odgłosem, poza jękliwym zawrozczeniem alarmu z ładownika, był szmer uderzających o jej nogi fal. Nawet wiatr niespodziewanie ucichł.

Martwe, nieruchome powietrze rozdarł krzyk obcego, dochodził z kierunku, w którym zniknął odlatujący transport.

Powoli odwróciła się w stronę grupy gniazd.

– Teraz jesteśmy tylko my dwie, ty i ja – powiedziała. Ripley brnęła powoli w kierunku kokonu. W oddali zabrzmiały strzały.

– Założę się, że dopadli jedno z twoich dzieci – powiedziała głośno.

Mięśnie bolały ją od pokonywania nadmiernego ciężenia, czuła, jakby jej kończyny ważyły po sto kilo. Nawet oddychanie wymagało wysiłku. Ale wyczuwała królową, wyczuwała potężną aurę tej suki...

Za plecami plusnęła woda. Odwróciła się i uniosła karabin...

Potwór był o jakieś dwadzieścia metrów od niej. Otworzył paszczę i zaryczał...

Nacisnęła spust i posłała krótką serię prosto w opancerzoną pierś bestii. Biegnące monstrum zatrzymało się. Było martwe. Jego ciało rozleciało się, kiedy pociski eksplodowały we wnętrzu. Upadło do wody i syczało jak podziurawiony zbiornik

powietrza. Fala powstała wskutek upadku potężnego cielska dotarła do Ripley. Była tak silna, że kobieta ledwo utrzymała się na nogach. Odgłos strzałów jeszcze dźwięczał jej w uszach. Powinna założyć wytłumiacze...

Kolejny ryk po lewej. Znów skręciła w miejscu. Tym razem potwór był bliżej i pędził z nieprawdopodobną prędkością, pomimo tej cholernej grawitacji.

Strzeliła dwa razy.

Gigant upadł do tyłu. Pazurzaste łapska sterczały w górę przez sekundę, a potem opadły wraz z całym ciałem. Potężny ogon uderzył w ostatnim skurczu w wodę. Krople cieczy opryskały twarz Ripley.

Przykucnęła i nasłuchiwała przez prawie minutę: słyhać było tylko syk kwasu wylewającego się z ran bestii do wody.

Odwróciła się do mrowiska.

– Czy to już wszystko, na co cię stać – spytała. – Czy to byli twoi obrońcy? Cisza.

– Dlaczego sama się nie pokażesz?

Walnęła opancerzonym ramieniem swego ochronnego ubrania w jeden z łączących kokony sznurów. Zakołysał się lekko. Poczowała, jak ogarniają wściekłość...

– Co, do cholery! Dlaczego nie wyjdiesz do mnie i nie wyjaśnisz mi wszystkiego?

Ponownie uderzyła w sznur i podeszła bliżej do centralnej kopuły.

– Wytłumacz się z załogi *Nostromo*, z *Sulaco*. Wytłumacz się z najazdu na Ziemię! Wytłumacz się z mojej córki, ty suko!

Czekała, ciężko dysząc.

Nagle ogromna sfera zatrzęsała się. Półprzezroczysta powłoka zafalowała. Podłużna szczelina pojawiła się na wierzchołku i kokon, lekko pulsując, zaczął się otwierać.

Ripley włączyła komunikator, ani na moment nie spuszczając z oka wielkiej kopuły.

– Kurtz, tu Ripley – powiedziała szybko. – Ustal moją pozycję i dawajcie tutaj swoje dupy. Usłyszała stłumiony głos Brewstera:

– Mówiłem Wilksowi, że wiatr...

– Wiatr właśnie zamarł. Dawaj statek na moje współrzędne, szybko.

Kiedy mówiła te słowa, z kokonu zaczęła wyłaniać się czerń. Połyskujący, wydłużony kształt był ogromną, co najmniej dwumetrową głową. W ślad za nią pojawiły się trzy uzbrojone w szpony palce, a po chwili następne trzy. Rozchyłały szczelinę. Królowa z wolna prostowała się na całą wysokość. Zasycała na Ripley. Ze szczęk zaczęła spływać jej gęsta maź.

Królowa. Matka wszystkich matek. Wysłała powitać gościa.

Miała przynajmniej osiem metrów wysokości, a jej długi, jakby kościsty ogon, dodawał jej jeszcze następnych osiem. Odwłok miała lśniący i wilgotny. Kręgi wystawały na zewnątrz, tworząc zewnętrzny kręgosłup przypominający rząd sterczących palców. Miała cztery pary ramion i była największym stworzeniem, jakie Ripley widziała w swym życiu. Była wyższa niż słoń, którego jako dziecko widziała w zoo. Jezu!

Królowa kiwała głową w przód i w tył. Kręcąc swą oblesną czaszką, usiłowała zobaczyć co zakłóciło jej spokój.

– No, dalej – odezwała się Ripley i odeszła kilka kroków do tyłu. – Wyjdź i rozejrzyj się.

– Temperatura rdzenia rośnie. Stopienie stosu za siedem minut – powiedziała Billie.

Ciągle trzęsła się cała, ale najgorsze miała za sobą. Zdołała opanować się prawie całkowicie.

– Powinniśmy pomyśleć o czymś więcej niż tylko o stopieniu – odezwał się Wilks. – Kiedy rdzeń wypali sobie drogę do zbiornika płynnego paliwa, zobaczymy niezłą eksplozję.

– Ludzie, a wszystko szło tak wspaniale – powiedziała Char. Wilks przycisnął kilka klawiszy i westchnął.

– Cóż, silnik jeszcze pracuje i koła się kręcą – powiedział. – Oznacza to, że pojazd będzie jechał, aż wybuchnie. Czas opuścić to przyjęcie. Musimy dalej drałować na nogach.

– To nas wykończy – stwierdziła Char.

– Bierzemy całą amunicję jaką zdołamy udźwignąć i uciekamy. Chyba, że chcecie się tu ugotować.

– Nowe odczyty z zewnątrz – powiedziała Billie. Popatrzyła na czujniki ruchu, a potem mocno uderzyła dłonią w konsolę.

– Biegną tam jak jakaś ściana, Wilks!

Kiedy to mówiła, z tuzin nowych punkcików zapaliło się na ekranie.

– Co...? – zdumiała się nagle Char. – Przebiegają obok nas!

– Mama zawołała swe dzieci – wyjaśnił Wilks. Billie z trudem nadążała liczyć poruszające się potwory, po chwili zrezygnowała.

– Muszą być ich tysiące – powiedziała. – Ripley... Poczula, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Zrobiła, co musiała – powiedział Wilks i ruszył ku tyłowi ładownika.

Billie i Char patrzyły przez kilka sekund przez otwartą osłonę. Śmierdzący podmuch owiewał im twarze. Armia robotnic zbliżała się do nich jak ściana deszczu. Kilka już przebiegło obok pojazdu, śpiesząc na wezwanie królowej. Billie słyszała ich skrzeczące głosy poprzez głośnie wycie silników ich pojazdu.

– Wyjście teraz na zewnątrz to samobójstwo – powiedziała Char. – A co stanie się, gdy...

– Wiemy, że pozostanie na pokładzie to samobójstwo -przerwała Billie. – Może te skurwysyny mają coś w rodzaju autopilota i nawet nas nie zauważą.

Bez słowa poszły na tył, do Falka i Wilksa. Dwaj mężczyźni wręczyli im załadowaną broń i dodatkowe magazynki. Wszyscy razem podeszli do włazu.

– Oszczędzajcie amunicję – odezwał się Wilks – i strzelajcie, tylko jeżeli do nas podejda. Trzymajcie się blisko nas.

Billie szukała słów, jakiegoś ostatniego zdania, ale nic nie wymyśliła. Wilks otworzył klapę i wyskoczył, przekręcił się w powietrzu i wylądował w płytkiej wodzie.

Billie usłyszała chór przeraźliwych ryków, nabrała powietrza i skoczyła.

Ripley kontynuowała odwrót; oddalała się od syczącej królowej. Wydawało jej się, że upłynął nieskończenie długi czas, zanim inny dźwięk zdominował głos, który wydawała ogromna bestia.

Odgłos nadlatującego *Kurtza* zabrzmiał jej w uszach jak najśłodsza muzyka.

– Opuścimy się tak blisko, jak tylko się da – zatrzeszczał w komunikatorze głos Brewstera – a potem... na święte gówno!

– Potem będzie nagroda – powiedziała Ripley. – Otwórzcie komorę i zbliżcie się tutaj.

– Dobra – powiedział Brewster – ale jeżeli wiatr znowu...

Królowa skupiła teraz swą uwagę na nadlatującym z grzmo-tem silników statku. Zrobiła krok w tył i wydała wysoki, zawodzący dźwięk.

– Ładny statek – odezwała się Ripley. – Miły, ładny stateczek.

Rzuciła szybkie spojrzenie na zbliżającego się *Kurtza*, a potem ponownie popatrzyła na królową.

– Czy królowa-suka będzie łaskawa skorzystać z przejażdżki tym pięknym pojazdem? Królowa nie odpowiedziała.

– Brewster, bliżej, no, bliżej!

Matka obcych zrobiła następny krok w tył, kiwnęła swą wielką głową. Popatrzyła na Ripley, potem na statek.

Luk załadowczy *Kurtza* był teraz dokładnie nad bestią. Właz się otworzył. Trzymając broń wycelowaną w królową, Ripley



podniosła lewą rękę w górę. Uchwyt podnośnika zatrzasnął się na opancerzeniu jej ramienia.

Podciągnęła się w górę, co wymagało niemałego wysiłku. Czowała jakby ramię miało za chwilę wyrwać się ze stawu.

Królowa patrzyła, ale nie wykazywała ochoty pójścia w jej ślady.

Ripley nie wierzyła, że potwór boi się statku tej wielkości. Może jest'zdumiony, ale przecież te cholerne monstra nigdy nie bały się niczego.

Wczołgała się na łokciach i kolanach do luku, potem wstała i spojrziała w dół na królową.

Stwór zasyczał na nią. Wszystkie jego metalicznie połyskujące zęby były wyraźnie widoczne, pomimo słabego oświetlenia.

Ripley uśmiechnęła się.

– Doskonale, Brewster. Utrzymaj się w tym położeniu przez minutę.

Wycelowwała w najbliższy kokon i wystrzeliła.

Królowa ryknęła, gdy kopuła rozleciała się na kawałki. Ripley trzymała palec na spuście i posyłała śmiertcionośne pociski w to, co jeszcze przed chwilą było mrowiskiem. Kawałki jakiegoś połyskującego materiału latały w powietrzu, spadały do wody i tonęły.

Zdjęła palec ze spustu. Królowa odwróciła głowę od resztek kopuły i zawarczała wściekle. Patrzyła przy tym na Ripley.

„Wie, że to ja zrobiłam – pomyślała Ripley. – Wie, czym jest karabin, chociaż nigdy pewnie go nie widziała”.

Obserwuje.

Ripley skierowała lufę w następny kokon i otworzyła ogień. Ze strasliwym skrzykiem królowa rzuciła się w jej kierunku.

Ripley cofnęła się, gdy szponiaste, ogromne łapy zacisnęły się na luku. Potwór chwycił za brzeg włazu.

– W górę, teraz w górę – krzyknęła Ripley w komunikator. Kurtz uniósł się powoli.

Królowa wgramoliła się do luku, a Ripley pobiegła ku wewnętrznym drzwiom.

– Zamknąć właz!

Ripley rzuciła ostatnie spojrzenie na potwora i prawie całkowicie już zamkniętą klapę luku. Musi mieć pewność...

Ciemny ogon królowej wystrzelił w jej kierunku i dosięgnął ją. Trafił w osłonę głowy, przebił się przez karbonowe włókna i uderzył w czaszkę. Siła uderzenia powaliła Ripley na podłogę.

Komora pociemniała. Małe światełka zapaliły się wokół obcego. Ripley potrząsnęła głową i zobaczyła, że królowa odwraca się od niej i zaczyna walić w zamknięty już właz. Po chwili schwyte monstrum wydało dziki ryk. Wiedziało, że straciło wolność.

Skrzeczący dźwięk umilkł, gdy Ripley ostatkiem sił wy dostała się za drzwi. Świat stał się szary.

Wilks, Billie, Adcox i Faik stanęli w kręgu twarzami na zewnątrz. Dziesiątki obcych mijały ich w szalonym pędzie ku swej matce. Rozchlapując wodę na wszystkie strony, biegły przez płyciznę. Jakby cuchnące, pełne chemicznych wyziewów powietrze i wilgotny upał nie były wystarczająco obezwładniające, setki koszmarnych bestii dyszały wokół nich, zamieniając otoczenie w prawdziwe piekło, gorsze od tego, jakie zawsze wyobrażał sobie Wilks. Ktoś wystrzelił zza jego pleców. Obcy zasyczeli, ale nie przerwali biegu. Wtem jedna z robotnic skrzyła ku grupce ludzi, pochyliła się, wyciągnęła zakrzywione szpony...

Wilks nacisnął spust i powalił potwora krótką serią. Bestia upadła w wodę. Trzy, może cztery potwory zbliżyły się do martwego ciała i pobiegły dalej.

Następny potwór ryknął i zbliżył się do sierżanta. Ten wypalił po raz drugi.

Falk zaklął, kiedy kilka następnych potworów zatrzymało się. Szybko zostały zabite.

Wilks wiedział, że nie utrzymają się długo. Nie było sposobu, żeby przedrzeć się przez falangi oszalałych bestii. Wycelował w jednego ze szczerzących zęby potworów i wystrzelił pojedynczy pocisk. Głowa obcego eksplodowała. Upadł w wodę, która natychmiast zaczęła bulgotać.

– Nie uda nam się tego zrobić! – krzyknęła Billie. Wilks wycelował w kolejne monstrum i wypalił.

– Jeszcze pięć minut i ładownik wybuchnie – krzyknął w odpowiedzi sierżant. – Zabierzemy parę sztuk tych skurwysynów ze sobą!

Raz za razem naciskał spust karabinu, mając nadzieję, że wystarczy im amunicji, zanim nastąpi wybuch i biały błysk skończy wszystko...

Ogon królowej zawadził o nogę Ripley wystarczająco mocno by wyprzeć ból głowy. Otworzyła oczy. Przyłgnęła do ściany naprzeciw drzwi, kiedy...

„Moja głowa” – pomyślała.

Królowa dziko bębniła w zewnętrzny właz, ale ten nie chciał ustąpić.

Ripley nacisnęła przycisk klapy wiodącej do doku ładownika. Drzwi otworzyły się cicho. Tam będzie bezpieczna.

Na odgłos otwierającego się włazu, królowa odwróciła się. Ogon zabębnił głośno o podłogę. Wyraźnie szykowała się do skoku.

Ripley rzuciła się całym ciałem w czyste powietrze doku i podciągnęła nogi. Wewnątrz stała Moto z palnikiem w rękach.

– Szybko!

Moto uderzyła w przycisk. Drzwi zamknęły się na sekundę przed atakiem bestii. Stłumione dudnienie rozległo się po drugiej stronie wjazdu, ale potężna kłapa wytrzymała.

Ripley oparła się o ścianę i przyglądała się, Moto zatapia wejście. Nigdy nie myślała, że metaliczne powietrze wnętrza statku wyda jej się tak cudowne. A jednak tak było. Na dodatek przeżyła...!

I mają królową!

– Jedziemy na wycieczkę, suko! – krzyknęła w stronę wjazdu. McQuade podszedł do niej, by pomóc zdjąć ciężki ubiór.

– Chryste Panie, Ripley. Zrobiłaś to! —wykrzyknął. Syknęła, kiedy kapitan ściągał jej lewego buta.

– Tak. A teraz musimy się pośpieszyć i zgarnąć tamtych! Moto właśnie skończyła i wstała. Wymieniła spojrzenie z McQuadem.

– Nie możemy – powiedział kapitan. – Brewster mówi, że musimy uciekać z tego piekła.

– O czym ty gadasz? – warknęła Ripley. – Nie żyją? Nagle poczuła zawrót głowy i przycisnęła dłoń do czoła.

– Nie to nie to. Reaktor ładownika wszedł w stan krytyczny. Eksploduje w ciągu kilku minut. Cały oddziałek wyskoczył w jednej z tych wąskich dolin i Brewster twierdzi, że nie da się ich wyciągnąć.

Ripley pobiegła do schodów, zanim skończył mówić. Moto i kapitan ruszyli za nią. Wspinająca się w górę ignorując nieme krzyki jej obolałego ciała. Pobiegła do kabiny sterowniczej.

Brewster i Tully wyszczerzyli zęby na jej widok.

– Ripley – odezwał się Brewster. – Miło cię widzieć...

– Ruszaj po resztę ludzi, już!

– Słuchaj, nie ma żadnego sposobu! Chciałbym, żeby był jakiś, ale wiatr się wzmacnia, a tam nie ma wystarczającej przesłony. I nie ma czasu!

– Znajdź sposób – krzyknęła. – Jeżeli zginiemy, to zginiemy. Co by było, gdybyś to ty tam był? Brewster zmarszczył brwi.

– Słuchaj... – zaczął.

– Nie, to ty posłuchaj. Zabierzesz ich stamtąd, albo ja to zrobię.

Ciągle miała na sobie górną część ochronnego kombinezonu i zapięcia zgrzytały dziko, kiedy szarpała je z wściekłością.

Młody pilot sapnął głośno.

– Dobra. Pieprzyć wszystko. Trzymajcie się.

– Mam mniej niż sto pocisków – krzyknęła Char. Falk zaklął i rzucił swój karabin.

– Pusty! – ryknął z rozpaczą.

Billie przysunęła się bliżej, by go osłaniać. Głowa rozboleła ją od ciągłego, ogłuszającego huku wystrzałów i skrzeczenia obcych. Powietrze oszałamiało ją, a świat zdawał się umierać z okropnym krzykiem. Ledwo trzymała się na nogach...

Miała nadzieję, że Ripley się udało. Nic więcej nie liczyło się teraz. Poczwała łyzy na policzkach. Ogromna pustka otworzyła się w jej wnętrzu, kiedy zgładziła kolejnego obcego. Była wcześniej w tym miejscu, ale nie poznawała go. Teraz obawiała się, że jest tutaj już ostatni raz. Ech, pieprzyć to.

Potwory nagle rozpierchły się, uciekając od ich maleńkiej grupki. Setki ich ryknęły nagle jednym głosem i wyciągnęły w niebo swe odnóża. Stały jak ogłuszone. Billie, zaskoczona, odwróciła się do Wilksa...

Wskazał na coś i szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Kurtz! Nie usłyszała silników, gdyż jej uszy wypełniał jednobrzmiący ryk obcych i wybuchy strzałów.

Sierżant chwycił ją brutalnie i pociągnął w bok. Stała dokładnie na drodze zbliżającego się statku.

Obcy zaczęli ryczeć jeszcze głośniej i pobiegli w stronę obłego pojazdu. Dziesiątki przewracały się w biegu i były wgniatane w muł przez kolejne szeregi.

Grunt zatrzęsł się im pod stopami. Oceaniczna fala, którą wzbudzili obcy, uderzyła w nich z całą siłą. Woda sięgnęła im do piersi. Char upadła, ale Falk zdołał ją chwycić. Wilks objął Billie ramieniem i ruszył przez fale. Po chwili wypalił jeszcze do potwora, który zbliżył się do nich.

Kłapa doku ładownika była otwarta. Ripley i Moto stały po obu stronach wjazdu, trzymając się metalowych linek. Karabiny miały wycelowane nad głowami brnącej przez wodę czwórki i strzelały bez przerwy.

Billie i Wilks dotarli do doku. Dziewczyna spostrzegła ulgę w twarzy Ripley, kiedy ją zobaczyła. Nagle jej usta otworzyły się do krzyku. Kiedy wspinali się do drzwi, Billie zerknęła przez ramię. Obcy biegli pod śmiertelnym ostrzałem w kierunku statku i padali całymi dziesiątkami. Falk był tuż tuż, ale...

Jeden z potworów chwycił Char. Upadła w przód, a bestia runęła na nią. Jak w jakiejś okrutnej parodii sceny miłosnej, monstrum przyłgnęło do młodej porucznik i wcisnęło jej głowę pod wodę. Billie widziała, jak potężne szpony obejmują szyję Char, a głowa nagle przekręca się do tyłu. Krew zajaśniała czerwienią na ciemnej, szarawej wodzie.

Okrzyk triumfu bestii był krótki. Pociski przecięły ją na pół, ale Charlene Adcox była martwa.

Setki robotnic rzuciły się teraz w stronę zamykającego się luku, a Ripley i Moto ciągle strzelały przez zmniejszającą się szparę. Tuż przed zatrzęsnięciem się wjazdu jeden z potworów wepchnął szpony do środka. Rozległ się trzask zamka i na podłodze statku zostały dwa odcięte potworne palce. Metal zasyczał i zadymił.

Nagle wszyscy zostali przyciśnięci ogromną siłą do podłoża. To statek gwałtownie podskoczył w górę.

– Łapcie się czegokolwiek. Ładownik wybuchnie za kilka sekund! – krzyknęła Ripley.

Wilks zakleszczył się jednym ramieniem pomiędzy metalowe pręty, a drugim mocno przycisnął Billie.

Billie nie słyszała wybuchu, ale nagle statek zatańczył jakiś dziki taniec. Zataczył się następnie w lewą stronę, wyjąc przerażliwie. Billie i Wilks uderzyli o jedną ze ścian.

I już było po wszystkim. Kurtz uspokoił się nagle, wyrównał lot. Tylko cichy szum silników zakłócał ciszę.

Billie kilka razy wciągnęła głęboko powietrze i zaczęła szlochać, wtulona w ramię Wilksa. Pogłodził ją delikatnie po włosach i nie pozwolił odejść.

– Już dobrze. Udało się. Wszystko w porządku. Kolejny raz wymknęli się z objęć śmierci.

## ROZDZIAŁ 18

Wilks wycisnął szarą sztangę w górę, chrząknął i powoli opuścił ją na piersi. Zrobił głośny wydech i podniósł ciężar raz jeszcze.

W małej salce gimnastycznej Kurtza był sam. Kiedy wchodził, był tu jeszcze Falk. Olbrzym skinął mu głową bez słowa i wyszedł pod prysznic. Wilks rozumiał jego zachowanie. Wspólny sukces został zaciemniony przez śmierć trojga wspinających ludzi. Nikt nie chciał o tym rozmawiać.

Decyzja o odłożeniu na kilka dni głębokiego snu nie wymagała dyskusji. Byli dopiero o jeden dzień od planety królowej i załoga musiała oswoić się z tym, co się zdarzyło. Poza tym czas w trakcie snu stawał w miejscu.

Wilks położył sztangę na podpórkach i wstał. Sięgnął po ciężkie hantle. Robił już drugi zestaw ćwiczeń i wszystkie mięśnie drżały lekko, kiedy zginał i rozprostowywał ramiona. Zmęczenie ciała nie miało dla niego znaczenia. Skoncentrowanie się na ćwiczeniach pomagało trochę, a kiedy pot zaczynał spływać mu po skórze, czuł, jak jednocześnie spłukuje z niego ponure myśli i uczucia. Gniew. Smutek. Poczucie winy, które tak długi czas go dręczyło. Doświadczony komandos, który nie potrafił uchronić swych ludzi...

Billie tkwiła samotnie w swej kwaterze. Wilks był u niej poprzedniego wieczora, a rano zaniósł jej coś do jedzenia.

Nie słyszała, co do niej mówi, nie odpowiadała. Jej pierwsze łyzy w doku ładownika były ostatnimi. Nie pojawiły się więcej. Wilks szukał słów, które mógłby jej powiedzieć, które



zmusiłyby ją do spojrzenia na niego, ale nie potrafił ich znaleźć. Widział, bez mała, jak Billie odtwarza w myślach obraz śmierci Char. Jak przypomina sobie raz po raz wszystkie szczegóły. To była jej przyjaciółka. Dziewczyna czuła się niewątpliwie odpowiedzialna za to, co się stało. Wilks nie raz ratował życie Billie, a ona jemu. Lecz jak uratować ją przed nią samą? Przed poczuciem winy tkwiącym gdzieś w jej wnętrzu. Nawet siebie nie potrafił przed nim ustrzec. Usiadł więc i patrzył na nią, dopóki jego własna frustracja nie stała się tak wielka, że wstał i przyszedł tutaj.

„Tchórz – zaszemrał mu w myśli cichy głos. – Pieprzony tchórz”.

Druga część jego jestestwa zaoponowała: „Hola! Nie jestem jakimś mózgowcem czy psychiatrą, tylko zwykłym komandosem...”

Tak, to prawda.

Westchnął głośno i podszedł do atlasu, by poćwiczyć mięśnie nóg. Może trzeci zestaw wyzwoli jego mózg od gorzkich rozmyślań.

Billie siedziała na łóżku i próbowała nie myśleć. Byli już w przestrzeni kosmicznej, matka obcych siedziała spokojnie w ładowni. Lecieli na Ziemię, by zabić jej potomstwo i uratować Amy...

...która prawdopodobnie jest już martwa, jak Char, jak Carvey, jak Dunston, zabita, zamordowana, martwa... Przycisnęła palce do czoła i czekała na łzy. Nic z tego. Smutek był zbyt wielki. Byli już tak blisko *Kurtza*, kilka cali od bezpiecznego miejsca... Carvey i Dunston. Najlepszy przyjaciel Brewstera i człowiek, który był nauczycielem i dzięki niej dokonał wyboru. By umrzeć. Nie знаła ich tak dobrze jak Char.

Charlene. Billie namówiła ją na wyprawę, która kosztowała życie.

Dwa razy przyszedł Wilks. Próbowwała coś zjeść, kiedy sobie poszedł, ale jedzenie stawało jej w gardle. Zwykle nieprzenikniona twarz sierżanta tym razem wiele wyrażała. Billie wiedziała, że chce jej pomóc, zrobić dla niej co tylko w jego mocy, ale nic nie powiedział. Każde z nich przeżywało swą własną udrękę.

Ostatniej nocy, kiedy wyszedł Wilks, przyszedł Dylan Brewster i zaczął jej tłumaczyć, że to on powinien być na miejscu Carveya. Carvey nigdy nie był „prawdziwym” komandosem, miał serce dziecka, uległe na każdą prośbę. Do diabła, ten dzieciak wziął udział w misji tylko ze względu na Brewstera...

Billie rozumiała jego ból, ale wolała zostać sama ze swoimi myślami. Nie poprosiła go, by został z nią. Usiłowała być obiektywna, wmówić sobie, że przecież decyzja należała do Char. To była zresztą prawda, ale nie miała znaczenia, bo Adcox odeszła. Pomyślała, że poszła na wyprawę dla Amy, ale to było tylko tłumaczenie własnego wyboru. Char Adcox miała własne przeżycia i mieszanie do tego swoich dążeń było zwykłym zarozumiałstwem. Czy zakończenie usprawiedliwi ofiary? Skąd mogła to wiedzieć? Może obcy powinni panować nad światem? Kimże ona jest, żeby walczyć przeciwko przeznaczeniu? Położyła się i nakryła aż po brodę. Może później zdoła porozmawiać z Ripley. Jednak nie teraz.

Ripley siedziała oparta o ścianę doku, naprzeciw głównej ładowni, i nasłuchiwała. Co chwila rozlegał się chrzęst. To królowa poruszała się wewnątrz i ocierała potężne ciało o gładkie ściany swego więzienia.

Ripley spędziła tutaj większą część nocy. Królowa od czasu do czasu bębniła w ściany i ryczała, aż do wczesnego ranka.

Uszkodzenia Kurtza okazały się minimalne i McQuade dokonał już wszystkich drobnych napraw. Jones próbował zabrać Ripley do działu medycznego, ale dobrze się czuła, a poza tym chciała posłuchać, jak królowa tłucze się w ściany ładowni.

Ripley czuła gorycz z powodu śmierci Dunstona, Curveya i Adcox. Wszyscy oni zginęli, by królowa mogła znaleźć się na statku. Wiedziała, że znaczna część odpowiedzialności za ich śmierć spoczywa na jej barkach, lecz przecież ona także mogła zginąć. Czy tego od niej oczekiwano? Przecież przybyli tu, by rozpocząć zagładę morderczego plemienia, by schwytać królową, która spowodowała śmierć tak wielu... Pałaca żądza zemsty mogłaby roznieść matkę obcych na miliony kawałków. Nic nie mogło się równać z jej nienawiścią. Jej wściekłość była gorąca i tymczasowa, nienawiść zimna, twarda i wieczna. Eksterminacja tego skurwysyńskiego gatunku usprawiedliwi wszystko, co stanie się do tego momentu.

Wiedziała, że życie dla zemsty nie jest najzdrowszą formą egzystencji, ale nie dbała o to. Czuła się coraz silniejsza z każdą upływającą chwilą, z każdą godziną, która przybliżała ją do spełnienia celu.

Pusta przestrzeń przed nią nagle rozdziwiła się. Ripley zamrugła kilkakrotnie oczami. Podwójny obraz przeczyścił się.

Głowa ciągle bolała ją w miejscu, gdzie trafił ogon bestii, ale guz zmniejszył się wyraźnie. Wielki siniak na nodze również wydawał się blednąć. Była po prostu strasznie zmęczona i ostatnio niewiele jadła...

Myśl o jedzeniu i spaniu podziałała jak bodziec. Wstała i odeszła od drzwi ładowni.

– Przyjdę później, kupo łajna – krzyknęła przez ramię.

Kiedy zaczęła iść w kierunku schodów, zauważyła, że statek lekko przechylił się w prawo. Zmarszczyła brwi i zatrzymała się. Wyciągnęła rękę i oparła ją o ścianę. Ciężenie nie powinno powodować takiego przechyłu. Zrobiła jeszcze jeden krok w stronę drabinki. Nagle poczuła jakby stanęła na ścianie. przechyliła się i próbowała przeciwstawić się niespodziewanemu zjawisku.

– Tully! – krzyknęła. Nie było odpowiedzi.

Stało się coś potwornie złego. Spostrzegła na ścianie przycisk alarmu i wcisnęła go.

„Dlaczego jeszcze nie działa..?”

To była jej ostatnia myśl po naciśnięciu przycisku. Potem zgasły światła.

## ROZDZIAŁ 19

Billie siedziała w milczeniu w mesie. Inni też się nie odzywali. Po krótkich naprawach McQuada nie było o czym rozmawiać. Czekali, że usłyszą w komunikatorze głos Jonesa, albo jeszcze lepiej, zobaczą Ripley wchodzącą do pokoju. Godzinę temu dźwięk alarmu wyrwał Billie ze snu. Wypadła na korytarz przygotowana na odgłosy szalejącej królowej. Lecz syreny umilkły sekundę później i Ana Moto zakomunikowała, że właśnie znalazła nieprzytomną Ripley i niesie ją do działu medycznego.

Wszyscy zebrali się w jadalni i czekali na wyjaśnienia.

Moto zjawiała się po kilku minutach i oznajmiła, że doktor właśnie uruchomił pełną diagnostykę. Kiedy skończy, powiadomi wszystkich o wynikach.

Billie poczuła się tak zmęczona, że ledwo potrafiła utrzymać otwarte oczy. Napięcie panujące w pokoju jeszcze bardziej ją wyczerpywało. Kiedy to się skończy? Teraz Ripley jest być może umierająca. Kobieta, która urodziła się, by czuć do niej szacunek, by ją podziwiać i ochraniać...

Wilks siedział obok niej i powoli sączył kawę. Jak zwykle jego twarz była bez wyrazu. Billie podziwiała jego opanowanie. Wydawało się, że nic nie jest go w stanie poruszyć na dłużej niż kilka sekund. Zawsze reagował żywo, a potem po prostu robił to, co należało zrobić. W porównaniu z nim była dzieckiem, zarówno ze względu na wiek, jak i na emocjonalne odruchy. Jej wewnętrzny płacz nad niesprawiedliwością świata był małosłowny i pozbawiony sensu. I nic nie zmieniał...

Przygryzła wargę i czekała.

Wilks bawił się filiżanką, zastanawiając się, czy to dobry moment na rozmowę z Billie. Martwił się o Ripley, ale przecież Jones był fachowcem. On sam nic tu nie mógł pomóc. Prawdopodobnie w ogóle niewiele miał teraz do roboty.

Billie wpatrywała się w blat stołu, jakby patrzyła na holoprojekcję. Nawet kiedy Bueller został na planecie Spearsa, potrafiła o tym rozmawiać. Przynajmniej trochę.

Kiedy Moto i Falk zaczęli rozmawiać między sobą w drugim końcu pokoju, był już zdecydowany.

– Trzymasz się?

– Tak. Dzięki – odpowiedziała martwym głosem.

– Przykro mi z powodu Adcox – powiedział, lecz nie usłyszał odpowiedzi. – Chciałbym, żeby była tu z nami. Gdyby było można, zamieniłbym się z nią na miejsca.

Billie zerknęła na niego.

– Dlaczego? Przecież to nie twoja wina.

– Po tym, jak Ripley odeszła, ja dowodziłem lądownikiem. Ja odpowiadam za wszystko.

– Nie przywołasz jej tu z powrotem, Wilks ! Ja... – przerwała w pół słowa.

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Ty również tego nie potrafisz zrobić – powiedział. Poczuł, że jakoś nie udaje mu się pocieszyć jej, ale nie mógł beczynnie patrzeć na tę smutną twarz. Odzwierciedlała wszystkie uczucia, kłębiące się w jej duszy. On nauczył się wszystko ukrywać w środku. Ona nie. Widział, jak bardzo była zraniona.

Poczuł, że odprężyła się nieco pod uściskiem jego dłoni.

– To naprawdę nie twoja wina, Billie. To nie ty stworzyłaś te potwory.

Przez dłuższą chwilę patrzyła wprost przed siebie i w końcu kiwnęła głową. Spojrzała na niego, a oczy zalśniły jej od łez. Ponownie pochyliła głowę.

– Nie – odezwała się drżącym głosem. – Nie ja.

Sierżant poczuł, że jego wewnętrzne napięcie też trochę zmalało. To był początek. Może jednak nie spieprzył tego tak bardzo...

– Hej, ludzie – zaskrzeczał komunikator – jesteście tam?  
To Jones.

Pierwsza odezwała się Tully.

– Co to było? Jak się czuje?

Wszyscy wlepili wzrok w głośnik na ścianie. Wilks zacisnął palce na ramieniu Billie.

– W porządku – powiedział Lekarz. – Tak dobrze, jakby była całkiem nowa.

Falk i Moto podskoczyli i wyszczerzyli zęby w uśmiechu. McQuade klepnął dłonią w krzesło i roześmiał się głośno.

Wilks uśmiechnął się do Billie, którą wreszcie opuściło wewnętrzne napięcie i zaczęła płakać. Załoga ledwo się wcześniej знаła, lecz Wilks, tak jak inni, poczuł ulgę. Ripley była kimś wyjątkowym. Cholera, oni wszyscy byli wyjątkowi. Otoczył Billie ramieniem, a ta oparła się o niego. Łzy spływały jej po twarzy. płakała teraz za wszystko, co się wydarzyło, a on to rozumiał. Płacz przynosił ulgę, wiedział o tym, chociaż nie miał co do tego żadnego doświadczenia.

Ripley powoli wypływała z ciemności. Ktoś rozmawiał w pobliżu. Była zmęczona i pękała jej głowa...

– ...teraz, w żadnym razie – mówił głos.

Gdzieś daleko ktoś wybuchnął śmiechem. Ripley zmusiła się do otworzenia oczu.

– Co się stało? – spytał odległy głos...

Ten bliższy odpowiedział:

– Odniosła obrażenia głowy, prawdopodobnie uderzona przez królową.

Ripley poczuła, jak znów odpływa jej świadomość. Zbyt trudno się skoncentrować. Ale... królowa? Królowa! Poczuła, jak jej dłonie zaciskają się w pięści.

Obudź się! Obudź!

– ...żadnych uszkodzeń w centralnym systemie nerwowym, żadnych złamań. Obawiałem się krwotoku wewnętrznego, ale nie stwierdziłem żadnych jego objawów. Myślę, że zasłabła głównie z powodu wyczerpania. Drobną sprawą. Ona jest naprawdę silna, silniejsza niż się wydaje.

To Jones, są na *Kurtzu* w dziale medycznym i królowa...

Ripley jęknęła i przekręciła głowę. Otworzyła oczy.

Jones stał przy ściennym komunikatorze. Popatrzył na nią, a potem zerknął na zegarek.

– Ooops. Mam tu pacjentkę, którą muszę się zaopiekować. Zawiadomię was, kiedy będzie mogła przyjmować gości.

Ripley skuliła się i rozejrzała wokoło. Zimny pokój, dziwny zapach, błyszczące przyrządy. Przerazało ją to otoczenie, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego.

– Gdzie jest królowa? – spytała.

Gardło miała przeraźliwie suche.

– Zamknięta w głównej ładowni. Nie obawiaj się. Nic się nie stało, po prostu zemdlałaś – powiedział Jones. – Wszyscy inni czują się dobrze.

Dał jej szklanekę wody i podtrzymał głowę tak, żeby mogła się napić.

– Jak długo? – zapytała, opadając z powrotem na łóżko.

– Około dwudziestu minut, odkąd Moto cię znalazła.

Ripley zaczęła się podnosić.

– Nie gniewaj się, Jones, ale ja nie znoszę lekarzy. Chcę wrócić do swojej kwatery.

– Wolałbym, żebyś została tutaj...



– A ja wolałabym nie zostawać. Ze mną wszystko w porządku, prawda?

Wysunęła nogi, zawahała się przez chwilę, w głowie zadudniło. Musi wyjść z tego okropnego pomieszczenia...

– W porządku – zgodził się Jones – ale pozwól, że ci pomogę. Wydaje mi się, że powinnaś być przebadana, kiedy wrócimy do Stacji. Nie byłem przeszkolony do takich przypadków. Myślę, że nie potrafię określić pewnych rzeczy bez analizy krwi.

Ripley wstała i odtrąciła wyciągniętą dłoń lekarza.

– O czym ty mówisz? Myślałam, że wszystko w porządku.

– Tak. Właściwie to jestem zdumiony. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

– Jones – zaczęła zirytowana. – Co mi...?

– Nie złość się, Ripley. Jesteś zdrowa, ale musisz odpocząć. Po prostu nie rozumiem, dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś. Co by się stało, gdybym musiał uruchomić procedurę wypadkową? Jakaś transfuzja krwi, na przykład?

– A plus – powiedziała. – Nie wiesz tego?

Jones uśmiechnął się.

– Wiem, ale ty nie. I nie masz w ogóle czynnika Rh. Chociaż zaawansowanie zaskoczyło mnie. Nigdy nie dowiedziałbym się bez mikroskopu, nawet kolor jest doskonały. Naprawdę zadziwiające. No, dalej. Pomogę ci dotrzeć do pokoju.

– O czym ty, do diabła, mówisz? Co to znaczy "twoje zaawansowanie"?

– Cóż, słyszałem, że zrobiono to w laboratoriach Sztucznych Osób, zanim rozpoczęła się inwazja potworów, ale ty jesteś tak podobna, że trudno uwierzyć...

Zrozumiała. To jakiś potworny żart. Z furią uderzyła Jonesa w rękę.

– Ty dupku! To nie jest zabawne. Jak myślisz, kim ty jesteś, do diabła? To nie jest śmieszne. O, Chryste!

Uśmiech zniknął z twarzy lekarza.

– Ripley – powiedział. – O, Boże. Nie wiedziałaś? Twierdzisz, że... Jak to możliwe, że nie wiedziałaś? Cholera, przepraszam... myślałem...

Zamilkł. Jego ciemne oblicze było teraz zatroskaną maską. Ripley poczuła, że jej złość nieco zmalała, kiedy w twarzy doktora zobaczyła prawdę. Ciężko oparła się o ścianę.

"Nie, nie... nie to... tak nie może być, nie!"

To następny zły sen, kolejny koszmar. To nie może być prawda. Nie może! Jestem człowiekiem! Nie... nie...

Androidem.

## ROZDZIAŁ 20

Wilks otworzył drzwi przed wyglądającą na krańcowo wyczerpaną Ripley.

– Wiem, że jest bardzo późno, ale czy mogłabym z tobą chwilę porozmawiać?

– Tak, pewnie. Jak się czujesz? Myśleliśmy...

Odsunął się, kiedy przechodziła obok niego. Usiadła na brzegu łóżka z opuszczoną głową. Przesunęła palcami przez włosy. Pod oczami miała ciemne wory, a ramię uniesione w napięciu. Skóra twarzy miała kolor popiołu.

Uniosła głowę i spojrzała na Wilksa z wyrazem, którego nie potrafił określić. To było coś jak strach? Zawstydzenie?

– Co się dzieje, Ripley?

– Wiem, że oficjalnie nikt nie dowodzi tą misją, ale wszyscy jak dotąd mnie słuchają.

Wydawało się, że patrzy na wskroś przez Wilksa, jakby nie było go pomiędzy nią a ścianą.

– To prawda – przyznał. – A ty zrobiłaś kawał dobrej roboty.

– Dobra, pasuję. Teraz kolej na ciebie. Chcę, żebyś to skończył.

Wstała jakby zakończyła rozrównę i ruszyła do drzwi.

– Poczekaj sekundę. Co się dzieje? Właśnie wróciłaś od lekarza, wyglądasz okropnie i nagle chcesz zrzucić na mnie odpowiedzialność za naszego pasażera na gapę? Tak mocno dostałaś po głowie?

Uśmiechnął się, żeby złagodzić nastrój, ale widać było, że jest zaskoczony.

– To nie jest otwarta dyskusja, Wilks. Słuchaj, jeżeli nie chcesz tego zrobić, powiedz McQuadowi albo Moto, albo komukolwiek. Nie obchodzi mnie to. Ja już skończyłam.

Policzki jej poczerwieniały, ale Wilks ciągle nie potrafił stłumić emocji.

– Dlaczego – spytał. – Możesz mi powiedzieć? Co się stało?

Ripley spuściła wzrok i zadrżała. Nie odezwała się ani słowem, ale też nie miała już zamiaru wychodzić.

Wilks czekał zmieszany. Od ubiegłego dnia był jakby jej dzieckiem. Nie dość, że w pojedynkę potrafiła uwięzić królową na pokładzie, to jeszcze, gdyby nie ona, Billie, Falk i on sam zmieniliby się w pył w atomowym wybuchu. Jeżeli tylko nie dopadłyby ich wcześniej potwory.

– Miałam po prostu długą rozmowę z Jonesem – odezwała się w końcu.

Jej głos był spokojny, ale nie podniosła wzroku.

– Jestem syntetykiem, Wilks. Sztuczniakiem. Falsyfikatem.

Splotła ramiona na piersi i popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Nie jestem człowiekiem i nigdy o tym nie wiedziałam.

Wilks przyglądał się jej przez kilka sekund, jakby go zamurowało. Android? Głęboko wciągnął powietrze.

– Jesteś pewna?

– Jones pokazał mi próbki mojej krwi; razem zrobiliśmy testy. Tak, jestem pewna.

Przycisnęła dłonie do czoła i zamknęła oczy.

– Nie jest to miłe dla ciebie, Ripley, ale co z tego, do cholery? Doprowadziłaś nas tak daleko i...

– Nie rozumiesz? – spytała drżącym, piskliwym głosem. – Kto wie, jakie jest moje zadanie. Może zostałam zaprogramowana przez jakąś spółkę, która chciała zdobyć

królową do swych badań. Co będzie, jeżeli mam zabić was wszystkich po powrocie na Ziemię? Nie jestem godna zaufania.

Ostatnie słowa powiedziała szeptem.

– Czy możesz... eee... dostać się do swojego programu?

– Nie. Najwyraźniej jestem zbyt zaawansowanym wytworem nauki. Żadnej mechaniki, żadnych portów wejścia-wyjścia. – Jej głos wypełniała gorzka ironia. – Jones powiedział, że nigdy by tego nie odkrył bez mikroskopów. Jestem jak człowiek, aż do poziomu mikroskopowego.

Wilks zmarszczył brwi.

– Zrozumiałem twój punkt widzenia – powiedział – ale nie uważam, że robi mi to jakąś różnicę. Mogłaś zostawić nas na śmierć, mogłaś nas zabić co najmniej kilka razy. No i kto pozostał na Ziemi, by prowadzić jakieś badania? – Przerwał na moment. – Myślę, że niezależnie od tego skąd pochodzi twój program, jest on doskonały. A skoro różnice można wykryć tylko przy pomocy mikroskopu, to o czym tu rozmawiać?

Ripley podeszła do drzwi i otworzyła je.

– O mnie – powiedziała i wyszła na korytarz.

Wilks patrzył na półotwarte drzwi. Na Jezusa i Buddę. Jak sobie z tym poradzić? Wyjaśnić, że wszyscy myślą o niej jak o człowieku...

"Billie" – pomyślał.

Ripley oczywiście nie jest za pan brat z tym problemem.

Może Billie mogłaby jej coś pomóc; kochała Buellera nawet po tym, gdy dowiedziała się prawdy...

Wyszedł jej poszukać.

Billie zapukała do drzwi Ripley i czekała. Nie było odpowiedzi. Ogrzewanie Kurtza zmniejszyło się, jak zwykle w nocy, i dziewczyna drżała z zimna. Zapukała jeszcze raz, tym razem delikatniej.

"Może usnęła – pomyślała. – To dobrze".

Poczekala jeszcze chwile i odeszla od drzwi. Wróciła do swojego pokoju. Wilks wstał, kiedy pojawila się w drzwiach.

– Spi – powiedziala.

– Albo po prostu nie odpowiada – zauwazył. – Moze uda ci się porozmawiac z nią jutro.

W tym momencie nie bylo juz nic wiecej do zrobienia. Sierzant wyszedł od Billie i wrócił do swojej klitki.

Billie czula się zmeczona, ale miala tyle do przemyślenia. Usiadła na brzegu łózka.

Co mogłaby powiedziec Ripley? Co powinna powiedziec?

"Och, przykro mi, Ripley. To takie trudne. Wiesz, zakochalam się kiedyś w pewnym żołnierzu i okazalo się, że on nie był prawdziwy. Kiedy to odkrylam, czulam się strasznie, myślę... czulam się oszukana..."

To mogłoby jej pomóc.

Położyła się i zrobila kilka powolnych regularnych wdechów i wydechów. Patrzyła na sufit i usilowała policzyć plamy na plastikowej powloce. Myśli krążyły jej niespokojnie po głowie.

Mitch był zdolny do miłości, do kochania drugiej osoby. Teraz to wiedziala. Lecz zanim to dostrzegła, ona i Wilks byli juz na statku Spearsa.

Czy to, czego dowiedziala się o Ripley, zmienia cokolwiek? Pomyślala o misji. Od samego początku Ripley pragnęła totalnie wytepic te cholerne potwory. Nie, szacunek do niej był nadal tak wielki, jak przedtem.

Odkąd tylko ją poznala, Ripley wydawala się nie potrzebować nikogo. Lecz teraz to się zmienilo i w pewien sposób czynilo ją to prawdziwszą...

Bardziej ludzką. W taki sam sposób, jak stalo się to z Mitchem podczas ostatniej transmisji.

Billie wiedziała o nienawiści jaką czują ludzie do syntetyków. To było częściowo zrozumiałe. Trudno rozmawiać z maszyną i czuć się swobodnie.

Czy Mitch był maszyną? Czy jest nią Ripley?

Z Mitchem było inaczej. Patrzyła na niego z innej perspektywy. Co to zresztą jest perspektywa? Ripley nie urodziła się wprawdzie w normalny sposób, ale czy to pozbawiało ją duszy? Czy czyniło ją mniej wartościową od innych? Gdzie przebiega ta niewidoczna granica?

W końcu Billie zasnęła. Śniła o pytaniach bez odpowiedzi.

\*\*\*

Ripley w końcu poczuła głód, a kiedy już się pojawił, nie dawał się odpędzić.

"Wspaniale – pomyślała. – Jestem głodna. Wielka sprawa".

Był późny poranek. Spała prawie dziesięć godzin, lecz ciągle czuła zmęczenie. Leżała w łóżku z zamkniętymi oczami.

Wszystko już przemyślała i teraz mogła myśleć tylko o jedzeniu. Co czuła? Czy to takie ważne? Jej uczucia są symulowane, fałszywe.

W końcu jednak wyjaśniły się pewne sprawy. Jej wypadnięcie z czasu po Sulaco. Nieobecność snów aż do teraz. I przemożna niechęć do lekarzy – oczywiście zaprogramowane zabezpieczenie przed wykryciem prawdy. Nie pozwól im chodzić koło siebie, to niczego nie odkryją.

Kwestia "dlaczego" była nieuchwytna, może zresztą nie miała znaczenia. W wszystkie jej przekonania stanęły pod znakiem zapytania: androidom nie można ufać, mogą cię zdradzić. To leży w ich naturze. Sposób, w jaki sama została oszukana...

Sztuczniak na Nostromo był mordercą, który udawał przyjaciela. Bishop był w porządku, ale...

Zmarszczyła brwi. Coś z tym Bishopem było nie tak, jakaś dwoistość, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, o co tam chodziło...

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Ripley? To ja, Billie. Mogę wejść?

Serce Ripley skurczyło się. Billie. Młoda kobieta, która okazała tak wiele odwagi w czasie wyprawy. Ripley była z niej dumna.

"Dziwne – pomyślała. – To takie ludzkie".

– Nie teraz, Billie.

– Zajmę ci tylko minutkę! Wilks chce przejść dziś wieczorem do głębokiego snu...

– Odejdź, Billie. Nie potrzebuję towarzystwa.

Nawet rozmowa z kimś wyczerpywała ją.

Czuła wahanie po tamtej stronie drzwi. Wyobraziła sobie Billie stojącą tam, szukającą właściwych słów.

"Nikt nie dba o to – mogłaby powiedzieć. – Naprawdę, wszystko jest w porządku..."

Myśl, że Billie mogłaby litować się nad nią, jeszcze bardziej ją przygnębiła. Nawet to uczucie nie było prawdziwe.

Cholera.

– Nie teraz.

Usłyszała, że dziewczyna odchodzi. Zadowolona była, że wszyscy położą się do komór hipersnu. Chciała zostać sama.

Żołądek Ripley nagle głośno zaburczał. Przyciągnęła kolana do piersi i zapragnęła, by wszystko zniknęło.



## ROZDZIAŁ 21

Wilks czuł się wspaniale. Usiadł w otwartej komorze hipersnu i rozejrzał się wokoło. Otaczały go śpiące, zimne jeszcze sylwetki reszty załogi. Zdumiony był nieobecnością ubocznych efektów sztucznego uśpienia. Zwykle bardzo go nękały. Chociaż po chwili zdał sobie sprawę, że w gruncie najważniejsze jest samopoczucie, a nie powody, dla których było tak dobre.

Założył ubranie i uśmiechnął się. Czuł siłę swojego ciała. To było cholernie cudowne uczucie. Może to coś jeszcze, coś jak...

"Oczyszczenie" – pomyślał. Pragnął tego już od dawna. Z drugiej strony było to odrobinę dziwne, że odczuł to tuż po przebudzeniu; ta pora była zwykle cholernie nieprzyjemna. Stało się to chyba w ten sposób, że w czasie snu spłynęło na niego poczucie spokoju, wiedza, że wszystko jest takie, jakie powinno być...

Roześmiał się głośno i poszedł w kierunku schodów. Przez całe lata dźwigał na sobie tak wiele. Poczucie winy i udręki przeszłości ważyły tak dużo. I co? Odeszły, ulotniły się w pustkę kosmosu. Nie było się czemu dziwić. Po prostu był wolny!

W jego mózgu odezwał się cichy, chłodny głos i poprowadził go do objawienia.

Wolność – powiedział cicho głos. – Klucz do niej...

Pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia. Zszedł po schodach i przeszedł przez dok lądownika. Jego stopy ledwie dotykały metalowej podłogi. Tak wiele stracił czasu! Lecz teraz wszystko już jest w porządku.

Wolność, życie, wyzwolenie...

Spłynął na niego ciepły spokój i palec wyciągnął się w stronę przycisku. Wewnętrzne odczucia stały się silniejsze, bardziej wyraziste.

Pozwól jej odejść, pozwól mi odejść...

Zaraz. Wilks cofnął rękę w nagłej niepewności. Co to ma znaczyć? Gdzie...

POZWÓL MI ODEJŚĆ...

Poczucie ogromnej mocy i okropnego strachu zatrzęsło nagle sierżantem. Cofnął się. Odszedł od drzwi. Znalazł się w pustej przestrzeni, opanowany przez jakiś niewytłumaczalny żal.

"Ona tam jest!" – krzyczały jego myśli. Czuł piękno spokoju, które...

Wyzwolenie, wolność – głos leciutko zadrgał obietnicą. I miłością.

Musiał tylko nacisnąć przycisk.

Oparł się o ścianę i po raz pierwszy od dzieciństwa rozplakał się.

Billie stała w doku ładownika. Powietrze było zimne, a światła przygaszone. Przypuszczała, że ma tu kogoś spotkać, ale nie mogła sobie przypomnieć...

Billie!

Stłumiony głos przeniknął przez ściany głównej ładowni.

To był głos, który znała i kochała.

Billie! To ja, Mitch!

Ruszyła do drzwi. Nadzieja prawie rozsadzała jej piersi.

– Mitch? – głos zadrżał jej lekko.

– Tak. Otwórz, Billie! Kocham cię.

Cofnęła się kilka kroków. Nie, to w żaden sposób nie może być...

Billie! Billie, tu Char. O, Boże. Nie pozwól im mnie dopaść. Billie, proszę...

Jak mogła pomyśleć, że to Mitch? Char ma najwyraźniej kłopoty, a ona jest za to odpowiedzialna. Podbiegła do drzwi i wyciągnęła rękę w stronę przycisku. Chwileczkę... Char nie żyje.

Nie pozwól im mnie zabić. Billie, nie rób mi tego. Otwórz drzwi!

– Jesteś martwa – cicho powiedziała Billie. – Nie ma cię tam. Cofnęła rękę.

– Masz rację – powiedział głos po drugiej stronie. – I ja też mogę umrzeć. Nie dbasz o to, co Billie? Zostaw mnie tutaj. To nie ma znaczenia.

To była Ripley.

– Nie. – Wszystko było jakoś nie tak. – Ripley! Nadal mnie obchodzisz! Chcę ci pomóc, ale nie wiem jak. Pozwól, żebym ci pomogła...

– Głos Ripley zabrzmiał bezradnie:

Nawet nie chcesz ze mną rozmawiać, Billie. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi, ale nie. Zostawiłaś mnie tutaj na śmierć...

– Nie! Ja... – Dlaczego nie miałyby otworzyć tych drzwi. – Ripley! Nie mogę otworzyć. Tam jest coś... Królowa! Przypomnienie zważyło się na nią potwornym ciężarem. Odskoczyła od drzwi, a chór głosów wołał ją, błagał: Pozwól mi wyjść... Kocham cię... Proszę, nie...

Gdzieś w tle rozległ się ni to krzyk, ni to płacz, harmonizujący z resztą odgłosów. Potężna muzyka, głośnie, dźwięczne akordy, bębnienie, grzmoty... Runęło to na nią jak fala przyływu zmywająca wszystko na swej drodze. Zalały ją lodowate ciemności.

Ripley siedziała oparta plecami o drzwi wiodące do głównej ładowni. Gotowy do strzału karabin leżał na jej skrzyżowanych kolanach. Załoga spała już od dwóch dni. Niebawem pewnie do nich dołączy, ale na razie siedziała tutaj. Czekała...

Pierwszy dzień spędziła śpiąc i jedząc na przemian. Pomysł skończenia z tym wszystkim kilkakrotnie wypływał na powierzchnię jej myśli. Za każdym razem starannie rozważała wszystkie za i przeciw. Kto dbał o jakiegoś tam androida? Jeden mniej, jeden więcej. Po prostu mogła wyjść przez którykolwiek luk. Niewielka strata. Nie była już teraz niezbędna. I tak plan się powiedzie. Inni mogli go zakończyć...

Zaglądała właśnie bezmyślnie do magazynu żywności, kiedy królowa krzyknęła. Dźwięk rozniósł się po cichym wnętrzu uśpionego statku. Ripley Chwyciła odruchowo za broń i pobięła do ładowni.

Przebiegła przez dok ładownika, a serce trzepotało w niej dziko. Pomyślała, że jakimś sposobem bestii udało się wydostać, lecz wszystko było pozamykane. Królowa krzyczała i tłukła w ściany, ale nadal była uwięziona.

To stało się wcześniej. Teraz od godziny matka obcych siedziała cicho; jej napad wściekłości trwał tylko kilka minut.

Ripley zadowolona była, że żyje. Miała tyle jeszcze do zrobienia, ciągle pojawiała się coś nowego.

„Ta suka za moimi plecami tylko czeka aż umrę i zamierza zabrać swoje dzieci tam skąd przyszła”.

Chciałaby to zobaczyć. Chciałaby widzieć zakończenie.

Właśnie. To był wystarczający powód, by żyć. Czymkolwiek jest, musi żyć.

Wilks zamruczał, kiedy światło przedarło się przez jego powieki. Pokrywa komory hipersnu odsunęła się z sykiem i ciepło błyskawicznie uleciało na zewnątrz w chłód wnętrza statku.. Całe ciało było obolałe. Usiadł i powoli przypomniał sobie powód swego wielkiego smutku...

Sny.

Wszyscy zostańcie na swoich miejscach – powiedział.

Jego głos był tylko słabym chrypieniem.

Nikt nie wychodzi, zanim nie porozmawiamy!

Inni budzili się powoli. Twarze mieli zmęczone i oszołomione. Wilks zignorował wszelkie bóle, chwycił kombinezon i poszedł do drzwi. Ubrał się w przejmująco zimnym powietrzu i poczekał na resztę.

Niektórzy poczuli ulgę, kiedy zobaczyli, że Ripley jest z nimi. Ubrała się szybko i podeszła do sierżanta. Chciała go wyminąć.

– Poczekaj, Ripley. Królowa wysyłała przekazy, kiedy spaliśmy. Myślę, że trzeba...

– Ja nie śniłam – powiedziała. – Przepraszam.

Zamierzał jej odpowiedzieć, ale zrezygnował. Kiwnął tylko głową i przepuścił ją.

Brewster naciągnął koszulkę i odwrócił się do Wilksa.

– Co jest, do cholery, Wilks?

Inni patrzyli na niego z wyczekiwaniem. Patrzył na ich twarze, szukał w nich jakiejś zmiany, ale wszystkie wyglądały tak samo, jak jego własna – były zmęczone i zirytowane.

– Czy ktoś śnił o uwalnianiu królowej? – zapytał.

– Tak – prawie natychmiast odpowiedziała Billie.

Ana Moto kiwnęła głową, tak samo jak McQuade i Jones.

Twarz Brewstera wygładziła się.

– Tak – powiedział jakby z ulgą.

– Dobra. Możemy o tym porozmawiać przy śniadaniu.

– Transmisja była potężna – powiedziała Moto. – To było coś jak cwana reklama: „Zobacz, co możesz wygrać, kiedy otworzysz magiczne drzwi”. Nie dziwię się, że chcesz nas sprawdzić. Ty nie miałeś z tym wcześniej do czynienia.

Wilks skinął głową.

Billie przełknęła kęs śniadania i popatrzyła na sierżanta, ciekawa o czym śnił.

– Chcesz pewnie wiedzieć i być pewnym, że żadne z nas nie zamierza prowadzić nieuczciwej gry, co? – spytał Brewster.

– Coś w tym rodzaju.

– Witamy w klubie miłośników snów – rzuciła Moto.

Wszyscy siedzieli przy jednym stole i jedli po raz pierwszy od wielu tygodni. Prawdopodobnie byli już w zasięgu Stacji.

Może około dwudziestu godzin lotu od niej. Billie poczuła, jak serce zaczyna bić szybciej na myśl o Ziemi...

Ripley przeszła obok nich i poszła ze śniadaniem do swego pokoju. Billie chciałaby, żeby chociaż jadła z nimi. Wystarczająco smutna była strata trzech członków załogi, a Ripley przecież żyła.

– Hej, gdzie jest nasza pani boss? – zawołał Brewster. – Dlaczego się tu nie pożywia?

– Tak – dodała Tully. – Musimy przecież omówić co zrobić ze Stacją.

Billie zerknęła na Wilksa. Ten odłożył widelec.

– Ripley ma jakieś osobiste problemy – powiedziała.

– Co za osobiste problemy? – spytał Falk.

Wilks kiwnął na Billie, by mówiła dalej.

– Musimy o tym porozmawiać – ciągnęła dziewczyna. –

Nie jestem pewna... Ripley raczej nie chciałaby o tym dyskutować, ale chce, żeby wszyscy wiedzieli.

Jej głos brzmiał spokojnie, dużo spokojniej niż naprawdę się czuła.

– Ripley jest sztuczną osobą. Androidem. Oczywiście nie wiedziała o tym, aż do momentu, kiedy miała zrobione pewne medyczne testy. Ta wiadomość podziałała na nią okropnie.

Przerwała i popatrzyła na słuchającą ją załogę. W jadalni panowała niezręczna cisza.

– Ripley spytała mnie, czy nie przejąłbym dowodzenia, którego się zrzeka – powiedział Wilks. – Ale musimy temu podołać zbiorowym wysiłkiem. Nie jestem typem przywódcy i...

– Jak to się stało, do cholery, że nie wiedziała? – zachnął się McQuade. – Czy nie wszyscy wiedzą, kim są?

– O to chodzi – powiedział Jones. – Ripley nie wiedziała.

– Zaufaliśmy jej – cicho powiedziała Tully.

Billie poczuła, jak rozpala się w niej gniew.

– To wyjaśnia, jak zdołała sama poskromić królową – zauważył Falk. W jego głosie słychać było załamanie

-Gdybym wiedział – zaczął McQuade – nie byłbym...

-Gdybyś wiedział, to co? – Nie wytrzymała Billie. Mimo chłodu czuła, jak od środka rozpala ją wściekłość. – Ripley nie wiedziała, dotarło to do ciebie? – odwróciła się do Tully.–

Ona też wierzyła w siebie. Jak ty byś się czuła? Myślisz, że zrobiła to specjalnie?

Odwróciła się jeszcze do Falka.

– Ostatnią rzeczą, której oczekuje od załogi, jest wasza bigoteria!

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do spokoju. Usiadła.

– Jones jest bardziej kompetentny w udzielaniu tego rodzaju odpowiedzi...

– Nie całkiem – zaproponował lekarz. – Wszystko, co mogę powiedzieć, kończy się na stwierdzeniu, że jest tak zbliżona do człowieka, jak nigdy wcześniej nie widziałem. I myślę, że Billie ma rację. Ripley jest dobrym dowódcą.

Przerwał, na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

Reszta przetrawiała usłyszane informacje.

Moto powoli kiwnęła głową.

-Dobra – odezwał się Wilks. – Teraz najważniejszą rzeczą jest bliskość Stacji. Myślę, że jest tam paru ludzi, którzy chcieliby sobie uciąć z nami małą pogawędkę...

W czasie kiedy Wilks rozważał różne możliwości postępowania, Billie uspokoiła się całkowicie. Tully i Falk patrzyli na nią, wyraźnie przeprasząc za swoje zachowanie, ale McQuade ciągle był naburmuszony.

Billie była trochę zaskoczona swoim zachowaniem, ale nie tak bardzo, jak zdarzyłoby się to kilka miesięcy temu. Taki wybuch był konieczny i oczyścił chyba atmosferę. Ripley nie zrobiła przecież nic złego. Niepokojące było, że niektórzy z tych ludzi mogli przeoczyć jej siłę, jej inność.

Billie podziwiała ten rodzaj odwagi, jaki posiadała Ripley. Potrzebowałyby jej, by pomóc Amy... jeżeli dziewczynka jeszcze żyje.

Z bijącym sercem skupiła uwagę na dyskusji.



## ROZDZIAŁ 22

Wilks siedział w kabinie sterowniczej razem z McQuadem i Tully. Teoretycznie statek powinien być jeszcze poza zasięgiem czujników Stacji, ale nigdy nie wiadomo, czy jakiś fanatyk techniki nie wycelował swojego teleskopu prosto na *Kurtza*, chociaż było to mało prawdopodobne.

Wilks kurczowo zacisnął dłonie na oparciu fotela Tully. Miał nadzieję, że ich sygnał dotrze do celu.

– Teraz sobie poczekamy – oznajmiła Tully równocześnie z naciśnięciem ostatniego klawisza. – Jeżeli dopisze nam szczęście, wiadomość szybko do niej dotrze.

– A jeżeli nie? – spytał McQuade.

– Poczekamy dłużej – odpowiedział mu Wilks.

Zakodowany sygnał może być przesłany dokładnie wybranym kanałem częstotliwości, jeżeli wiesz, jak to zrobić. W teorii, nikt nie może przechwycić tego sygnału bez starannego przeszukiwania pasma. Było pewne ryzyko, lecz minimalne i niestety musieli je podjąć.

Czas upływał.

W komunikatorze rozległy się trzaski i szumy. Był już najwyższy czas, ale...

– Prawie w porę. Spodziewałam się was tydzień temu.

– Hej tam, Elliot! – Tully uśmiechnęła się szeroko. – Jak się żyje w skrzynce?

Kolejny raz pobiegły fale radiowe i trzeba było czekać na odpowiedź.

-Maria? Powinnam domyślić się, że będziesz w pobliżu!

Powiedz mi, uważasz, że wystarczająco koduję sygnał? To zabiera do diabła pamięci w moim komputerze. Te dupki tutaj

nie są tak sprytne, przecież wiesz. Jak myślisz, na ile jest to ważne?

Wilks pochylił się do przodu.

– Myślałem, że usłyszemy co ty o tym myślisz?

– Och, och, moje serce! Czy to ten nikczemny sierżant Wilks?

Jak akcja, sierżancie?

– Nieźle, Leslie. Mamy to, czego szukaliśmy.

Tym razem cisza była dłuższa.

– Przykro mi to słyszeć.

– No tak... – powiedział Wilks.

Tully przerwała mu.

– Najpierw chcemy się dowiedzieć, czy ktoś jeszcze nas oczekuje, Les?

– Cóż, parę miesięcy temu narobiliście tutaj niezłego zamieszania. Padały takie wyrażenia jak: „wywrotowcy”, „niezrównoważeni psychicznie”. Aha, jeszcze „złośliwe intencje”. Mówiąc w skrócie, oficjalny komunikat głosił, że grupa szaleńców, powodowana nieczystymi zamiarami, ukradła statek.

– Niezbyt wiele – powiedział McQuade i chrząknął.

– To wszystko? – Wilks zmarszczył brwi.

– Żartujesz, prawda? Nieoficjalnie, generał Peters dostał potężnego kopa w swe grube dupsko za nie rozpoznanie w tobie szaleńca. Wszyscy macie zostać aresztowani. Dobra wiadomość jest taka, że uważają was za czubków, więc może zamkną was w czystych szpitalnych izolatkach, a nie do normalnych cel. Poza tym nie spodziewają się was wcześniej niż za jakieś sześć tygodni.

– Dlaczego akurat wtedy? – zapytał sierżant.

– Ech, nic takiego. Odkryli w twojej kwaterze mapę z zaznaczonym punktem docelowym. Leżał o wiele dalej niż prawdziwy.

Billie podeszła do konsoli. Twarz miała bladą i napiętą. Wilks nawet nie zauważył, kiedy weszła.

– Leslie, tu Billie. Jak się mają sprawy na Ziemi?

– Kontakt urwał się już wiele tygodni temu. Atmosfera statyczna, rośnie liczba plam na słońcu. Coś w tym rodzaju. Cokolwiek jednak robią tam potwory, wydaje się być coraz gorzej.

– Co z łącznością satelitarną?

Wygląda tak, jakby miała za chwilę się rozplakać, ale, jej głos był silny i dźwięczny.

– Ostatni sygnał, jaki odebraliśmy, był starym przekazem i muszę ci powiedzieć, że nie było to nic dobrego. Ktokolwiek został na Ziemi do tej pory, należy do obcych. W taki czy inny sposób. Przykro mi.

Wilks położył dłoń na ramieniu Billie, ale ta strząsnęła rękę.

– Słuchaj, zrób mi przysługę i prześlij komunikaty z ostatnich kilku dni nadawania. Możesz to zrobić?

– Bez problemu.

– Dziękuję – powiedziała Billie i wyszła z kabiny.

– Słuchajcie, cieszę się, że was słyszę, ale na razie skończymy. Dam wam znać, kiedy pojawi się coś ważnego. Uważajcie na siebie, dobra?

– Ty też uważaj – powiedział Wilks.

Komunikator zamilkł. McQuade odwrócił się do sierżanta.

– Nie wygląda na to, żebyśmy zdobyli jakieś nowe poparcie – powiedział.

Wilks wzruszył ramionami.

– Wlepiliby nam chętnie parę ładunków, kiedy tylko pojawimy się w zasięgu ich działek – stwierdził ponuro. – Ale

mamy królową, chociaż wątpię, żeby ktoś nam pomógł z jej powodu. Może jednak uda nam się przetłumaczyć, żeby pozwolili nam wykorzystać szansę. Nawet w najgorszym przypadku nie wysadzą nas w próżnię; chcą mieć z powrotem *Kurtza*.

McQuade skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego. Wilks wyszedł, by porozmawiać z resztą załogi. Stacja nie wykryje ich jeszcze przez najbliższe kilka godzin, więc mają trochę czasu na przygotowanie kilku wersji alternatywnych planów działania. Sierżant wiedział, że jest najlepszy w sytuacjach krytycznych; był szkolony do takich celów. Ale takie gówno, w jakie wpadli...?

Cholera, dlaczego Ripley tego nie zrobi? Pieprzyć jej człowieczeństwo, – lepiej się działo pod jej dowództwem. Znał granice swoich możliwości i teraz znalazł się bardzo blisko nich.

W laboratorium medycznym przy maleńkim komputerze siedziała samotnie Billie. Pokój był zimny i olśniewająco biały. Powodowało to niewytłumaczalną nostalgię za szpitalem, gdzie spędziła większość swojego życia. Teraz miała ważniejsze rzeczy na głowie, a jednak...

Wprowadziła krótki opis postaci Amy i czekała.

Ekran błysnął. Zamazany obraz mignął raz i drugi. W końcu pojawiła się młoda dziewczyna z potarganymi, krzywo obciętymi włosami. Przez kilka sekund patrzyła na Billie oczami zbyt poważnymi na oczy dziecka. Ile lat teraz miała? Trzynaście? Może czternaście?

„Och dziecinko” – pomyślała.

Serce skurczyło jej się w piersi, ale w tym samym momencie odczuła ogromną ulgę.

– Czy to już?– spytała Amy.

Jej głos był jakby głębszy niż ostatnio i wydawało się, że całą siłą woli stara się zachować spokój.

– Zaczynaj, kochanie – powiedział głos niewidzialnej osoby.

– Ja i Wujaszek jesteśmy w fabryce, która produkowała mikrochipy. Znajdujemy się w Północnej Kalifornii. Prawdopodobnie szybko stąd odejdziemy. Wujcio Paul już odszedł. Poszedł szukać pożywienia dwa tygodnie temu i mamy nadzieję, że po prostu gdzieś się ukrył, chociaż to niewielka nadzieja.

Podczas gdy mówiła, jej twarz stawała się coraz bardziej chmurna, lecz oczy ciągle patrzyły wprost w kamerę.

– Jest coraz goręcej. Mamy nowego przyjaciela, nazywa się Mordechaj. Mówi, że obcy w jakiś sposób podgrzewają atmosferę przy pomocy mrowisk.

Uśmiechnęła się niespodziewanie dorosłym uśmiechem.

– Mordechaj mówi też, że religijni fanatycy są teraz tak niebezpieczni, jak potwory.

Odwróciła wzrok od kamery i uniosła pytająco brwi. Oczywiście była to jej odpowiedź na czyjeś niezadowolone spojrzenie.

– Tak, powiedział to!

Westchnienie rozległo się spoza kamery.

– Wiem, kochanie. Mów dalej.

Wszystko jedno. Chcemy wam powiedzieć, że obcy od kilku tygodni zachowują się dziwnie. Grupują się razem i pozostają spokojni przez całe dni. Nikt nie wie, dlaczego.

Dziewczynka zmarszczyła brwi z namysłem.

– To chyba już wszystko – powiedziała.

Głos starego człowieka podał jak zwykle datę i współrzędne.

Ekran zgasł.

Billie patrzyła w pusty monitor, a potem roześmiała się. Amy ciągle żyje! Transmisja była wprawdzie sprzed miesiąca, ale ta rodzina żyła już tak długo, że musi żyć do dzisiaj.

„Wiedziałybym, gdyby umarła – pomyślała. – Wiedziałybym na pewno”.

Połączenie wywołało podane w komunikacie zapadły jej mocno w pamięć.

Bomby Orony były częścią staromodnego arsenału wojskowego znajdującego się w północno-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Billie była tam kiedyś, gdy razem z Wilksem uciekali z Ziemi. Potem wylądowali na planetoidzie Spearsa. Ona, Wilks i Mitch...

Poszukała głębiej w pamięci. Z pewnością taki wojskowy bunkier musi mieć jakąś wewnętrzną komunikację...? Jakiś transport.

To było możliwe. Wszystko było na miejscu, a to oznaczało, że rodzina Amy może przetrwać. Amy może przeżyć!

Po raz pierwszy od opuszczenia planety królowej obcych Billie poczuła się w pełni rozbudzona. Przez długi czas szła za innym, przez większość życia wybierała narzucone jej kierunki. Teraz miała szansę zrobić coś po swojemu. I nie był to ulotny sen. Nie znaczyło to wiele na skali całkowitej eksterminacji obcych, ale to było jej dzieło, jej własne, a to znaczyło wiele.

Siedziała i marzyła o przyszłości. Trzymaj się, Amy. Jeszcze tylko trochę.

– Stacja Wejściowa. Proszę o identyfikację.

Wilks popatrzył na McQuada i skinął głową.

– Tu kapitan McQuade na *Kurtzu* – powiedział. – Chcę rozmawiać z twoim dowódcą.

Milczenie było dłuższe niż przerwa spowodowana odległością. Sierżant wyobraził sobie nerwową bieganinę, którą właśnie wywołali i prawie się roześmiał.

– Założę się, że niektórzy teraz szczają w spodnie.

– Panie kapitanie – odezwał się głos – proszę porozmawiać z majorem Stonem.

– Tu go mamy – rzucił Wilks.

– Kapitanie McQuade, mówi major Stone – głos oficera brzmiał dostojeństwem władzy. – Proszę otworzyć kanały łączności i dostęp do komputera dla przejęcia sterowania.

– Majorze, chcemy tylko porozmawiać przez minutę. Mamy...

– Kapitanie, z przyjemnością porozmawiam z panem, kiedy znajdzie się pan tutaj. Pan zna procedurę. Jeżeli pozwoli pan nam sprowadzić was bezpiecznie, jestem pewien, że możemy o wszystkim podyskutować.

– Major Stone mówił spokojnie i dobitnie, jak do dziecka. Albo do półgłówka.

– Majorze Stone, tu sierżant Wilks. Nie lecimy do Stacji. Mamy na pokładzie królową obcych i zabieramy ją na Ziemię. Nie ma powodu żeby stacja mieszała się do tego. Chcemy po prostu, żeby pan o tym wiedział. – Starął się nadać swojemu głosowi ton powagi i rozsądku.

Major nie przyjął tego do wiadomości.

– Sierżancie, już wysyłamy po was oddziały, które mają was złapać. Albo zachowacie się jak cywilizowani ludzie, albo wyciągniemy was kopniakami, ale zapewniam was, że znajdziecie się w Stacji! Zrozumieliście?

Wilks wyłączył komunikator.

– Tully?

– Stacja wysłała statek. Odbieram przez czujniki dalekiego zasięgu jego sygnał naprowadzający.

– Dobra. Damy im nauczkę. McQuade, zabieraj nas stąd. –  
Włączył ponownie komunikator. – Majorze, miło się gawędziło.

– Wilks, nie możesz...

Wyłączył Stone`a i wyłączył komunikatory statku.

– Pobudka! Wygląda na to, że Stacja jedzie do nas z obiadem i nie mamy czasu. Gównno może nam wpaść w wentylator.

\*\*\*

Komunikat Wilksa odbił się echem w pustym doku lądownika. Ripley zignorowała go. Potrafią przecież coś wymyśleć. Nie ma to zresztą znaczenia tak długo, jak mają królową.

– Nie chciałybyś, bestio, przegapić powrotu do władzy – szepnęła. Nie bój się. Zabiorę cię do domu, żebyś tam zdechła ze swoimi dziećmi. Wszyscy umrzecie.

Nic więcej się nie liczy.



## ROZDZIAŁ 23

– Czy możemy im uciec? – spytał Falk.

– Nie – odparł bez namysłu Brewster. – Ich statek jest bardziej zwrotny i dużo szybszy.

– Nie będą w nas strzelać, prawda? – odezwał się Jones.

– Nie sądzę – powiedział Wilks – Chcą nas mieć w jednym kawałku, przynajmniej statek chcą mieć w jednym kawałku. Nie uważacie, że to mała różnica?

Cała załoga zgromadziła się w jadalni. Wszyscy byli wyraźnie zdenerwowani. Zanim wysłany przez stację statek pojawi się w polu widzenia, upłynie jeszcze około godziny. Billie stwierdziła ze zdumieniem, że tym razem jest jej potwornie gorąco. Ciekawa też była, gdzie teraz jest Ripley.

Tully starała się dokładniej odpowiedzieć na pytanie lekarza.

– Mogą spróbować wystrzelić z działka albo z lasera w nasz napęd, żeby tak go uszkodzić, byśmy nie mogli lecieć prosto. To jednak mało prawdopodobne – mogliby spudłować i zrobić zbyt wielką dziurę w powłoce albo trafić w coś, co nie da się łatwo naprawić. Łatwo albo tanio. Myślę, że Wilks ma rację; nie będę ryzykować.

– Więc co mogą zrobić? – odezwał się ponownie Jones. – Latać w kółko wokół nas i brzęczeć, dopóki się nie poddamy?

Nikt się nie roześmiał.

– Mogą unieruchomić systemy kontrolne Kurtza przy pomocy sygnału elektromagnetycznego i wziąć nas potem na hol – tłumaczyła Tully. – To byłby najłatwiejszy sposób: po prostu zbliżyć się na odpowiednią odległość i nacisnąć guzik. Sama bym tak zrobiła.

– Nasza elektronika nie jest zabezpieczona? – zdziwił się Falk.

– Na tym przerdzewiałym kawałku złomu?

Billie zmarszczyła brwi.

– Nie moglibyśmy zrobić tego samego z nimi? – spytała.

– Możliwości bojowych akcji na frachtowcu? – odezwał się Brewster. – Marzenie. Ten statek nie został zaprojektowany do walki. Żadnych osłon, broni. Jesteśmy na straconej pozycji.

A co z Amy? – chciała wykrzyknąć Billie. Przecież nie mogą tak po prostu się poddać...

Moto westchnęła głośno.

– Nie zabiją nas po powrocie do Stacji. Uważam, że kiedy się tam już znajdziemy, zdołamy wszystko wyjaśnić. Naprawdę mamy królową. Wojsko może ją zabrać i dokończyć za nas całą robotę. Pewnie zrobią to źle, ale w końcu zostanie to zrobione.

Nikt się nie odzywa, a Billie patrzyła po twarzach, jakby szukając w nich akceptacji tego, co usłyszała przed chwilą. Może im się to nie podobać, ale czy mają inne wyjście?

„To nie jest w porządku” – pomyślała i potarła wierzchem dłoni po czole. Przecież, pomijając wszystkie inne, w tej akcji zginęli ludzie. Nie można tego tak po prostu zapomnieć...

Nagle szeroki uśmiech pojawił się na jej twarzy. Coś, co powiedziała Tully, błysnęło jej w głowie.

– Poczekajcie – odezwała się. – Jest sposób; mam pewien pomysł.

Wszyscy zwrócili na nią zaciekawione spojrzenia.

Silniki zmieniły bieg na jałowy, a *Kurtz* zaczął opadać ku Ziemi, spadając spiralą w głąb grawitacyjnej studni, która, gdyby jej nie przerywać, skończyłaby się wielkim pluskiem gdzieś na Oceanie Indyjskim.

– Wszystko wyłączone – powiedziała Tully – z wyjątkiem świateł i łączności.

– Moto? Gotowa? – spytał Wilks.

– Gotowa – padła odpowiedź.

Wilks i McQuade czekali w kabinie sterowniczej na połączenie. Inni siedzieli przypięci pasami do foteli w części przeznaczony dla załogi. Sierżant nie przekazał informacji specjalnie dla Ripley, ale wyjaśnił plan przez kanały łączności ogólnej i miał nadzieję, że i ona wszystko usłyszała.

– Załoga Kurtza, proszę się zgłosić. Tu komendant Hsu na Adamsie.

– Tu McQuade – warknął kapitan. – Czego pan chce, do diabła? Jestem zajęty.

– Panie kapitanie – odezwał się uprzejmie Hsu. – Jesteśmy tu, żeby eskortować was z powrotem do Stacji Wejściowej. Nie ma potrzeby postępować nierozsądnie. Otwórzcie wasz modem i unikniecie nieprzyjemności...

McQuade przerwał mu ostro:

– Nie da rady. Lecimy ku Ziemi i nic z tym nie potraficie zrobić, komendancie Hsu. Wasza broń nie ma dla nas znaczenia; jesteśmy błogosławieni! Nie powstrzymacie nas! Jesteśmy nieśmiertelni!

Z ostatnimi słowami światła zamrugały i zgasły.

Minęło kilka sekund i włączyły się systemy awaryjne. Zostali unieruchomieni. Jeżeli ich systemy ruszyłyby teraz, połowa elektroniki mogłaby zostać zniszczona.

Wilks odwrócił się do McQuada.

– Cóż, sądzę, że jesteś oficjalnie uznany za wariata, kapitanie. Hsu trzyma w gotowości zespół konowałów, którzy mają pełne strzykawki z trinominem. Ty dostaniesz podwójną dawkę.

Wilks postukał w swój mikrofon.

– Moto, Tully. Do dzieła.

Nie zajęło to dużo czasu. Najwyżej około dwudziestu minut. Potem przez statek przeszło drżenie, Kutrz zwolnił i zatrzymał się w końcu. Po chwili zaczął poruszać się po nowej trajektorii, w kierunku Stacji. Nie mogli tego dostrzec, gdyż wszystkie systemy zostały wyłączone.

– Włączyli już magnetyczny hol – stwierdził Wilks szeptem, jakby bał się, że ktoś z drugiego statku może go usłyszeć. McQuade skinął głową.

– Ryba na linie.

„Jeżeli nasz plan się nie powiedzie – pomyślał sierżant – będziemy tkwi w tym gównie po uszy”.

Billie siedział obok Jones, Falka i Brewstera. Falk zaśmiał się cicho, kiedy usłyszał przemówienie McQuade, które słyhać było wyraźnie przez cienkie przepierzenie. Teraz w ciszy czekali na to, co się wydarzy.

Brewster odpiął swój pas i przesiadł się na fotel obok Billie.

– Mogę tu usiąść?

Skinęła głową i przyglądała się, jak zapina pas i odwraca się do niej. Wydawał się zakłopotany.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– W porządku. Miałam złe chwile, ale teraz już dużo lepiej.

Zadowolona była, że udało jej się to powiedzieć.

– Dobrze słyszeć. Ja też skończyłem właśnie zmagać się ze sobą – przerwał, wyraźnie chcąc jeszcze coś powiedzieć.

Billie uśmiechnęła się do niego.

– Dylan. Wiele się wydarzyło między nami w czasie tej podróży i ciągle są jeszcze drogi wyjścia z tego. Uważam, że jesteśmy przyjaciółmi i chcę, żebyś wiedział, że dobrze ci życzę, niezależnie od okoliczności.

– Nie żałuję niczego – powiedział spokojnie.

Nawet w nikłym świetle kabiny zdołała dostrzec, że zaczerwienił się mocno. Dotknął jej dłoni.

– Ani ja – odpowiedziała.

Ich wspólnie spędzone noce były miłe. Potrzymała przez chwilę jego palce, ścisnęła je lekko i cofnęła rękę.

Były ważniejsze sprawy, które ich połączyły, niż krótkie seksualne zmagania. Czują jakby ta chwila była tego potwierdzeniem. Dylan jest w porządku; ona też. Mniej więcej.

– Trzymać się – zawołał nagle Wiks.

Billie odchyliła się na oparcie fotela i zamknęła oczy.

\*\*\*

– Gotowe – zaskrzypiał w uchu Wilksa głos Tully.

Skinął głową na McQuada i podniósł rękę. Kapitan pochylił się nad konsolą i czekał na sygnał.

Plan Billie był śmiesznie prosty. Mieli udawać całkowitą bezradność do chwili, kiedy zostaną wzięci na hol, potem skoczyć do przodu i spróbować uszkodzić napęd napastnika. Zanim Stacja wyśle następny, będą daleko, lecąc w kierunku Ziemi. Było to wystarczająco błazeńskie, żeby mieć szanse powodzenia.

– Przygotować się – krzyknął Wilks przez ramię.

Machnął ręką i ryknął:

– Teraz!

Kurtz z hukiem zbudził się do życia. McQuade wcisnął kilka przycisków i statek wystrzelił do przodu, skręcając przy tym w bok.

Cielsko pojazdu trzeszczało z wysiłku. Nagle dało się wyczuć uderzenie i natychmiast Kurtz zaczął poruszać się w przeciwną stronę, ukośnie do statku, w który właśnie uderzył. Magnetyczna linia naprężyła się i pękła, a mniejszy pojazd został odrzucony w wyniku zderzenia.

„Przydałoby nam się ubezpieczenie” – pomyślał Wilks. Pamiętał stary dowcip na ten temat.

„Nie czas teraz na głupoty, Wilks” – odezwał się jego wewnętrzny głos.

– Wyłączyć wszystko – rozkazał.

Adams mógł przecież ponownie wysłać impuls...

Wszystkie systemy zamarły; Tully i Moto wyłączyły je skrupulatnie. Miał przynajmniej taką nadzieję. Policzył w myślach do dziesięciu i powiedział do mikrofonu komunikatora:

– Mają nas?

– Nie – odezwała się Tully. Jej głos zabrzmiał tak, jakby straciła oddech.

– Włączyć czujniki obwodów – powiedział sierżant.

Kilka światełek zabłyśło na konsoli. Wilks przełączył się na ogólny kanał.

– Gratulacje, Billie. Wygląda na to, że lecimy na Ziemię.

Ripley siedziała samotnie w swym pokoju. Zdziwiona była, że ciągle są w drodze na Ziemię. Ci ludzie na pokładzie nie są głupcami. Wilks okazuje się być całkiem niezłym dowódcą...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Ripley? Jesteś w domu? To ja, Billie.

Nie otrzymała odpowiedzi i słychać było, jak westchnęła. *Kurtz* nie był dużym statkiem i gdzieś indziej mogłaby być?

– Przyjdź później – powiedziała.

– Nie. Muszę z tobą teraz porozmawiać.

Tym razem Ripley westchnęła. Wszystko jedno kiedy sobie z tym poradzi.

– Wejdz.

Billie weszła i przysiadła na brzegu łóżka.

– Jak leci?

Dla Ripley wyglądała jakoś inaczej. Nie było to onieśmienie, raczej rezerwa. Zawsze uważała, że Billie staje się nerwowa w sytuacjach krytycznych, ale młoda kobieta, która siedziała przed nią, była jakaś inna.

– Jak leci? Cóż, wszystko wspaniale. Cudownie. Nie może być lepiej.

– Naprawdę? Miałam wrażenie, że już nas przestałaś lubić.

Ripley uniosła brwi.

– Nie żartuj sobie, Billie.

– Dlaczego nie? Przecież ty to robisz.

Ripley zezłościła się.

– O tym chciałaś ze mną pogadać? To moja sprawa i...

– ...i nie musisz się przed nikim tłumaczyć. Nie musisz mi wkładać niczego do głowy, ale ta wyprawa to był twój pomysł. Teraz ci to nagle wisi?

Ripley nie odpowiedziała.

„No i co? – pomyślała Billie. – Miałam swoje powody, żeby się przyłączyć”.

Ripley miała rację – nie musi niczego wyjaśniać.

– Potrzebujemy cię. Ja cię potrzebuję. Jesteś kimś bardzo dla mnie ważnym:

„Zaraz to się stanie” – pomyślała Ripley.

– Podziwiam cię – mówiła Billie. – Myślę, że to powinnam powiedzieć. Chciałabym mieć twoją siłę.

– Nie powinnaś użyć czasu przeszłego? – spytała Ripley. Spostrzegła, że jej głos brzmi gorzkim sarkazmem, ale kimże, do cholery, była Billie, żeby przychodzić do niej i wygadywać takie rzeczy?

– Nie mnie podziwiasz, Billie. Podoba ci się program, maszyna.

Billie patrzyła na nią nieporuszona.

– Kochałam kiedyś maszynę – powiedziała cichym głosem.

– Miała na imię Mitch. Czy powiesz mi, że moja miłość była z tego powodu nic nie warta? Że ta miłość była czymś w rodzaju triku albo... albo usterką?

Ripley odwróciła wzrok. To nie była litość. Nie tego oczekiwała.

– Nie jestem Mitchem – powiedziała.

– Nie – usłyszała w odpowiedzi. – Jesteś Ripley. Widziałam przekazy o tobie na długo przedtem, zanim się spotkałyśmy po raz pierwszy. Słyszałam opowieści o tobie. Działasz tak, jak ona to robiła. I co z tego, że jesteś sztuczną osobą? Moje zdanie jest takie: ktokolwiek cię zrobił użył wiedzy o tym kim byłaś. Jesteś swoją własną kopią. Dlatego może nie jesteś doskonała, ale kto, do diabła, jest? Jeżeli chcesz tu siedzieć i przeżywać swój żal, bo nie czujesz się kobietą, jaką czułaś się dotychczas, to siedź sobie. To niczego nie zmieni. I jeżeli się spieszymy wszystko, bo nie chcesz nam pomóc, to oskarżaj potem tylko siebie.

Billie wstała, popatrzyła na nią przeciągle i wyszła bez słowa. Ripley patrzyła za nią.

Jezu! O, Jezu!



## ROZDZIAŁ 24

Zmierzali w kierunku Ziemi już bez dalszych przeszkód ze strony Stacji.

„To już przynajmniej coś” – pomyślał Wilks.

Weszli w atmosferę bez kłopotów i lecieli teraz nad oceanem w stronę Ameryki Północnej. Przy konsoli sterowniczej siedział Brewster; w atmosferze był on lepszym pilotem niż McQuade.

– Przyziemienie za około dziewięćdziesiąt minut – powiedział właśnie.

– W porządku – rzucił Wilks.

Odpiął pasy i wstał z fotela drugiego pilota. Poszedł w kierunku jadalni. Inni znajdują się tam za kilka minut. Zatopiony w myślach, wolno kroczył do masy.

Co teraz? Dolecieli do Ziemi razem z królową obcych, żeby – mieli przynajmniej taką nadzieję – zmieść z powierzchni planety wszystkie potwory. Stracili trójkę ludzi, a ich przywódczyni straciła ochotę na dowodzenie. Każde monstrum będzie polowało na ich dupy, gdy tylko wylądują. Pomijając to wszystko i zakładając, że im się powiedzie, pozostaje jeszcze Stacja. Przeprowadzą im pewnie gruntowne czyszczenie mózgow i zamkną na czas nieograniczony.

Uśmiechnął się nagle szeroko, wchodząc do jadalni.

„Wszystko to jest cudowne, łącznie z żarciem tutaj” – pomyślał.

– Co cię tak śmieszy, Wilks?

Ripley stała przy automacie z filiżanką kawy w dłoni. Poza nimi nie było tu jeszcze nikogo.

– Pomyślałem sobie właśnie, iż w gruncie rzeczy, zabawne jest to, że dotarliśmy tak daleko – odpowiedział. – Cześć, Ripley. Starał się zachowywać niedbale, jak zwykle, ale ucieszył się, że ją zobaczył. Podszedł do maszyny wydającej jedzenie i zażyczył sobie stek. Cholera, przecież to tylko przetworzona soja, a nie prawdziwe mięso.

Danie, które otrzymał, wyglądało jak parujące gówno. Wilks pokręcił głową i podniósł tacę. Ripley poszła za nim i usiadła naprzeciw niego.

– Wilks – zaczęła – chcę ci podziękować za przystąpienie do tej operacji, Teraz jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. W tym momencie chciałabym zaproponować swoją pomoc. Chyba, że wszystko jest pod kontrolą... – Ostatnie zdanie zabrzmiało jak pytanie.

Sierżant dziobał widelcem w talerzu.

– Tak naprawdę, to spodziewałem się, że powiesz coś takiego – odezwał się po chwili. – Witaj w domu. Jestem fatalnym dowódcą.

– Wyglądało na to, że dobrze sobie radzisz – powiedziała Ripley.

Wzruszył ramionami i zapytał: – Dlaczego zmieniłaś zdanie?

– Rozmawiałam z Billie. Olała mnie równo i zaczęłam myśleć o tym, jak sobie poradzić ze sobą.

Patrzyła na swe ręce przez dłuższą chwilę, a potem podniosła wzrok.

– Kimkolwiek bym nie była, jest jeszcze dużo do zrobienia, co? – Uśmiechnęła się, ale nie było w jej uśmiechu radości. Falk i Moto weszli razem do mesy. Zatrzymali się raptownie, kiedy spostrzegli rozmawiającą parę.

– Hej, fajnie, że jesteś, Ripley – odezwała się Moto. Falk uśmiechnął się do niej.

– Tak, powinnaś zrobić coś, żeby Wilks nie wyglądał jak ostatni dupek.

– Zrobię co w mojej mocy – powiedziała. – Ale robienie cudów jest naprawdę trudne. Wiecie o tym, nie?

Wilks się roześmiał. Był w lepszej formie niż po przebudzeniu z hipersnu.

Przyszła Billie. Zamachała ręką do nich i poszła po kawę. Sierżant dostrzegł jej jasny uśmiech na widok Ripley i poczuł ciepło wdzięczności do niej za to, co zrobiła. Jak bardzo się zmieniła, odkąd porwał ją ze szpitala, Była silniejsza, bardziej odważna i piękniejsza...

Zamiast od razu stłumić te myśli, zagłębił się w przeszłości i pozwolił sobie na wspomnienia. Billie już nie potrzebowała jego opieki. Wiele razy zademonstrowała, że zdolna jest do decydowania o swoim losie. On sam lubił z nią pracować, ufał jej. Była kimś, kogo musiał uważać za przyjaciela. A miłość?

Dlaczego by nie? Jesteś tylko tak stary, by być jej ojcem i masz wystarczająco dużo emocjonalnych kłopotów, żeby obdzielić nimi dwójkę ludzi. Tylko tyle. I załóż się, że ona skorzysta z okazji!

– Śpisz, Wilks?

Billie stała przed nim i machała mu ręką przed oczami. Zamrugał. W jadalni byli już wszyscy z wyjątkiem pilota. ...dobra pora na sny na jawie, sierżancie. Może zaczniesz recytować jakieś pieprzone wiersze, a załoga zajmie się zrobieniem reszty...

– Przepraszam – powiedział i uśmiechnął się do niej. – Po prostu zamyśliłem się.

Przypomniał sobie nagle powiedzenie z jednego z obozów szkoleniowych sprzed wielu lat: „Nawet z młotkiem nie bądź dupkiem”.

Potrząsnął głową i wyrzucił z głowy wszystkie myśli. Później będzie na to czas.

– Jak mamy wylądować nasz ładunek i nie być przy tym zjedzonym? – spytała Moto.

– Albo jak nie dostać kopniaka od nieszczęśliwych dzieciaków mamusi? – dodał McQuade.

Chociaż pytania nie były skierowane bezpośrednio do niej, Ripley czuła, że wszyscy czekają na jej odpowiedź.

Mam chyba dobry pomysł co do miejsca lądowania – odezwała się w końcu. – Musimy zrobić to bardzo szybko. Ona będzie wołać potwory, zanim dotrzemy na Ziemię.

Billie przerwała jej.

– Już je woła, jak sędzę. Oglądałam jeden z ostatnich przekazów, które przesłała nam Leslie. Pochodzą sprzed około sześciu tygodni. Ludzie z Ziemi mówili, że obcy zbierają się razem i nie atakują już tak często.

– Może dowiedziały się, że porwaliśmy ich matkę – stwierdziła Moto. – Wygląda na to, że są przygotowane.

Cała załoga patrzyła teraz na Ripley i czekała aż się odezwie. Ona sama była niezmiernie zdumiona, że została zaakceptowana bez żadnych obiekcji. Nie miała jednak zamiaru zastanawiać się nad przyczynami. Jej własne problemy nie były w tym momencie najważniejszą sprawą.

– Zaczynają się trudności – odezwała się w końcu. – Arsenal znajduje się w górach. Zostawimy królową po drugiej stronie pasma i szybko zrobimy, co mamy zrobić, zanim większość jej dzieci pojawi się w miejscu lądowania. Mogą wiedzieć, gdzie to się stanie, ale niezbyt dokładnie.

– Nie to jest chyba teraz najważniejsze, lecz to, czy ktoś wie, jak odpalić bomby? – zauważył Falk.

Ripley westchnęła. Wcześniej czy później musiało do tego dojść.

– Zostało to zakodowane w moim programie – powiedziała. Poczula się zrezygnowana, gdy popatrzyła na skierowane w jej stronę twarze. Nikt nie odezwał się przez dłuższą chwilę.

– No i dobrze, na jakiegoś pieprzonego Buddę – odezwała się Tully. – To już coś.

– Czy myślisz, że bunkier nie został zniszczony? – spytał Jones.

– Może – wtrącił się Wilks – ale niekoniecznie. To niedostępny teren.

Wszystkie tematy omówili bardzo szybko w kolejności ich pojawiania się. Ripley nagle zrozumiała, że nie odpowiadała tak, jak się tego spodziewała. Chociaż cała załoga wyczuła to, wydawało się, że nie traktują jej jak sztuczniaka, przynajmniej podczas wspólnej pracy.

„Wspaniale – pomyślała – jeżeli tylko nie oszukam ich i nie zabiję wszystkich”.

W komunikatorze zatrzeszczał głos Brewstera:

– Hej, może zechcielibyście tu przyjść i sprawdzić wszystko, niebawem lądujemy. Wygląda to, jakby ostatniej nocy ktoś urządził sobie dziką orgię i zniszczył to miejsce.

Kilkoro z nich popatrzyło na Ripley. Skinęła głową.

– Mamy omówione wystarczająco dużo szczegółów - powiedziała. – Chodźmy zobaczyć, co to jest.

Kiedy wychodziła za innymi na korytarz, Billie powstrzymała ją na moment, kładąc rękę na jej ramieniu. Potem razem poszły za resztą.

– Posłuchaj, co z Amy? – spytała Billie.

– Z dziewczynką z przekazów? – Ripley zmarszczyła brwi. Billie skinęła głową.

– Musimy jej pomóc. Znajduje się niedaleko miejsca lądowania, może godzinę lub dwie. Mogłabym wziąć latacza i dotrzeć do niej.

– Skąd wiesz, że jeszcze żyje?

– Żyje! Wiem o tym. – Billie wyglądała na zaniepokojoną i napiętą.

Ripley pamiętała, jak ważna była dla Billie ta dziewczynka, kiedy jeszcze znajdowali się w Stacji. Zatrzymała się i odwróciła do młodej kobiety. Z jednej strony doskonale rozumiała, co ona czuje, z drugiej, przed nimi było znacznie poważniejsze zadanie do wykonania.

– Billie – powiedziała delikatnie – możemy przyjrzeć się wszystkiemu, gdy już tam będziemy, ale nie będzie zbyt wiele czasu. Czy żyje czy nie, nie wiem jak zdołamy jej pomóc. Czy uda nam się to zrobić? Przykro mi.

Przez sekundę na twarzy Billie widać było panikę i niedowierzanie jednocześnie. Te uczucia były tak intensywne, Ripley pomyślała, że dziewczyna za chwilę zacznie płakać. Nagle Billie odprężyła się i spuściła wzrok.

– Rozumiem cię – powiedziała i przeciągnęła palcami przez swe długie włosy – ale nie ma zamiaru zrezygnować bez spróbowania.

Popatrzyła na Ripley z determinacją w oczach. – Cóż, zobaczymy, co da się zrobić.

Billie ruszyła do przodu z opuszczoną głową. Ripley poczuła żal, ale przecież wszyscy mieli własne sprawy do wykonania. Ważną sprawą, jedyną ważną była ich misja.

Billie stała ze skrzyżowanymi ramionami i przyglądała się, jak Ziemia opowiada swoją historię. Kurtz leciał wysoko nad wschodnimi stanami, zbyt wysoko, by gołym okiem zobaczyć zniszczenia, których powiększony obraz kamera przekazywała

na ekran monitora. Mężczyźni i kobiety stali wokół niego w całkowitym milczeniu. Ich twarze były nieruchome, jakby skamieniały na widok ruin macierzystej planety.

Silne słońce nie ukrywało niczego. Ekran pokazywał wymarłe miasto. Tu stało kilka wypalonych i zburzonych budynków, które kiedyś były drapaczami chmur, tam ciągnęły się zaśmiecone ulice, wałały się części samochodów, a wszystko kryły zmieniające się cienie. Wszędzie można było spostrzec rozerwane wybuchami odłamki plastonu, drewna, śmieszne kawałki stopionego metalu, cegły i kości.

Ekran zamrugał i pojawił się nowy obraz. Wyglądał podobnie jak ten sprzed kilku sekund – obraz zniszczenia i opuszczenia. Był to jakiś obszar nasycony kiedyś przemysłem. Widać było szeregi długich, niskich budynków rozdartych na strzępy. Billie dostrzegła, że ktoś usiłował zabarykadować się w jednym z nich. Wielkie kawały różnych materiałów pokrywały jedną ze ścian, a tuż obok ziała ogromna dziura na wskroś budynku. Może jakaś eksplozja...

Następny widok przedstawiał rzędy identycznych budowli z powybijanymi oknami i wyrwanymi drzwiami. Tutaj istniał ślad życia. Billie spostrzegła z niesmakiem ruch niewidocznych dla kamery stworzeń. Z pewnością jakieś drobne grzyzonie.

*Kurtz* przechwycił podczas lotu przypadkowe obrazy miast, miasteczek i wsi, które były całkowicie wyludnione. Załoga wydawała się być wstrząśnięta. Nie było słyhać przemądrzałych uwag i tego normalnego dla żołnierzy, nonszalanckiego gwaru docinków. Billie wychowała się właściwie w szpitalach i nie była częścią tego świata, ale pomyślała, że tam po prostu skończyło się życie...

Przy następnym ujęciu jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej .

– Ejże – odezwał się Brewster. – Czy to...

Przerwał gwałtownie. Widać było małą grupkę ludzi idącą drogą. W pierwszej chwili Billie odczuła budzącą się w niej wielką nadzieję. Potem dostrzegła, że cztery lub pięć osób prowadzi jedną, zakutą w łańcuchy. Grupka ludzi potykała się co krok, jakby ciągle obserwowała lecący statek. Billie pamiętała stary przekaz, który widziała kiedyś w Stacji – fanatycy, polujący na ludzi i dostarczający ich obcym w charakterze żywych inkubatorów. Ostatnie szaleństwo ludzkości.

Pomyślała o słowach Ripley – nie wystarczy czasu, by poszukać Amy; poczuła, że jej postanowienie umocniło się. Będzie na to czas czy nie, pomoże dziewczynce i jej rodzinie, albo umrze. Pieprzyć wszystko inne.

Odeszła od ekranu i rozejrzała się wokoło. Wszyscy wydawali się być nieobecni, zagłębieni w swych własnych światach. Zobaczyła, że Moto i Falk wzięli się za ręce i prawie się uśmiechnęła. Pomyślała, że istnieją jeszcze dobre rzeczy na świecie. Niewiele ich, ale zawsze.

Zobaczyła też, że spojrzenie Wilksa zatrzymało się na splecionych dłoniach Falka i Moto. Sierżant spojrzał w górę, napotkał jej wzrok i lekko uśmiechnął się smutnym uśmiechem. Zaskoczył ją wyraz jego normalnie niewzruszonej twarzy. Kiedy odwrócił wzrok, poczuła silną potrzebę pocieszenia go. Nigdy nie myślała o tym wcześniej, ale teraz stało się dla niej oczywiste, że Wilks jest dla niej kimś niezwykle ważnym.

„Dawid” – pomyślała.

Imię dziwnie zabrzmiało w jej myśli, ale to był w ogóle dziwny człowiek – tak silny, a zarazem tak niepewny uczuciowo...



Wróciła do monitora. Ważne było to, że w końcu znaleźli się tutaj. W ten czy inny sposób wszystko zdawało się układać, zmierzać do rozwiązania...

Od strony ładowni dobiegł ich krzyk schwytanej królowej. Ryczała i waliła w ściany swego więzienia, lecąc wysoko nad Ziemią i zbliżając się do swego przeznaczenia. Wydawało się, że przeczuwa, co ją czeka.

Jeżeli tak było w istocie, wyprzedzała ich o krok.

## ROZDZIAŁ 25

Jakby na zawołanie pojawił się nowy obraz. Królowa była bezustannie, a na Ziemi zaczęły pojawiać się ciemne, biegnące ogromnymi susami sylwetki. Najpierw tylko kilka, lecz ich liczba szybko wzrastała. Każde ujęcie ukazywało dziesiątki potworów biegnących w jednym kierunku – wzdłuż drogi, jaką poruszał się *Kurtz*.

Ripley poczuła coś w rodzaju zimnego triumfu podszytego pewną obawą. Było tak, jak się spodziewała. To był początek końca, ale gdyby teraz coś spieprzyli...

– Na święte gówno – odezwał się McQuade. – Wygląda, jakby wybuchło powstanie.

Monitor pokazywał setki obcych biegnących przez mroczną pustkę jakiegoś wymarłego dużego miasta. Nawet w tej krótkiej chwili przelotu nad ruinami garść potworów wynurzyła się z gruzowisk i dołączyła do innych.

– Nigdy nam się nie uda – odezwała się Tully. – Jest ich zbyt dużo.

Ripley ostro spojrzała na nią. Tully nie wyglądała zbyt dobrze – oczy rozszerzone, krótki, urywany oddech.

– Tully. Zmierzamy w stronę bardzo niedostępnego terenu, otoczonego przez góry i wodę. Zajmie im dużo czasu pokonanie tych przeszkód. Więcej niż potrzeba nam na wylądowanie.

Maria wciągnęła głęboko powietrze i kiwnęła głową. – Tak, rozumiem.

– Wspaniale. Odszukaj mapy topograficzne Północnej Kalifornii i Oregonu. Popatrz też na przyległe ziemie. Możesz to zrobić w laboratorium medycznym, nie?

Tully ponownie kiwnęła głową i wstała. Ripley wiedziała, że praca jest dobrym lekarstwem na depresję. Już wychodząc z kabiny, ta kobieta wyglądała lepiej.

Doktor Jones uśmiechnął się do niej i poszedł za Tully. – Brewster, ile nam zostało czasu?

– Trzydzieści minut, mniej więcej.

– Dobra. Moto, dlaczego nie miałybyśmy zerknąć na narzędzia.

Moto puściła dłoń Falka i ruszyła w stronę schodów. Kapitan McQuade usiadł w fotelu drugiego pilota.

– Sądzę, że powinienem dopilnować, żeby Brewster nas nie rozbił – powiedział.

– Czyli nam zostało sprawdzenie broni – stwierdził Wilks. – Billie? Falk?

Ripley kiwnęła głową. Dobrze. Wygląda na to, że planeta jest w fatalnym stanie, ale oni wszyscy mogą coś jeszcze zrobić, by zmienić ten obraz śmierci i zniszczenia. Mogłoby to się zmienić już dawno temu.

– Powiedz Tully, żeby zawiadomiła mnie, gdy tylko znajdzie właściwe miejsce. – Ostatnie zdanie skierowała do Brewstera i poszła za Moto.

Królowa ryknęła w komorze poniżej. Wysyłała ciągle sygnały do swego ziemskiego potomstwa.

Ripley uśmiechnęła się szeroko, gdy weszła na schody. Ta suka będzie miała niedługo lepszy powód do wrzasku. Wilks patrzył, jak góry wyrastają przed Kurtzem, gdy ten zbliżał się do punktu przeznaczenia. Wszyscy zgromadzili się w kabinie sterowniczej i czekali. Brewster umiejętnie manewrował statkiem pośród pokrytych lasem wzgórz. Monitor ukazywał na szczęście znacznie mniejsze zniszczenia na obszarze, nad którym przelatywali.

Królowa-matka ciągle waliła w ściany ładowni, ale w dole nie było widać żadnych śladów jej dzieci. Jeszcze ich tu nie było.

Zobaczyli kilka mniejszych szczytów – część pasma, które przebiegało w kierunku północnego zachodu. Zgodnie z tym, co znalazła Tully, kilka z nich było stożkami wulkanów, chociaż żaden z nich nie był aktywny.

„To byłby dopiero numer – pomyślał sierżant – lądujemy, a tu lawa.”

Mogliby wypuścić królową do jednej z tych wąskich, zamkniętych dolinek u podnóża gór Orony, a potem polecieć do arsenału, który znajdował się o kilka minut lotu na zachód. Zanim większość potworów dostałaby się tam z zewnętrznych terytoriów, Kurtz byłby bezpieczny. Wilks miał przynajmniej taką nadzieję.

Statek leciał powoli tuż nad szczytami drzew w kierunku majestatycznych szczytów.

– Jest dziura – powiedziała nagle Tully. – Duża dziura. Szybko podyktowała współrzędne Brewsterowi.

Wilks wyszczerzył zęby i popatrzył na Ripley. Królowa może nie będzie mogła uciec, jeżeli wrzucą ją do jaskini. Nie było sposobu, żeby się o tym upewnić, ale Wilks nigdy nie widział żadnego monstrum biegającego po otwartej przestrzeni, jeżeli była jakaś ciemna szczelina, w której mogło się schować. Mogli mieć jedynie nadzieję, że ich królowa jest pod tym względem podobna do innych. Kiedy Ripley rzuciła ten pomysł, po raz kolejny poczuł zadowolenie, że to ona znów dowodzi.

– Wspaniale – powiedział McQuade. – Ta bestia zaczyna grać mi na nerwach.

– Amen – powiedział Falk.

Statek poruszał się teraz bardzo wolno. Wilks spostrzegł grootę – ciemną szczelinę w skałach na poziomie gruntu.

Doskonale. Był gotowy. Gdy tylko wyrzucą królową, pośpieszą do bunkra i zaczną swoją robotę. Jeżeli tylko wszystko nie zostało zniszczone, potrafią chyba szybko wykonać zadanie i wysadzić planetę. To będzie pewnie prosta praca... – Gotowi? – spytał Brewster.

Kurtz dotarł na miejsce.

– Teraz! – krzyknęła Ripley.

Wszyscy skupili swą uwagę na Brewsterze, który przycisnął guzik otwierający zewnętrzny właz ładowni. Od strony konsoli dało się słyszeć lekkie brzęczenie i nagle zabłysło czerwone światelko.

– Cholera! – zaklęła Ripley.

Właz się nie otworzył. Królowa w dalszym ciągu krzyczała. – Co się, do diabła, spieprzyło? – spytał Wilks.

– Nie widzę żadnych uszkodzeń mechanicznych – powiedział Brewster. Ponownie nacisnął guzik. Światelko zamrugało.

– Hydraulika? – spytała Billie.

– Nie, jestem pewna – stwierdziła Moto.

Wilks popatrzył na Ripley. Przygryzła na sekundę wargę, a potem uderzyła dłonią w konsolę.

– Ona blokuje te cholerne drzwi! – wykrzyknęła. -Ta głupia krowa naciska na przycisk wewnątrz ładowni i blokuje wyjście. Odwróciła się do schodów.

– Przełącz komunikatory na ogólny kanał i spróbuj, kiedy powiem, Brewster. Wilks; chodź ze mną.

Sierżant ruszył za nią w kierunku schodów. Kiedy przechodzili przez dok ładownika, huk silników statku prawie ich ogłuszył.

– Ten właz jest zespawany! – krzyknął Wilks. Ripley zignorowała jego uwagę i podeszła do zawieszonoego na ścianie

pojemnika z narzędziami. Rzuciła Wilksowi duży klucz, a drugim uderzyła w ścianę komory. Wilks dołączył do niej. Zaczęli wspólnie walić w metalową gródź.

– Hej, ty suko! Podejdź tutaj! – krzyczała Ripley. – No, chodź tu !

Wilks bezustannie uderzał wielkim kawałem metalu w ścianę. Zdziwiony był, że potrafi usłyszeć ten nowy dźwięk poprzez ryk silników i krzyki królowej. Przez ścianę dał się nagle słyszeć dźwięk skrobania. Pazury skrobały po przezroczystej stali, albo raczej po twardym stopie, z którego wykonano ściany.

Ripley jeszcze raz uderzyła we właz i krzyknęła w komunikator:

– Teraz, szybko!

Minęło kilka sekund i statek nagle uniósł się, gdy tylko królowa poleciała z krzykiem w pustkę. Wilks odwrócił się do Ripley. Ciągle patrzyła na ścianę ładowni.

– Nie jest taka sprytna, co? – powiedziała bardzo głośno, żeby przekrzyczeć odgłos pracującego napędu.

Wrócili do schodów. Wilks znowu przypomniał sobie swą niedawną myśl: niesamowicie dobrze, że Ripley znowu jest z nimi.

Statek dotarł na drugą stronę gór wczesnym popołudniem. Nawet pomimo napięcia, które ciągle nie chciało ustąpić, Billie poczuła zadowolenie na widok krajobrazu, jaki tu zobaczyła. Dotarło nagle do niej, że tak naprawdę, to nie widziała w swym życiu zbyt wielu przykładów piękna natury. Wychowywała się w zimnych, odosobnionych miejscach, a zielone drzewa widywała jedynie podczas holoprojektacji. Tutaj były ich tysiące, pokrywały cały górzysty obszar szmaragdową powłoką. I było tu tak bezludnie...

Przelecieli nad kolejnym niskim wzgórzem i zobaczyli bункier. Teren był tu płaski i było wystarczająco dużo miejsca do lądowania nawet dla dwóch takich statków jak Kurtz. Wprost przed nimi wyrastał niewielki pagórek, na wysokość może jednej dziesiątej wysokości pokrytych lodem szczytów, wśród których wyrzucili królową. Wokół niego rozsiadło się kilka budynków – niskich i brzydkich budowli ustawionych w półkole. Ogromne metalowe wrota zostały wbudowane w pagórek, a na ich powierzchni widniały żółte, krzyżujące się linie. Ich środek został wysadzony.

Billie poczuła, że oddech utkwiał jej głęboko w gardle, kiedy zobaczyła dwa małe latacze i lądownik stojące pomiędzy budynkami.

– Wszystko jest tu wymarłe – odezwała się Tully. – Czujniki nie wykazują żadnej aktywności.

– Poczekajmy – powiedziała Ripley. – Obserwuj odczyty. Może nie jest to takie proste, jak wygląda.

Pył wirował wokół statku, kiedy ten opuszczał się na ziemię. Billie tak się już przyzwyczaiła do ryku silników, że kiedy przestały pracować, zrobiło się jakoś pusto.

– Tully? – spytała Ripley.

– Nic. Jeżeli jest tutaj ktokolwiek, to nie porusza się.

– Te drzwi same się nie wysadziły – odezwał się Brewster. – Powinniśmy zabezpieczyć teren...

– Dobra, idziemy się uzbroić – powiedziała Ripley.

Billie poszła za innymi do magazynu na końcu korytarza. Serce waliło jej jak młot. Jeden z tych lataczy może być sprawny. Nie była pilotem, ale wiele się nauczyła obserwując Wilksa. Standardowy wojskowy latacz był zaprojektowany do

kierowania przez zwykłych żołnierzy, a ci nie byli zbyt bystrymi osobnikami. Mogły też latać całkowicie automatycznie. Podajesz współrzędne i lecisz. Billie już pożyczyła sobie kody dostępu z komputera *Kurtza* i miała nadzieję, że podziałają. Musi poczekać na odpowiedni moment i wykorzystać swoją szansę.

Wilks podawał załodze broń, a Ripley dodatkowe magazynki i komunikatory polowe.

– Zaczynamy od pierwszego budynku i posuwamy się dookoła – powiedział Wilks. – Komandosi na przedzie. Moto, jesteś na szpicie.

– Tully, chcę, żebyś została na pokładzie i obserwowała wszystko – powiedziała Ripley. – Jones, pilnujesz wjazdu. Nie zamierzamy zniknąć całkowicie z pola widzenia, więc po prostu krzycz, gdybyś zauważył coś, co przegapi Tully.

Lekarz z wahaniem wziął swój karabin i sprawdził go. – Wiesz jak się nim posługiwać? – spytał Wilks.

– Tak. Całkiem nieźle. Nigdy wprawdzie nie strzelałem, ale szkolili nas na kursie w szkole medycznej.

– Wystarczy – zgodził się sierżant.

– McQuade, Billie, osłaniacie nasze dupy – znowu odezwała się Ripley.

Billie i kapitan kiwnęli głowami i wzięli karabiny.

– Natychmiast, gdy teren zostanie rozpoznany, wracamy po narzędzia i zaczynamy męczyć się z detonatorami.

Tully wróciła do kabiny sterowniczej, a reszta załogi zgromadziła się w doku lądownika. Stali wszyscy przy wjeździe; Moto, Wilks i Brewster na przedzie, z bronią gotową do strzału.

Ripley położyła dłoń na przyciskach i popatrzyła na nich. – Jakieś pytania?



Nikt się nie odezwał. Billie wzięła głęboki oddech. Właz się otworzył.

## ROZDZIAŁ 26

Wilks wyszedł na jasne słońce, przykucnął i skierował broń w bok od statku.

Nic. Moto skupiła uwagę na budowli naprzeciw nich, Brewster osłaniał drugą flankę.

– Jak to wygląda? – spytał przez komunikator i jednocześnie szukał wzrokiem choćby najmniejszych oznak ruchu.

– Czysto – powiedziała Tully.

– Naprzód. – To znowu był Wilks.

Moto skoczyła do przodu z uniesioną bronią, a sierżant i Brewster osłaniaли ją. Byli bardzo blisko szarawego budynku i dotarcie do niego zajęło jej tylko pół minuty. Przywarła plecami do ściany na rogu.

– Naprzód. – Po raz drugi rzucił Wilks.

Razem z Brewsterem pobiegli przez pylisty, płaski plac. Adrenalina wyostrzała ich zmysły i przyspieszała rytm serc. Sierżant wiedział, że Ripley i Falk osłaniają ich, ale nie zmieniało to faktu, że bieg po otwartej przestrzeni w nieznanym otoczeniu nie należał do przyjemności. Chociaż z drugiej strony wiedział, jak to zrobić najlepiej. W tym momencie poczuł się prawie dobrze.

Dobiegli do Moto i przesunęli się do drzwi budynku. Wilks podniósł rękę, nakazując tym ruchem, żeby tamci trzymali się za jego plecami.

– Kopnę w drzwi – powiedział. – Moto, ty z góry, Brewster z dołu. Na mój sygnał.

Cała trójka stanęła przy wejściu. – Teraz!

Sierżant wymierzył kopniaka w drzwi. Otworzyły się z trzaskiem. Brewster wpadł do wnętrza przygięty prawie do ziemi, Moto wyprostowana. Przesunęli wzrokiem z lewa na prawo i Wilks odetchnął. Stali we wnętrzu baraku, który wyglądał na zupełnie opustoszały. Przy przeciwległej ścianie widać było rząd koi poprzedzielanych szeregami wysokich szafek, które wszystkie stały otwarte i puste.

W pomieszczeniu panował bałagan; wszędzie wałały się prześcieradła i części ubrań, a powietrze było ciężkie i czuć było stęchliznę. Klęby kurzu unosiły się w powietrzu i migotały w promieniach słońca. Cokolwiek tu się wydarzyło, minęły od tego czasu tygodnie, może miesiące.

– Wygląda czysto – powiedział Wilks.

Co więcej, czuć było, że nie ma tu nikogo.

Brewster wyprostował się i przeszedł kilka kroków. Podniósł karabin i podszedł do ściany. Rząd dziur po kulach biegł równą linią przez szarą ścianę z plastonu. Obok znajdowała się zniszczona koja. Wyglądało to tak, jakby ktoś bezskutecznie usiłował zabarykadować drzwi.

– Coś tu się działo, ale to stara sprawa – odezwał się spokojnie.

– Bezpiecznie? – spytała przez komunikator Ripley.

– Tak – potwierdził Wilks. – Jeszcze cztery do sprawdzenia. I musimy przyjrzeć się lataczom i lądownikowi.

Wyszli z budynku.

Dwadzieścia minut później skończyli. Było trochę krwi w stołówce, ślady walki w większości pomieszczeń, tu i tam uszkodzenia spowodowane silnym kwasem, ale nigdzie żadnych ciał ani widocznych oznak zagrożenia. Wilks czuł, jak powoli, bardzo powoli obniża się w jego krwi poziom adrenaliny, lecz

ciągle pozostawał czujny. Nadmierne poczucie bezpieczeństwa mogło ich drogo kosztować.

Kiedy Ripley stała obok statku i przydzielala zadania, sierżant kontynuował badanie terenu. Bez kieszonkowego wykrywacza ruchu było to uciążliwe, chociaż musiał przyznać, że im był starszy, tym mniej polegał na różnych mechanicznych udogodnieniach. Ziemia została podbita, gdyż za dużo było techniki, a za mało człowieczeństwa. Maszyny okazały się tylko pożywką dla ognia. Jako młody, gorąckrwisty komandos inaczej na to patrzył, ale lata doświadczeń nauczyły go, że nic nie jest niezawodne...

„Przeklęty wiek średni – pomyślał. – Może powinienem się wziąć za filozofię, kiedy to wszystko się skończy”.

Jeżeli się skończy. Jeżeli uda im się to zrobić. Planeta nie tak dawno stała się grobem dla miliardów ludzi, on sam też właściwie powinien być martwy, ale gdzieś, po drodze, coś się zmieniło. Był gotowy zagrać tę partię do końca, zakończyć ją...

– Gotowe – odezwała się Ripley i ruszyła w kierunku wzgórza.

– Gotowe – odpowiedział właściwie do nikogo.

Ruszył za nią.

Stali u stóp pagórka przed ogromnymi wrotami. Metalowe drzwi wyglądały tak, jakby ktoś wytopił sobie wejście jakimś potężnym palnikiem. Pośrodku ziała wielka dziura. Ripley pomyślała o działkach, kiedy zobaczyła ten otwór jeszcze z pokładu Kurtza, ale teraz widziała, że pomyliła się. Brzegi były zbyt gładkie. Ciekawa była, co tu się działo na kilka godzin przed opuszczeniem tego miejsca przez naukowców...

Wilks pierwszy wszedł w ciemność.

Ripley odczekała kilka sekund i poszła za nim. Przcisnęła się przez dziurę i wzięła głęboki oddech. Powietrze było wil-

gotne i śmierdziało. Szarozielone mchy i porosty pokrywały wewnętrzną stronę drzwi. Miłe miejsce.

Mały przedsionek, w którym się znalazła, wiódł do ciemnego korytarza oddzielonego metalowymi, w pół wyrwanymi drzwiami.

– Wilks, odezwij się – powiedziała.

– Jestem dziesięć metrów przed tobą. Korytarz się rozgałęzia. Po prawej jest znak „do zbrojowni”, po lewej „do sterowni”. Żadnych oznak czyjejkolwiek obecności. – Mech jest bardzo gruby po obu stronach. Myślę, że jesteśmy tu sami.

Ripley wypuściła powietrze i przeszła przez wyrwane drzwi.

– Słyszeliście go – powiedziała.

Moto i Tully właśnie weszły do środka ze skrzynkami narzędzi.

– W razie czego daj nam znać, Falk – powiedziała cicho. Miał zostać na straży przy metalowych wrotach. Billie, McQuade i doktor wrócili na statek.

– Dobra.

Skierowała snop światła przed siebie i ruszyła przez ciemny hali. Wilks czekał na nią przy rozstaju, broń trzymał w pogotowiu. Skrzywił się, kiedy poświeciła mu w twarz.

– Zostań tutaj – powiedział – sprawdzę sterownię. Jego głos brzmiał metalicznie w pełnym ech korytarzu. Ruszył na lewo.

Ripley trzymała swój karabin wycelowany w głąb prawej odnogi, chociaż wydawało jej się, że sierżant miał rację. Nie było tu chyba nikogo od co najmniej kilku miesięcy. Nikogo, albo niczego. Moto i Tully czekały razem z nią.

– Może kod odpalenia został przerwany w jakiś naturalny sposób. – Pokazała na wilgotny mech. – Ta broń nigdy nie była odporna na takie rzeczy.

Wrócił Wilks.

– Czysto – powiedział. – Niezbyt skomplikowany ten labirynt. Korytarz biegnie prosto ze dwadzieścia metrów i skręca do sterowni. Sprawdzę drugą stronę i będziemy gotowi.

– Będę osłaniać – odezwała się Ripley. – Tully i Moto, idźcie na przedzie.

Ścisnęła mocniej karabin wilgotnymi dłońmi – androidy też się poca – i zaczęła na Wilksa. Była gotowa i właściwie zmęczona oczekiwaniem na rozwiązanie. Billie miała rację -musiała skończyć to, co rozpoczęła. Lecz kiedy się to stanie, będzie miała jeszcze więcej do roboty. Wygląda na to, że nigdy nie spocznie...

Wilks dołączył do niej.

– Nie zajęło ci to dużo czasu.

– Taki sam rozkład po tej stronie, tylko drzwi są zamknięte i zablokowane. Nie da się ich otworzyć tak po prostu. Myślę, że bomby są bezpieczne.

Uśmiechnęła się.

– Wspaniale powiedziane: bezpieczne bomby. Wilks zachichotał.

– Tak, zabawne. Ja...

– Hej – zatrzeszczała w słuchawkach Moto – wygląda na to, że mamy tu coś więcej niż tylko korozję – głos brzmiał obawą. – Myślę, że ktoś stale próbuje dostać się do mechanizmu odliczania.

Billie siedziała w kabinie sterowniczej Kurtza i słuchała raportu Ripley:

– ...zlokalizowaliśmy problem, ale zajmie nam to więcej czasu niż sądziliśmy. Wszystko jest poroźlączone i jak na razie główny zespół jest zablokowany.

Jej głos był przerywany głuchymi sygnałami. Komunikatory nie zostały zaprojektowane do porozumiewania się przez grubą warstwę skały.

– Ile wam to zajmie?

– Jak dobrze pójdzie, to do zmroku.

Kontynuowała opis sytuacji, ale Billie już nie słuchała. Słońce było ciągle wysoko, do nocy pozostało jeszcze około sześciu godzin. Dużo czasu.

Wstała i przeciągnęła się. Ripley właśnie skończyła nadawać.

– Mam zamiar iść po parę pakietów z żarciem – powiedziała.  
– To powinno im trochę pomóc. McQuade roześmiał się.

– Mogą się zdecydować na wysadzenie wszystkiego w powietrze po takim posiłku.

– Po prostu nie zanoś im nic smażonego i będziemy bezpieczni – dodał Jones. – Zawsze gdy to jem, mam zamiar popełnić samobójstwo.

Billie uśmiechnęła się.

– Pójść z tobą? – spytał kapitan. – Jones mógłby uważać na czujniki...

– Nie. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to normalnie. – Za minutę będę z powrotem.

Poszła do jadalni i wzięła kilka samopodgrzewających się pakietów i trochę sztućców. Zatrzymała się też na chwilę przy magazynie broni i zabrała kilka zapasowych magazynków.

Zabranie latacza nie powinno zagrozić misji. Jeżeli nie wróci na czas... co tam, musi wrócić. Nie może pozwolić, by czekali na nią.

Przeszła przez dok ładownika i wyszła na jasne słońce. Powietrze było przyjemnie chłodne i wręcz słodkie, nie do porównania z metalicznym gazem wewnątrz statku. Ptaki i koniki polne grały na okolicznych drzewach swoje piękne melodie. Było cudownie. Tak pięknie, że nie chciało się nigdzie iść.

Wybuch, który zamierzali spowodować, zmiecie całą okolicę. Ripley wyjaśniła jej to.

– Sześć miesięcy? – zdziwił się wtedy Falk – Dlaczego tak długo?

– To duża planeta. A obcy opanowali ją całą. Zakładając, że potrafią pływać, oczywiście lepiej, gdyby nie potrafili, zajmie im to trzy do czterech miesięcy, zanim tutaj dotrą. Mogą być przecież o 20 000 kilometrów stąd, na drugiej półkuli. Muszą się przecież zatrzymywać, by zjeść i wysikać się; sześć miesięcy będzie w sam raz.

Ten opis sytuacji przyniósł następne pytania: Dlaczego superkrólowa je wzywa? Może ktoś, kto zrobił te zabawki, zamierza je zgromadzić razem? – zapytał ktoś, może to był Wilks? Czy zostaną tutaj, kiedy, już przybędą? Nikt nie wiedział. Musieli robić, tak jak założyli. Przygotowali pułapkę i przynętę, a teraz musieli czekać, aż szczury przyjdą po ser...

Billie otrząsnęła się z rozmyślań. Falk właśnie podnosił rękę na powitanie.

– Przyniosłam coś do zjedzenia – powiedziała.

– O, rany. – Wyglądał jakby się przestraszył. – Przyszłaś nas otruć?

– Nic z tego. Pomyślałam, żeby zobaczyć, czy nie ma czegoś ciekawego w tych budynkach.

Falk wziął od niej zapakowany w folię pakiet i zmarszczył brwi.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powiedział. – Czy Ripley wie...?

Billie wzruszyła ramionami.

– Powiedz jej, jak chcesz. Jestem uzbrojona, wszędzie tu pusto, a McQuade obserwuje czujniki. Stuknęła w swój komunikator.

– Poza tym jestem już chora od siedzenia na tyłku. Chcę zrobić coś pożytecznego.

– Dobra – powiedział Falk – ale bądź ostrożna.



Uśmiechnęła się do niego i odeszła w stronę szarych budynków. Latacze były niewidoczne z posterunku Falka, stały pomiędzy dwoma barakami. Zniknęła z jego pola widzenia i nieco przyspieszyła kroku.

– Billie, co robisz? – usłyszała głos McQuada. Zamiast niej odpowiedział Falk:

– Usiłuje znaleźć jakieś pozostawione tu jedzenie. Moglibyśmy zjeść coś lepszego niż to gówno ze statku – powiedział. – Oczywiście, nie masz nic przeciwko temu?

Dzięki, Falk! Dotarła do pierwszego z pojazdów i zajrzała do środka – Wilks i inni, którzy go sprawdzali, pozostawili otwarty właz. Maszyna była mała, przygotowana do przewozu zaledwie kilku ludzi. Serce niemal zatrzymało się jej w piersiach, kiedy zobaczyła powyrywane przewody i strzaskaną konsolę sterowniczą.

– W tych statkach nie ma nic oprócz żelaznych porcji -odezwał się McQuade. – Dlaczego nie wrócisz na statek? Nie podoba mi się to, że włączysz się sama. Możesz zakłócać moje odczyty. Poza tym Kurtz nie został bez żywności...

– Jestem już dużą dziewczynką – odpowiedziała i podeszła do drugiego latacza.

Starła się udawać całkowitą niefrasobliwość; gdyby McQuade zobaczył ją biegnącą, podniósłby alarm.

– Właśnie szukam jakichś dodatkowych narzędzi... – dodała.

– Billie, natychmiast wracaj na statek – usłyszała głos Ripley.

Zabrzmiało to bardzo ostro i stanowczo, nawet pomimo zakłóceń.

Weszła do drugiego pojazdu i rozejrzała się po kabinie. Wyglądało na to, że nie jest uszkodzony. Zamknęła właz i szybko usiadła w fotelu pilota. Wcisnęła kilka guzików, pstryknęła kilkoma przełącznikami i statek obudził się do życia.

– Do cholery, Billie! Odezwij się! Co ty, do diabła, robisz! Nie możesz odlecieć! Nie mamy na to czasu!

Zignorowała Ripley i wprowadziła kod dostępu do małego komputera. Szybko wystukała współrzędne. Dzięki Bogu, na małym stateczku nie było żadnych dodatkowych zabezpieczeń. Pełny zbiornik paliwa, wszystko automatyczne...

– Billie, poczekaj! To był Wilks.

– Zaczekaj chwilę, lecę z tobą... – Jego głos przepęłniała bardziej trwoga niż złość.

– Przykro mi – powiedziała. – To jedyny sposób. Wiem, że ona żyje. Będę z powrotem zanim się ściemni, jeżeli potrafię...

Przycisnęła ostatni guzik i latacz zaczął się unosić. Rozumiała znaczenie większości przycisków i miała nadzieję, że te, których roli nie udało jej się rozszyfrować, nie spowodują jakichś przykrych niespodzianek. Zdjęła komunikator i wyrzuciła go z kabiny w chwili, gdy Ripley i kapitan zaczęli krzyczeć do niej, a mały stateczek unosił się ciągle w powietrze.

Wiedziała, że sikają tam z ze strachu o nią, ale wiedziała też, że nie jest im niezbędna do wykonania zadania. Nienawiść była poza wszystkim, co kiedykolwiek czuła do niej Ripley, a ona popychana była uczuciem znacznie silniejszym. Może była to miłość?

Pochyliła się jakby w cichej modlitwie, podczas gdy latacz pędził na południe. Proszę, niech mi się powiedzie!

## ROZDZIAŁ 27

– Cholera – odezwała się Ripley -powinnam się tego spodziewać. Powiedziała mi, że ma zamiar to zrobić.

Tully i Moto nie przerywały grzebania w przewodach w ni-  
kłym świetle sterowni.

– Teraz nic nie możemy zrobić – powiedział Wilks.

Poczuł, jak lodowate palce ścisnęły mu serce. Czuł się tak samo niepewnie jak Ripley i był wprost chory ze strachu o Billie. Znał tę młodą kobietę dłużej niż pozostali i wiedział, że myśli o zagubionej rodzinie widzianej w przekazach przezerając ją od środka. Jeżeli ktokolwiek był odpowiedzialny za to, co się stało, był nim on sam.

Gdybyś tylko pomyślał, mógłbyś ją powstrzymać.

W tym samym momencie usłyszał cichy głos Billie:

„– Odpieprz się, Wilks. Jak ci się wydaje, kim ty właściwie jesteś?”

Zacisnęła zęby aż do bólu. Nic nie mógłby zrobić. Musiał mieć tylko nadzieję, że Billie wróci. Gdyby stało jej się coś...

To co?

Nic.

Usłyszał głos Ripley:

– Masz rację. Po prostu chciałabym... Przerwała i wzięła punktowy palnik.

– Hej, jest tam ktoś? – zatrzeszczał w komunikatorach głos McQuada. – Wykryłem jakiś poruszający się obiekt. Zbliży się od zachodu!

Wilks zdjął z ramienia karabin, odbezpieczył go i ruszył ku wyjściu.

– Falk? – rzucił w biegu do mikrofonu.

– Jeszcze nic.

– Nie mogę policzyć – odezwał się ponownie kapitan. – To poruszająca się grupa, pięciu, może sześciu...

Wilks dotarł do drzwi. Falk kucnął w małym przedsionku, osłonięty grubymi, stopionymi wrotami. Broń miał wycelowaną na zewnątrz.

– Zatrzymali się za obozem. – To znów był McQuade. – Wygląda jakby... czekajcie, ktoś nadchodzi.

Wilks i Falk stali razem i czekali w napięciu.

Samotna postać pojawiła się w polu widzenia, w połowie drogi pomiędzy *Kurtzem* i wzgórzem Orony. Kobieta była nie uzbrojona. Ubranie miała obszarpane, widać było jedną osłoniętą pierś. Jej twarz była maską przerażenia.

– Hej! – zawołała trzęsącym się głosem. – Czy jest tu ktoś? Odrzuciła skołtunione, matowe włosy z oczu i rozejrzała się nerwowo.

– Nie jestem wrogiem! Czekaliśmy na statek, żeby odlecieć... Odwróciła się i wyciągnęła ramiona w stronę *Kurtza*.

– Proszę!

– Wilks? – szepnął Falk i lekko zniżył lufę karabinu.

– Nie wiem – odparł sierżant i krzyknął: – Przyrowadź tutaj resztę!

Podskoczyła na dźwięk głosu, ale ramiona ciągle trzymała w górze. Jej twarz skurczyła się i młoda dziewczyna zaczęła szlochać.

– Dobrze – powiedziała przez łzy. – Oczywiście!

Dwóch mężczyzn i jeszcze jedna kobieta pojawili się na otwartej przestrzeni. Wszyscy byli równie obdarci i wynędzniali. Wyglądali na wystraszonych i bardzo bojaźliwych. Nikt nie miał broni.

– McQuade? To wszyscy? – spytał Wilks. Chwila ciszy.

– Trudno powiedzieć. Nic się nie porusza.

Cała czwórka stała nieruchomo. Wszyscy drżeli lekko, jakby utrzymywanie się w wyprostowanej pozycji było dla nich ogromnym wysiłkiem.

– Słyszałaś, Ripley? – powiedział sierżant.

– Tak. – W głosie brzmiała niepewność. – Nie podoba mi się to, mogą być kłopoty.

– Mamy ich na muszce – odezwał się Falk. – Co byście powiedzieli, gdybym wyszedł i rozejrzał się? Jeżeli mają w krzakach przyjaciół, to tamci nie będą chyba strzelać do swoich...

– Mogą strzelać. – Wilks zacisnął zęby.

– Możemy tu stać i gadać z nimi przez cały dzień – nie zgodził się Falk – albo ewentualnie wrócić na statek. Zróbmy coś z nimi.

Sierżant kiwnął głową. Nie podobało mu się to. Ripley też coś podejrzewała, ale Falk miał rację.

– Pochyl się nisko i zostaw mi wolne pole ostrzału – powiedział. Falk podniósł głos:

– Dobra, wychodzę! Mamy załadowaną broń, więc nie ruszajcie się!

Pierwsza z kobiet ciągle płakała i był to jedyny dźwięk, jaki było słyhać. Falk przedostał się przez stopioną bramę, karabin cały czas trzymał wycelowany w małą grupkę ludzi. Podeszedł do nich powoli i ostrożnie.

Wilks przełożył jedną nogę przez dziurę i usiadł okrakiem na krawędzi wytopionego otworu. Skierował karabin w stronę kępy drzew po zachodniej stronie.

Czwórka ludzi upadła nagle na ziemię i znieruchomiła na odgłos karabinowego ognia.

Billie ciągle patrzyła na odczyty komputera, kiedy latacz sunął nad Północną Kalifornią, ale niczego nie dotykała.

Wszystko wyglądało jak najlepiej. Powinna być na miejscu za około dwie godziny, zakładając, że nie wydarzy się nic złego...

Co może się zdarzyć? Jestem doskonałym pilotem, a Amy i jej rodzina będą w pogotowiu, czekając, by wskoczyć na pokład, kiedy tylko się pojawię. No i mam dużo czasu.

Uśmiechnęła się do siebie. W pewnym momencie popełniła oczywiste szaleństwo, ale aż do tej chwili nie zauważyła tego. Gdy postanowiła, będąc jeszcze w Stacji, uratować małą dziewczynkę, nie przypuszczała, że odbędzie się to w ten sposób – samotnie i na skradzionym statku. Nie potrafiła sobie przypomnieć, co wtedy myślała...

Może byłoby łatwiej, gdyby ktoś zrobił to za mnie.

Czego jednak nauczyła się od Ripley, to reguły, że cokolwiek możesz zrobić sam, musisz to zrobić sam. Głupie i wydumane, ale prawdziwe. Nie mogła przecież siedzieć i mieć nadzieję, że wszystko ułoży się samo przez się.

Już nie. Dziewczynka miała na imię Amy, a ona była Billie. Mogły istnieć tylko razem, albo wcale.

Do diabła...!

Wilks rzucił się na ziemię. Nie widział strzelców, ale władował krótką serię w kępę drzew na wysokość piersi. Zbocze wzgórza dawało mu częściową osłonę, jednak nie odważył się poruszyć...

McQuade krzyczał mu do ucha, ale większość słów zginęła w huku strzałów.

– ...dwóch pieprzonych...

Metalowe wrota zadzwoniły pod uderzeniami pocisków.

Wilks wystrzelił ponownie i spojrzął na Falka. Komandos leżał na ziemi. Był ranny, czy też zrobił to specjalnie? Nie było sposobu dowiedzieć się...

Czwórka fanatyków pozostała nieruchoma, ale jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć:

– Nie zabijajcie ich! Potrzebujemy ich żywych. Ona tego żąda...

Pozostali zaczęli błagać o zbawienie, wołając głośno do Wielkiej Matki.

O, ludzie...! Trzeba coś zrobić, żeby wydostać się z tej matni.

Następna seria wystrzałów zabębniła o metal. Wilks wpadł na pomysł. Krzyknął i znieruchomiał, jakby został trafiony.

Nie ruszaj się, Falk. Jeżeli żyjesz, nie ruszaj się!

Płynęły sekundy. Wilks zerkał w stronę krzaków i czekał. Pot spływał mu po szyi, a słońce zrobiło się jakby gorętsze. Usłyszał za sobą jakiś ruch, coś zaszurało za metalowymi wrotami. Miał nadzieję, że Ripley pozostanie w środku.

Czworo fanatyków kontynuowało modły wysokimi, drżącymi głosami.

Sierżant usłyszał nagle trzask gałęzi. Ciemny kształt przesunął się na tle zagajnika.

– jeszcze nie! – Dobiegł go syczący głos spomiędzy drzew. – Zaczekaj!

Dwóch strzelców. Wilks wycelował w sylwetkę z przodu i wystrzelił dwa razy. Postać wpadła w cień i krzyknęła przeraźliwie.

Wilks przesunął lufę w stronę, skąd przed chwilą usłyszał głos, i ponownie nacisnął spust. Niewidoczny snajper zawył z bólu.

Na dźwięk strzałów ludzie leżący obok Falka zerwali się i pobiegli w kierunku sierżanta. Jeden z nich potknął się o ciało komandosa i przewrócił w pylisty grunt.

Falk przetoczył się, usiadł i roztrzaskał czaszkę mężczyzny kolbą karabinu.

Dobre wejście, Falk!

Wilks wystrzelił dwa razy. Obydwie kobiety upadły.

Ostatni z mężczyzn zatrzymał się raptownie. Oczy miał rozszerzone ze strachu. Był tak blisko, że krew opryskała sierżanta, kiedy ostatni, pojedynczy strzał trafił go prosto w pierś. Trafiony upadł, krew wypłynęła mu z ust. Był martwy.

– Nie ruszajcie się! – krzyknął Wilks.

Żadnego ruchu. Jeżeli strzelcy byli mimo wszystko żywi, nie dali najmniejszego znaku, że tak jest. Sierżant podniósł się powoli. Karabin trzymał ciągle wycelowany w kierunku drzew.

– Falk, ranili cię? – spytał przez komunikator. Wielki mężczyzna znów leżał na ziemi.

– Tak – odpowiedział lekko drżącym głosem. – Myślę, że to nic takiego.

– Ripley?

– Jestem tutaj. Dostałeś ich? – Słysząc było, że jeszcze się nie uspokoiła.

– Prawie pewne. – Starł krople krwi z twarzy. – Chyba, że zastrzeliłem parę niewinnych gapiów. Pozwól mi sprawdzić. Zostań tam, Falk.

– Nigdzie się nie wybieram.

Wilks pochylił się mocno i z bronią gotowa do strzału pobiegł w kierunku lasu. Gdyby ktokolwiek tam się poruszył, byłby w następnej sekundzie martwy.

Jeden ze strzelców nie żył – mężczyzna w średnim wieku, z wygoloną głową. Został trafiony w gardło. Drugi żył jeszcze i leżał kilka metrów dalej. Była to drobnej postury kobieta z fatalną raną brzucha. Pociski zamieniły jej wnętrzności w krwawą miazgę. Zdziwiająco, ale była przytomna. Leżała na plecach i wbijała w piach swe gołe stopy, usiłując w ten sposób odczołgać się jak najdalej od obozu. Kiedy Wilks zbliżył się, otworzyła oczy, a twarz pobladła jej z bólu i wściekłości. Brzuch miała śliski odkrwi wyciekającej z rany.



– Umrzecie... – zdołała wykrztusić. – Wszyscy... Zamknęła oczy. Tych kilka słów wyczerpało ją całkowicie. W cieniu drzew było chłodno, lekki wietrzyk szybko wysuszał pot na czole Wilksa. Wycelował starannie.

– Cóż, chyba się mylisz – powiedział.

Odgłos wystrzału długo wisiał w powietrzu.

Tully pracowała przy przenośnym komputerze, a Ripley ciągle próbowała przełamać blokadę systemu. Oryginalny detonator został zbudowany na zasadzie sekwencyjnego stopera był zbyt skomplikowany, by szybko go odtworzyć, więc Tully trudziła się nad połączeniem łańcuchowym. Wymagało to uporządkowania wszystkich kabli.

Falk okazał się być tylko lekko ranny. Miał dwa skaleczenia: jedno, mniejsze, na lewym barku i trochę poważniejszy przestrzał mięśni prawego bicepsa. Joneses już go opatrzył i naszprycował środkami przeciwbólowymi.

Ripley pracowała tak szybko, jak tylko mogła. Obawiała się, że ten pierwszy kłopot mógłby nie być ostatnim, jeżeli się nie pośpieszą.

– Gotowe – powiedziała Tully – ale i tak będziemy musieli nastroić te skrzypce Orony, kiedy już znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, daleko stąd. Program jest zakończony. Teoretycznie, po prostu wezwiemy ten komputer z pokładu i zegar zacznie na nasz sygnał odliczać czas. Ripley popatrzyła na małą konsolę i kiwnęła głową.

– Wypróbujmy to – powiedziała. – Nie chcemy chyba polegać tylko na teorii.

– Dobra. Wprowadzę komendę i wyślę ją. Jeżeli na ekranie pojawi się słowo, oznacza to, że nasz sygnał jest czysty.

– No, to do dzieła.

Tully wzięła latarkę i zniknęła w ciemnym korytarzu.

Ripley popatrzyła na sploty kabli i westchnęła głośno. Nie chciała teraz o tym myśleć, nie była to odpowiednia pora, ale...

Strzeliła do człowieka, który biegł w kierunku bramy. Znać było to, że nie miała wbudowanego Pierwszego Prawa – obowiązkowego u syntetyków. Był to prawie wystarczający dowód, że to wszystko nieprawda, że Jones źle odczytał testy. Z wyjątkiem jednego – nigdy w życiu nie przechodziła żadnego kursu elektroniki, a jednak wiedziała dokładnie, gdzie i co należy ze sobą połączyć. Ta wiedza była w niej jak umiejętność chodzenia czy mówienia. Ciekawe, co jeszcze potrafi, co jeszcze wie...

– Ripley? – To była Tully.

– Możesz sprawdzać – powiedziała do komunikatora.

Odwróciła się do komputera i patrzyła. Szeregi liczb przebiegły po ekranie i zniknęły. Minęła sekunda i w lewym górnym rogu pojawiło się słowo „Bum!” Zielone litery świeciły jasno i wyraźnie.

– Działa. – Pokiwała głową.

Zakłócenia zniekształciły śmiech Tully i Ripley nagle poczuła, że znajduje się daleko od wszystkiego. Daleko od człowieczeństwa.

Wróciła do pracy.

Zostało zaledwie kilka minut do wylądowania. Billie nerwowo patrzyła na ekran komputera i po raz setny sprawdzała przełączniki w karabinie.

Statek zaczął się stopniowo obniżać. Leciał teraz nad jakimś przemysłowym miastem. Wcześniej minął kilka małych miejscowości. Billie ciągle wypatrywała śladów życia. Zobaczyła setki, tysiące obcych biegnących w dole, kierujących się na północ, ale nigdzie nie było ludzi.

Miała nadzieję, że reszta radzi sobie bez niej, a ona nigdzie się nie rozbije. Oparła dłonie na sterach i skręciła nimi lekko w

lewo. Statek skręcił w lewo. Popchnęła do przodu i dziób przechylił się troszeczkę w dół.

Fajnie, to jest to...

Monitor błysnął i pojawił się komunikat, że zadane współrzędne zostały osiągnięte. Jeżeli Wujek Amy podał w swej ostatniej transmisji złe liczby, będzie się miała z pyszna. Silniki hamujące latacza włączyły się i statek zaczął opuszczać się w dół. Billie manewrowała nim, usiłując trzymać się nitki drogi. Jakieś śmieci pofrunęły na boki, kiedy pojazd osiadł lekko na powierzchni ulicy.

Billie odpięła pasy bezpieczeństwa i wyłączyła silniki, zdumiona, że to wszystko jest takie proste. Na zewnątrz nie było żadnego ruchu.

Włożyła do torby na biodrze kilka zapasowych magazynków i parę flar, otworzyła właz. Próbowwała stłumić narastający strach. To, że lot był tak łatwy, tylko pogarszało sprawę. Czuła się tak, jakby już wykorzystyła całe swoje szczęście.

Amy jest najważniejsza. Amy, jej Wujaszek i Mordechaj, i każdy, kto przyjdzie razem z nimi.

Wyszła z latacza z bronią gotową do strzału. Dziwny zapach natychmiast uderzył w nozdrza. Smród spalonego plastiku i odór zgnilizny wyróżniały się w tej niesamowitej mieszance.

Może teraz wszystkie miasta mają taki zapach? Jednak to, w którym się znalazła, nie było przynajmniej zrujnowane. Stało się dla niej oczywiste, że ciągle jeszcze są miejsca, gdzie zamieszki i najazd potworów nie spowodowały zniszczeń.

Obeszła statek dookoła. Nie dostrzegła żadnego ruchu, nie słyszała żadnych dźwięków. Czuła się tak, jakby była jedyną żywą istotą na świecie. Budyńki wokół niej były wszystkie w jednym stylu i stały milczące. Wymarłe.

Skąd zacząć? Podeszła do budowli po prawej stronie i przeczytała napis umieszczony nad wyrwanymi z futryny drzwiami:

ENDOTECH MIKRO. Nazwa z pewnością pasowała do wytwórni mikrochipów, a o tym przecież słyszała w ostatnim przekazie. To musi być tutaj.

Niestety, taki sam napis widniał po drugiej stronie ulicy. To był cały kompleks zakładów, a nie jedna mała wytwórnia. Cholera!

Cisza była denerwująca. Billie weszła do środka. Pod jej butami zachrząścił potrząskany pleksyglas. Rozejrzała się wo-koło. Ciemne korytarze wiodły we wszystkich kierunkach.

Może powinna znaleźć jakąś sterownię, dyspozytornię, lub coś w tym rodzaju, jakieś pomieszczenie, gdzie z pewnością jest działający interkom, albo może znalazłaby jakiś głośnik, który mogłaby zamontować przy lataczu...

Cudownie, tylko w ogóle nie znasz się na czymś takim, prawda?

Skoro potrafiła polecieć statkiem, może udałoby się uruchomić i taki system. W każdym razie była pewna, że nie ma czasu na przeszukiwanie wszystkich budynków...

Wyjęła flarę z torby i potarła czubek. Z sykiem rozpałił się na czerwono. Ciemne to było światło, ale lepsze niż żadne. Nie zauważyła na pokładzie latacza żadnej latarki. Zakłęła w myślach na siebie, że nie pomyślała o tym jeszcze w obozie, ale teraz i tak nic nie może zrobić.

Ruszyła korytarzem wiodącym na lewo. Jej kroki głośno rozlegały się w chłodnym, nieruchomym powietrzu – jeżeli ktokolwiek tu był, nie uda jej się go zaskoczyć.

W ciągu kilku sekund światło dnia dochodzące z zewnątrz zniknęło zupełnie. Blask flary oświetlał jedynie metr, może dwa, drogi przed Billie. Szła blisko jednej ze ścian, trzymając wysoko swoje nędzne światło i odczytywała słowa napisane na mijanych drzwiach. W większości były to nazwiska pracowników.

Korytarz wydawał się nieskończony. Przeszedł ją dreszcz i poczuła nagle zimne kleszcze strachu. Stłumiła go w sobie, nie chciała wpaść w panikę. Nieruchome powietrze oblepiało jej skórę. Nie wiedziała dokąd idzie, co ją czeka, czy ktoś jej nie obserwuje. Było tak ciemno i to było najgorsze – było tu ciemniej niż w pustce kosmosu...

Zatrzymała się. Chyba całkiem zgłupiała. Powinna wrócić na zewnątrz i ocenić sytuację. Tutaj zgubi się całkowicie...

Nagle tuż za sobą usłyszała jakiś dźwięk. Zgrzyt.

Skamieniała. Takie niewielkie skrzypnięcie, to mogło być wszystko. Naprężenie materiału albo...

Odgłos otwieranych drzwi.

Billie rzuciła flare na podłogę i przydeptała ją. Światło przygasało, ale nie zniknęło całkowicie. Migotliwy blask obudził dziko tańczące cienie. Zacisnęła zęby, żeby nie krzyżeć, źrenice rozszerzyły jej się, usiłując przebić otaczające ciemności. Odwróciła się powoli, tak spokojnie, jak tylko potrafiła. Przez mózg przebiegało jej tysiące myśli.

Człowiek, nie potwór, może fanatyk... powinnam się odezwać, czy poczekać? Czy jest uzbrojony? Cholera! Och, Amy...

Wycelowała karabin przed siebie i usiłowała skupić myśli...

...aż twarde dłonie nie zacisnęły się na jej twarzy...

## ROZDZIAŁ 28

Dźwięk narastał powoli. Wilks prawie nie zauważył, że go słyszy i co on oznacza.

Przejął pozycje Falka na zewnątrz arsenału i obserwował wydłużające się cienie. Moto wróciła do pracy, gdy tylko Jones upewnił ją, że Falkowi nic nie grozi. Cała uwaga Wilksa była skupiona na Billie. McQuade ciągle pilnował odczytów czujników, a Ripley pomagała wszystkim z całych sił. Sierżantowi pozostało więc sterczenie przy ogromnych wrotach i czekanie na Billie. I zastanawianie się, czy dziewczyna w ogóle wróci.

McQuade wykrył statek na wschodzie, ale był zbyt duży jak na latacza, który zabrała Billie. Wylądował niedaleko miejsca, gdzie zostawili królową-matkę. Oczywiście było, że wśród tłumu fanatycznych wyznawców obcych znajdowali się piloci nie byli to chyba zbyt sprytni ludzie. Przecież potwory z pewnością nie będą ich odróżniać od innych w poszukiwaniu pożywienia, kiedy przybędą tu w ogromnej liczba.

Skupił uwagę na cichym dźwięku. Było to coś w rodzaju piskliwego zawodzenia lub słabego skowytu.

– Śpiesz się, Ripley – powiedział do mikrofonu. – Nadchodzą.

Billie krzyknęła i nacisnęła spust. Ciemność została rozdarta przez świetliste smugi pocisków, a dźwięk wystrzałów wypełnił grzmiotem niezbyt szeroki korytarz. Kule zagrzechotały o ścianę. Upadła na podłogę i odpełzła na bok na łokciach. Kątem oka zdołała dostrzec jeszcze kawałek postrzępionego ubrania...

– O, Boże. Nie strzelać! Przestań! – Rozległ się męski głos. – Proszę, jestem normalny! Jestem normalny...

Głos wydawał się brzmieć potwornym przerażeniem. Billie znieruchomiała, więc tamten nie mógł jej trafić, a sama wycelowała karabin w stronę głosu. Naciskała spust tak długo, aż mężczyzna odezwał się ponownie: .

– Proszę! Nie zabijaj mnie. Muszę ją odnaleźć... Ją? Nieznajomy urwał i rozległ się tupot oddalających się kroków. Mężczyzna biegł w stronę wyjścia.

– Zaczekaj! – krzyknęła. – Amy!

Kroki zatrzymały się gwałtownie i ponownie usłyszała narzmiwały podnieceniem głos mężczyzny.

– Widziałaś ją? Proszę, powiedz mi, gdzie ona jest? Kim ty jesteś? Billie wstała.

– Idź w kierunku wyjścia – powiedziała. – Karabin trzymam wycelowany w ciebie, więc nie rób żadnych gwałtownych ruchów.

Kiedy szła zanim, dotarło do niej prawdziwe znaczenie słów tego człowieka. On znał Amy.

Stary, siwowłosy mężczyzna z postrzępioną brodą wyszedł na zewnątrz przez połamane drzwi. Głębokie zmarszczki strachu i niepewności pokrywały mu czoło. Billie podeszła do niego.

– To ty – powiedziała – ...twoje transmisje... gdzie jest Amy?

Oczy starego człowieka rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Widziałaś je? Mieliśmy nadzieję, że ktoś... – przerwał nagle, lecz po chwili przemówił ponownie. – Zabrali ją dwa dni temu. Mordechaj zginął usiłując ich powstrzymać. Ci fanatycy... ona odeszła... Nie wiem, czy jeszcze żyje...

Łzy pojawiły się w oczach starca.

Billie poczuła mdłości. Dwa dni!

– Gdzie ją zabrali?

– Są, w tym kompleksie budynków podziemne tunele – powiedział siwowłosy mężczyzna. – Zabrali Amy wraz z innymi.

Część wzięli na pożywienie, część na... Po wschodniej stronie jest mrowisko...

Mówił szybko, jakby wszystko naraz chciał powiedzieć:

– Usiłowałem się tam dostać, ale nie mogłem. Robotnice zwykle stały na straży, a dzisiaj zaczęły uciekać... na północ... usłyszałem statek, twój statek...

– Zaprowadź mnie tam – powiedziała Billie.

Jeżeli Amy jeszcze żyje, może ciągle jest w mrowisku i czeka na zainfekowanie... może strażniczki pobiegły na spotkanie z królową. Co prawda, pozostało kilka do ochrony jaj, które jeszcze się nie wykluły, ale może nie wszystko stracone.

Ripley spieszyła się.

Wyciągnęli ze ściany płytę sterowniczą i już od wielu godzin rozplątywali przewody i wymieniali uszkodzone części. A do B i do C, i tak w kółko. Musieli to zrobić, gdyż w przeciwnym razie ukryte o wiele kilometrów stąd bomby nie detonują. Podłączenie w zły sposób może też spowodować zniszczenie całego systemu już przy pierwszej eksplozji. A może również nic nie wybuchnąć.

Wydawało się, że wreszcie wszystko jest w porządku. Tully i Moto skończyły swoją pracę, a Ripley również pozostało niewiele, kiedy nagle odkryła, że coś pominęła. Była właśnie w połowie drogi, przy siódmym przełączniku, gdy stwierdziła, że coś nie działa.

– No, nie – mruknęła do siebie.

Sprawdziła raz, potem drugi. Trzeci panel został pomyłkowo połączony z piątym. Musiała wszystko wyciągnąć i zrobić to od nowa. Zajmie jej to dodatkowo dwie godziny.

Ile czasu upłynie zanim pierwsze potwory dotrą do doliny, do obozu? Może długo po zmroku, a może za pięć minut...



Przesunęła przełącznik i zaczęła pracować. Musi pozostać na Ziemi, dopóki nie skończy. Będzie tu tak długo, aż ta suka królowa i jej dzieci nie znikną z powierzchni planety. Być może i ona zniknie wraz z nimi.

\* \* \*

Billie i stary mężczyzna skradali się ostrożnie schodami. Cała klatka schodowa oznaczona była odchodami obcych. Główna komora mrowiska znajdowała się w piwnicach budynku oddalonego zaledwie dwie przecznice od statku.

Jeszcze przed chwilą biegli razem pustymi ulicami, potem zatrzymali się na chwilę, żeby zapalić sporządzoną ze szmat pochodnię. Zaraz potem weszli do cichego budynku.

Starzec trzymał pochodnię wysoko nad głową, kiedy natknęli się na schody. Płomień rzucił światło na jakąś ciemną, lśniąca substancję i wyczarował zadziwiające, złudne obrazy. Wydawało się, że schody ożyły. Za każdym krokiem jakby chwiały się i falowały, wywołując wrażenie, że idą po ciałach obcych, które zamierzają się właśnie podnieść...

Im bliżej podchodzili do centrum mrowiska, tym gorętsze stawało się powietrze. Pokonywali okrążenie za okrążeniem i schodzili coraz niżej. Na samym dole zobaczyli wpół otwarte drzwi pokryte siecią i oślizłymi pasmami czegoś, co przypominało gęstą ślinę.

Na powitanie dotarł do nich cichy pomruk, wyraźnie pochodzący z ludzkich ust. Potem przeciągłe westchnienie. Zeszli z kilku ostatnich stopni. Pot cienką strużką spływał Billie po kręgosłupie.

– Nigdy nie dotarłem tak daleko – szepnął stary człowiek.

Billie skierowała karabin w szczelinę drzwi i zmusiła się do podejścia bliżej. Mrowisko nie jest pewnie całkowicie wymarłe, ktoś musi pilnować jaj...

Nagle drzwi otworzyły się na całą szerokość i stanął w nich obcy. Pochylił się w ich stronę...

Billie wystrzeliła. Potwór ryknął. Zdażył jeszcze kłapnąć zębami zanim kule rozerwały mu klatkę piersiową. Kwas, który wylał się na podłogę z plastonu zasyczał i zabulgotał.

Druga bestia wystrzeliła zza martwego ciała pierwszego potwora.

Pociski Billie rozerwały mu podługowatą czaszkę. Szczęki monstrum pozostały otwarte, a ciało upadło na schody. Krew obcego rozprysła się dookoła.

Starzec krzyknął. Trzeci potwór pojawił się nie wiadomo skąd. Stał w drzwiach i z sykiem kopał zagradzające mu drogę ciała...

Billie nacisnęła spust. Jeden z pocisków rykoszetował i maleńki ogień rozświetlił ciemności.

Bestia upadła do tyłu, a Billie przeskoczyła nad martwą robotnicą i podbiegła do drzwi. Siwowłosa mężczyzna był tuż za nią.

– Nie wdępnij w krew! – ostrzegła.

Przyklękła na posadzce i wystrzeliła w ciemność. Rozległy się krzyki obcych. Huk wystrzałów dosłownie ogłuszał.

Ciemne postacie zbliżyły się do niej, a ona strzelała i strzelała...

Lewa łydka paliła ją żywym ogniem. Ból był głęboki i przejmujący...

Starzec podniósł pochodnię i w krótkim błysku światła Billie dostrzegła, że szczerzący zęby potwór wyciąga szpony w stronę jej ramienia. Jego wewnętrzna szczęka wysunęła się z głębi paszczy. Billie krzyknęła i wbiła karabin w brzuch bestii. Strzały

wyrzuciły żołądek potwora na drugą stronę jego ciała. Szpon zdołał jeszcze rozerwać jej ubranie i rozpruć skórę, ale to było wszystko. Upadł do tyłu...

Billie dyszała ciężko i wodziła lufą karabinu z lewa na prawo i z powrotem.

Nikt więcej się nie pojawiał; nic się nie poruszało. Skóra ją piekła podrażniona działaniem ciągłego ognia karabinowego, w uszach jej dzwoniło. Kwas oblał jej nogę i czuła jak krew sączy się z wypalanej rany. Jednak ciągle trzymała się na nogach.

Wszyscy strażnicy byli martwi.

Billie i stary mężczyzna znaleźli się teraz w małym pokoiku. Światło pochodni wywołało drżące cienie na jego ścianach. Kilka z nich wyglądało jednak na żywe, chociaż nieprzytomne. Podłogę zawałały przypominające pająki szkielety i kawałki ludzkich ciał...

– Amy – szepnął starzec.

Wszedł do pokoju tuż za Billie. Krzyknęła głośno, kiedy zobaczyła dokąd zmierza.

Mała figurka zawieszona na ścianie; głowa zwieszona, krótkie rudawe włosy...

Jedna z postaci zarzęziła i podniosła do światła swą twarz...

Wycieńczony młody mężczyzna z poranioną twarzą i jednym okiem wyrwanym z oczodołu. Ślina wyciekała mu na zmierzwioną brodę.

Uśmiechnął się do starca, a opuchły język wysunął mu się mimowolnie spomiędzy warg.

– Jestem zapłodniony – wycharczał.

Strużki krwi pojawiły mu się w kącikach ust.

– Gdzie oni są? – spytała Billie – Gdzie jest Amy?

Głowa mężczyzny pochyliła się do przodu. Wujek Amy chwycił go za włosy i podniósł głowę do góry, zbliżając pochodnię do twarzy umierającego człowieka.

– Wybrani – powiedział mężczyzna. W jego lewym nozdrzu pojawił się bąbelek krwi i spłynął do ust. – Żywiciele odlecieli stąd... służyć Matce. – Zabrzmiało to jak "maci" – odlecieli do jedyne... objawienia. Ona czeka...

– Nie! – wykrzyknęła Billie.

Statek, który słyszał starzec, musi być...

Starzec odwrócił się do niej, na twarzy miał okropny wyraz całkowitej rezygnacji.

– ...ziemi świętej... – wyrzęził fanatyk.

– Ona jest zgubiona – szepnął stary mężczyzna.

– Wracamy – powiedziała Billie.

Wcisnęła nowy magazynek do karabinu, a pusty rzuciła na podłogę.

– Wiem, dokąd polecieci.

Z pewnością tam będą: w górach Orony, w ziemi świętej...

Jeszcze jedno.

Wycelowwała karabin i nacisnęła spust.

Wycie zbliżającej się armii było coraz bliższe. Wilks wiedział, że taki odgłos mogą wydawać jedynie tysiące obcych. Cały czas obserwował niebo coraz bardziej czerwone od zachodzącego słońca. Jeżeli Billie niebawem nie wróci...

Kurtz mógłby krążyć i czekać przez jakiś czas, ale nie mieli zbyt wiele paliwa. Nie będą mogli też lądować ponownie, gdy tak wiele potworów pojawiło się w okolicy.

Rozmyślając o tym wszystkim, zrozumiał, że popełnili błąd. Najpierw powinni uzbroić bomby, a nie wypuszczać królową. Mogłaby siedzieć na pokładzie statku, dopóki nie skończą. Potem zrzuciliby ją pomiędzy czekające potwory. Nie wymyślili tego najwłaściwiej, ale nie spodziewali się, że te cholerne bestie zjawią się tak szybko. Musiało być ich wiele w pobliżu...

Cholera! Cholera!

– Gotowe! – krzyknęła Ripley.

Wilks wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypuścił. Wiedział, że Ripley będzie czekać do ostatniej sekundy, ale ta właśnie chwila zbliżała się z prędkością błyskawicy – było już prawie ciemno.

– Wilks, mamy towarzystwo. Dokładnie na zachodzie – krzyknął McQuade.

Sierżant wycelował karabin w kierunku drzew i ryknął do wnętrza arsenału:

– Ripley, Moto, ruszajcie się!

Głośny skrzek potwora rozległ się dokładnie w momencie, gdy obie kobiety wyskakiwały przez dziurę we wrotach. Rzuciły na ziemię narzędzia i odbezpieczyły karabiny.

Cała trójka jednocześnie ruszyła w kierunku statku.

Drzewa zatrzeszczały i zafalowały, ale ciągle nic nie było widać...

Pierwszy obcy przedarł się przez zarośla i wbiegł do obozu. Jego długie cielsko pochyliło się ku ziemi, a uzbrojone w pazury ramiona wyciągały się do przodu. Spodziewał się zobaczyć królową, a oni byli pomiędzy nim a nią.

Wszyscy troje jednocześnie nacisnęli spusty. Potwór zawył i przewrócił się w piach, prawie przecięty na dwoje przez przeciwpancerne pociski.

Zagajnik nagle jakby eksplodował, wyrzucając z siebie kilkunastu obcych naraz. Biegli w kierunku trójki ludzi, porykując, gdy pociski trafiały jednego za drugim.

– Ruszajcie się! – krzyknął ktoś za nimi.

To Falk. Stał w otwartym włazie statku. Obandażowane ramię zwisało mu wzdłuż ciała, ale zdrową ręką potrafił utrzymać karabin.

– Biegiem! – krzyknęła Ripley.

Uklęła i zaczęła strzelać do pojawiających się w polu widzenia bestii. Wilks i Moto przebiegli kilka metrów, a Ripley i Falk osłaniali ich.

Wilks wskoczył do otwartego włazu, odwrócił się i zaczął strzelać. Z zagajnika wyłaził właśnie następny tuzin potworów. Ich szaleńczo groteskowe ciała poruszały się z błyskawiczną szybkością...

– Ripley! – zawołał.

Wróciła do *Kurtza* bez oglądania się za siebie; w progu potknęła się jeszcze. Wilks zastrzelił następnych trzech obcych i Ripley zdołała wskoczyć do środka.

Falk nacisnął przycisk. Właz zaczął się zasuwać, ale robił to zbyt wolno. Sierżant przyklęknął, kiedy kilka potworów usiłowało dostać się do środka. Jeden z obcych chwycił za lufę karabinu na sekundę przed całkowitym zatrzaśnięciem się kłapy. Strzał wbił wyszczerzone zęby bestii w jej potworną czaszkę.

Drobne krople spadły na twarz Wilksa.

Jednak wszyscy byli już w środku. Dziesiątki obcych waliły w zamknięty właz, a ich ryki metal powłoki tłumił tylko nieznacznie.

– McQuade, Brewster, zabieramy się stąd! – krzyknęła Ripley przez komunikator.

Wilks walnął pięścią w klapę włazu.

Billie się spóźniła.

## ROZDZIAŁ 29

Latacz obniżył się powoli tuż nad wierzchołki drzew. Billie poczuła depresję, kiedy spostrzegła, że obóz opustoszał – no, prawie opustoszał. Nawet w gęstym mroku mogła dostrzec ciemne sylwetki obcych rozciągnięte na ziemi.

– Och, nie – szepnęła.

Stary człowiek zacisnął dłonie i nie odezwał się. Wyjaśniła mu całą sytuację podczas lotu. Ponieważ nie znali współrzędnych i żadne z nich nie było pilotem, najpierw wrócili do obozu. Billie miała nadzieję, że komputer Kurtza pomoże im zlokalizować statek Amy, a teraz...

Musieli odlecieć, nie mieli wyboru.

Powtarzała to sobie raz za razem.

Pomimo tego, że знаła prawdę, w gardle ciągle tkwił jej zimny supeł – pozostawili ją. Ripley skończyła uzbrajanie detonatorów i Kurtz odleciał. Gdyby tego nie zrobił, wszyscy zginęliby.

Billie przełknęła ślinę, kiedy statek opuścił się na ziemię. Sama podjęła decyzję i nie pozostawało jej nic innego, tylko zaakceptować skutki swego postępowania.

– Przykro mi – powiedziała głośno.

Nie spojrzała na starca, nie chciała, żeby dostrzegł ból malujący się na jej twarzy.

– To nie twoja wina – powiedział mężczyzna głuchym głosem. – Próbowalaś. Jestem... jestem zadowolony, że to szybko się skończy.

– Możemy próbować uciec przed wybuchem – powiedziała i natychmiast pożałowała swych słów. Dokąd mieli uciekać? Planeta niebawem będzie martwa, już jest martwa...

– Amy była wszystkim, co miałem – odezwał się stary człowiek. – Nic więcej się nie liczy.

Łzy w końcu pojawiły się na twarzy Billie. Skinęła głową. Rozumiała uczucia tego mężczyzny.

Odwróciła się do niego, niezbyt pewna, co ma powiedzieć...

...i usłyszała głos pracujących silników.

Chwyciła komunikator i wcisnęła słuchawki w uszy.

– ...Billie! Odezwij się! – To był głos Brewstera.

Płacz zmienił się w szloch, a stary człowiek otoczył ją ramieniem i roześmiał się głośno.

– Nie – powiedziała Ripley. – Musimy stąd odlecieć. Teraz, już. Jeżeli obcy wrócą i zaczną demolować obóz, mogą zniszczyć bomby. Przykro mi.

"Jezu, co za drętwa mowa – pomyślała. Jest mi przykro, ale prawda jest taka, że ktoś musi pilnować, żeby wszystko szło zgodnie z planem".

Silniki *Kurtza* zaryczały. Ripley stała w doku lądownika razem z Billie i starcem. Wysłuchiwała już ich opowiadania i szarpały nią sprzeczne uczucia. Początkowa radość Billie z powrotu zmieniła się w zawiedzione zdumienie. Potem dziewczynę ogarnęło straszliwe uczucie tęsknoty.

– Nie musisz czekać na nas – powiedziała i starła z twarzy łzy ruchem małego dziecka. – Pomóż nam tylko znaleźć ten statek. Z pomocą komputera zrobisz to w ciągu minuty.

– A co potem? – spytała Ripley. – Zamierzasz wylądować pośród dziesięciu tysięcy obcych z niewielką szansą na to, że ona żyje? Rozumiem dlaczego, wiem co czujesz, ale to jest samobójstwo!



Ripley wiedziała, że ma rację, ale nie wiadomo dlaczego, nie potrafiła popatrzeć Billie w oczy. Czy pamięta to uczucie?

Pieprzona hipokryzja. Co się z nią dzieje? Wszystko czego pragnie, to zniszczyć gatunek, który zrujnował jej życie... zabierając jej córkę.

– Może ty potrafiłabyś żyć bez niej – odezwała się Billie. – Ja nie.

Ripley nie odpowiedziała, ale myśli nagle zawirowały jej w głowie. Jej celem jest zgładzenie potworów. Dawno temu miała inne plany, inne dążenia. Kiedyś, gdy jeszcze jej zależało...

Popatrzyła na Billie i zobaczyła znajomy wyraz twarzy.

– Statek wylądował kilka godzin temu około dziesięciu kilometrów na wschód – powiedziała.

Gdy to mówiła, szaleńczy bieg myśli uspokoił się raptownie.

Odwróciła się do siwowłosego starca.

– Czy zdołasz utrzymać karabin?

– Mój wzrok nie jest najlepszy – odpowiedział – ale pewnie sobie poradzę.

Ripley pokręciła głową.

– Może tam być parę potworów, a w ciemności nie będzie łatwo je spostrzec. – Zamilkła na chwilę. – Myślę, że to ja muszę iść z Billie.

Wilks przyglądał się, jak Ripley bierze zapasowe magazynki i dwie ręczne latarki i poczuł wzbierający w nim gniew. W końcu może na to nie pozwolić.

– Postradałyście swoje pieprzone zmysły! – Szukał właściwych słów, żeby wyrazić swoje niezadowolenie. – Pomyślcie o tym!

Ripley odezwała się przez ramię takim głosem, jakby nie słyszała, co do niej powiedział:

– Zostańcie tutaj tak długo, jak tylko się da, a potem przenieście się gdzieś w bezpieczne miejsce w pobliżu.

Wrócimy. Gdybyśmy w ciągu godziny nie pojawiły się w odczytach czujników, znowu obejmujesz dowództwo.

Odwróciła się od niego i powiedziała jeszcze z naciskiem:

– Nie spieprz tego.

Chciało mu się krzyżeć. Kiedy McQuade dostrzegł latacza Billie, coś w nim się przełamało. Poczul ulgę. Tak, to było właściwe słowo – "ulga". A teraz Billie i Ripley są bliskie zabicia siebie samych.

Nie. Przestań.

– Pójdę z wami – powiedział. – Przynajmniej na to się zgódźcie...

– Nie – odpowiedziała spokojnie Ripley i założyła karabin na ramię. – Ktoś musi sprawdzić, że wszystko skończyło się pomyślnie.

– Możesz uruchomić odliczanie już teraz – powiedział. – Za sześć miesięcy nastąpi wybuch, nie musimy czekać...

– Wilks... – zaczęła Ripley.

– Ona nie jest waszym dzieckiem! – Spróbował z innej strony.

Billie i Ripley wymieniły spojrzenia, potem razem popatrzyły na Wilksa.

– Właśnie jest – odezwała się Billie. – Naszym.

– Poza tym, nie mamy miejsca – dodała Ripley.

– Gówniane pieprzenie! To jest...

– Skończ, Wilks. My lecimy, ty nie.

Odprowadził je po schodach aż do doku lądownika i starał się wymyśleć, co może jeszcze powiedzieć. Starzec już na nich czekał. Moto stała obok z karabinem w dłoni.

– Gotowy? – spytała Billie.

Mężczyzna dotknął jej ramienia.

– Chciałbym być bardziej pomocny – powiedział. Chciał coś jeszcze dodać, ale zrezygnował.

Billie kiwnęła głową. Ripley dała jej latarkę, a Moto wcisnęła przycisk.

Wilks spojrzął na Billie. Nie był pewny tego, co czuje, nie wiedział, co wydarzyłoby się pomiędzy nimi w innych warunkach, ale...

Ona również popatrzyła na niego, przygotowana na jego kolejne błagania. Nieustępliwa, silna...

– Proszę, wróć – powiedział cicho. – Musisz wrócić, dzieciaku, bo... bo...

Położyła palec na jego wargach.

– Wiem, Dawidzie.

Chryste, czuł się tak, jakby za chwilę miał się rozpląkać. Odwrócił się do Ripley.

– Bądź ostrożna – powiedział.

Kiwnęła mu głową.

Właz się otworzył i obie zniknęły w mroku.

Leciały na wschód, nie rozmawiając w ogóle ze sobą. Billie była przerażona, ale zdecydowana na wszystko. Zauważyła, że Ripley zachowuje się mniej więcej tak samo. Nie było o czym rozmawiać.

Światła latacza słabo oświetlały przestrzeń przed nimi, ledwo można było dostrzec sylwetki drzew i majestatyczne górskie szczyty.

Gdy zbliżyli się do gór królowej, wzmożyły się hałasy dochodzące z dołu. To wyjaśniło sytuację. Mieszanina syków i wycia potworów niemal zagłuszała ryk silników statku.

Billie zaczęła ciężko dyszeć, kiedy światła latacza oświetliły ziemię. Świetliste koło wypełniło się szybko poruszającymi się, czarnymi kształtami.

– Statek jest trochę bardziej na wschód – odezwała się Ripley. – Może nie będzie tak źle.

– Może – mruknęła Billie.

Nigdy za bardzo nie wierzyła w bogów, ale teraz modliła się do wszystkich, jakich знаła, żeby Amy jeszcze żyła.

Ripley mgliście pamiętała współrzędne, kiedy manewrowała statkiem w kierunku niewielkiego szczytu na wprost statku. Jak to szło? Do doliny wymarłych drzew, sześćset...?

Poniżej ze sto tysięcy dzieci królowej skrzeczało i wyło. Widać było dosłownie falujące morze śmiercionośnych, bezrozumnych potworów. Ripley ciekawa była, czy zdają sobie sprawę, co tutaj robią, albo co ma się tutaj wydarzyć. Interesowało ją też, jak wiele ich tu jeszcze przyjdzie.

Zbliżyli się do szczytu i Ripley zwolniła lot statku. Przynajmniej tego nie musieli szukać. Teren był tutaj płaski i stanowił coś w rodzaju rekreacyjnego kompleksu. Obcy statek widać było wyraźnie na tle gwiazd.

Dziesiątki potworów przemykało na zachód przez krąg świateł lądującego pojazdu. Ripley doprowadziła latacz tak blisko większego statku, jak tylko było można, i wylądowała.

Prawie natychmiast rozległy się uderzenia w powłokę. Przez osłonę widać było, jak ciemne sylwetki przebiegają w pędzie obok i słuchać było przeciągłe krzyki.

Wstały obie jednocześnie i podeszły do włazu.

– Trzymamy się razem – powiedziała Ripley. – Wyskakujemy, znajdujemy ją i wracamy.

Billie kiwnęła głową. Poczula, jak pałą ją policzki.

"Dziewczynka prawdopodobnie już nie żyje" – pomyślała Ripley, ale nie odezwała się ani słowem. W końcu są tu po to, żeby sprawdzić.

Właz odsunął się z cichym zgrzytem.

Wejścia obu statków były otwarte i znajdowały się naprzeciw siebie.

Billie wyskoczyła i odwróciła się ku wschodowi. Nacisnęła spust bez celowania. Nie było ono potrzebne. Ściana potworów wbiegała w kule i padała, a kwas ich krwi przyskał na wszystkie strony. Kawalki zewnętrznego szkieletu fruwały w powietrzu.

Ripley stanęła obok niej i również otworzyła ogień do nadbiegających obcych.

Jedna z bestii wskoczyła na wierzchołek latacza i wyraźnie gotowała się do ataku. Billie trafiła ją krótką serią w piersi.

Ruszyły w stronę dużego statku, strzelając ciągłym, automatycznym ogniem. Padło już wystarczająco dużo obcych, żeby ich ciała utworzyły prawdziwą barykadę. Inne wspinały się na nią i natychmiast ginęły.

Billie wyjęła pusty magazynek i wcisnęła następny. Zrobiła to akurat w samą porę, żeby strącić kolejnego potwora z powłoki statku. Eksplodujące pociski dosłownie rozerwały bestię. Inne ciągle ryczały i biegle.

Gdy dotarły do wjazdu, Ripley zaczęła osłaniać tyły, a Billie wślizgnęła się do środka.

Nagle wewnątrz rozległ się znajomy skrzek i pojawiła się robotnica. Wyciągnęła łapy w kierunku dziewczyny...

Krótką serią i sykiem kwasu na stalowych ścianach...

Ryki obcych raptownie przycichły. To Ripley zamknęła wjazd. Billie ruszyła do ładowni. Tylko awaryjne światła były włączone i ledwo oświetlały dwa wyjścia...

Ryknął potwór. Wypadł z jednego z korytarzy i biegł mocno pochylony. Strop był tutaj na wysokości zaledwie dwóch metrów...

Ripley zastrzeliła go.

Głowa bestii dosłownie zniknęła, reszta cielska biegała jeszcze przez sekundę, nie zauważywszy, że jest martwa. Potwór upadł.

Rozejrzały się, szukając następnych obcych. Billie znalazła ludzką krew rozmazaną na jednej ze ścian. Obok leżał strzępek ubrania, a dalej ciała.

– Amy! – krzyknęła.

To był obraz masakry. Billie naliczyła dwadzieścia zwłok leżących w rogu pomieszczenia. Niektóre z nich były porozrywane; zobaczyła nagie ramię oderwane od tułowia, nogę leżącą samotnie bez reszty ciała...

Przeszła nad rozciągniętym ogonem jednej z zastrzelonych bestii i krzyknęła ponownie:

– Amy!

Nie było odpowiedzi. Słyszała tylko uderzenia swojego serca i dudnienie okrzyków morza obcych przebiegających obok.

Ripley przyglądała się zniszczeniom, martwym ciałom wypełniającym, wręcz zaśmiecającym statek. Opanowała ją natrętna myśl – już tu kiedyś była...

Billie zrobiła krok w stronę kabiny sterowniczej i znowu zawołała. Nic. Zbliżyła się do stosu ciał i zaczęła go przeszukiwać. Szukała zagubionej dziewczynki. Ripley trzymała karabin cały czas wycelowany w drzwi znajdujące się tuż obok dziewczyny.

"Lepiej żeby była martwa niż zainfekowana" – pomyślała, ale serce kurczyło jej się z żalu na widok płaczącej Billie, klęczącej przy makabrycznym stosie. Twarz jej poszarzała.

– Nie, nie, nie – powtarzała Billie raz za razem, gdy odsuwała kolejne kończyny...

...właz za plecami obu kobiet otworzył się z metalicznym zgrzytem i krzyk potworów wypełnił przestrzeń...

Billie zwymiotowała. Ludzie ze stosu musieli się tu zgromadzić dla odparcia ataku. Co najmniej dwójka z nich wciąż jeszcze trzymała broń w martwych rękach. Co tu się stało? Czy "łapacze" stracili panowanie nad sytuacją? A może sami

wreszcie zrozumieli, że potwory nie dbają ani odrobinę o swych ludzkich pomocników i ich życie?

Nieważne, nic nie jest ważne. Poczła nagły błysk nadziei, kiedy szybko oglądała ciało za ciałem.

Mała twarzyczka pokryta szramami, z zamkniętymi oczami, wcisnięta prawie do połowy pod rozerwany tułów innego człowieka. Billie poczuła, że trzęsą jej się nogi, w mózgu kołatała się jakaś myśl dochodząca z daleka, z bardzo daleka...

Amy.

Billie odsunęła zmasakrowane ciało i położyła trzęsącą się dłoń na czole dziewczynki... O, Boże. Amy...

Powieki dziecka zadrgały i oczy otworzyły się.

Rozległ się trzask karabinowych strzałów.

Ripley skręciła w miejscu i wypaliła. Dwa metry od niej stał szczerzący zęby potwór. W następnej sekundzie jego makabryczny uśmiech zniknął. Bryzgi palącego kwasu poleciały na jej ramię, kiedy wystrzeliła po raz drugi. Klatka piersiowa kolejnego potwora wyleciała w powietrze. Cofnęła się o krok, kiedy trzecia bestia odłączyła się od nieprzerwanego strumienia innych i ruszyła w jej kierunku...

– Billie! – krzyknęła.

Ponownie otworzyła ogień; pociski uderzyły obcego w podudzia i nogi oderwały się od tułowia...

Ramiona rannego potwora wyciągnęły się w stronę Billie, gdy ta stanęła obok Ripley i strzeliła mu w brzuch. Rozległ się krzyk...

Amy?

Krzyk był ludzki, był płaczem śmiertelnie przerażonego dziecka. Rudowłosa dziewczynka przyłgnęła do Billie i krzyczała. Jej głosik ginął w huku wystrzałów.

Ripley ruszyła do przodu. Musieli dostać się z powrotem do latacza, wyrwać się nieubłaganej śmierci...

...jej karabin przestał strzelać i w tym samym momencie z wylazu wysunęła się szponiasta łapa i chwyciła ją...

...Billie strzeliła, posyłając obcego na ziemię, a Ripley wcisnęła do karabinu nowy magazynek...

To jest ta chwila.

– Osłaniam was! – ryknęła Ripley. – Biegiem!

Wyskoczyła na zewnątrz, posyłając w stronę obcych całe serie pocisków. Obawiała się, czy Billie i dziewczynka wyskoczyły za nią i czy biegną do latacza. Bała się o to tak bardzo, że krzyczała z przerażenia. Chrapliwy ryk wydostawał się gdzieś z samego wnętrza jej osobowości. Zniknęły wszystkie myśli, zmiecione nienawiścią, która teraz nią powodowała, która za nią naciskała spust...

Dobiegły już prawie do statku...

Billie nacisnęła przycisk i właz się otworzył.

Dziewczynka wskoczyła do wnętrza; Billie była tuż za nią, a Ripley siedziała im prawie na plecach. Odwróciła się jeszcze i wodziła lufą z prawa na lewo i z powrotem, strzelając cały czas...

W tym samym momencie, gdy skończyła jej się amunicja, właz zamknął się całkowicie.

Statek kołysał się na boki, a obcy przybiegali obok, potrącając go i uderzając. Ryczeli przy tym i syczeli.

Dziewczynka skuliła się przy ścianie i szlochała.

Billie przytuliła ją i wyszeptwała:

– Już w porządku, Amy. Już dobrze, dobrze...

Ripley usiadła w fotelu pilota i zaczęła naciskać guziki. Rozległ się trzask, potem następny.

Rozrywają ściany...

– Trzymajcie się! – krzyknęła.

Silnik zawył i ryknął pełną mocą. Podniósł statek na kilka metrów, ale ten z powrotem opadł na ziemię.



Wstrząs przewrócił Billie na podłogę. Odwróciła się do dziewczynki, która drżała i krzyczała, ale nie wydawała się zraniona.

Zbyt duże obciążenie...

Latacz nie mógł się unieść z uwieszonymi przy nim potworami, które ciągle ryczały i usiłowały dostać się do środka...

Od strony rufy doleciał ich odgłos rozrywanego metalu. Poszarpana, nierówna dziura pojawiła się w ścianie. Czarna łapa uzbrojona w ostre pazury zacisnęła się na jej brzegach i usiłowała rozszerzyć otwór. Dziwny oleisty zapach wypełnił wnętrze statku.

Billie wycelowała w dziurę i w tej samej chwili pojawiła się tam wielka czarna czaszka z wyszczerzonymi zębami. Potwór syczał i wpychał się do środka.

– Billie, nie...!

Dziewczyna strzeliła. Bestia zniknęła, a cały tył statku eksplodował w morzu płomieni.

Ripley poczuła zapach paliwa – skurwysyny, musiały uszkodzić zbiornik...

Zobaczyła, że Billie podnosi karabin.

– Billie, nie! Nie strzelaj!

Jej słowa zniknęły w gromie wybuchu ognia i fala gorąca zalała Ripley. Billie została odrzucona do tyłu, a mała dziewczynka poleciała razem z nią.

Obcy ciągle ryczeli.

O, kurwa...

Ripley podbiegła do włazu i nacisnęła guzik. Broń trzymała w pogotowiu. Nic się nie poruszyło. Widocznie obwody elektryczne i hydraulika zostały uszkodzone. Drzwi się nie otworzą. Ogień rozszerzał się w ich kierunku, liżąc ściany i

wypełniając wnętrze gryzącym dymem. Upieką się tutaj, jeżeli nie...

Nacisnęła przycisk awaryjnego otwierania i wybuch odrzucił właz na bok. Chłodne powietrze smagnęło ją w twarz.

Billie już stała obok niej. Kaszłała. Jedną ręką mocno obejmowała dziecko.

Muszą dostać się ponownie do tamtego statku i modlić się, żeby uniósł się w powietrze...

Ripley podniosła broń i weszła w sam środek koszmaru.

Billie wypchnęła Amy przed siebie i dziko rozejrzała się wokoło, szukając celu, ale potwory zajęte były płomieniami. Jakiś obcy wpadł z krzykiem w płomień, a jego tułów natychmiast zajął się ogniem. Jasny, pomarańczowy kolor kontrastował z czernią pancerza, kiedy bestia upadała bezsilnie na ziemię. Inne potwory oblane płonącym paliwem uciekały od statku jak żywe pochodnie.

Amy krzyknęła i wskazała na dach większego statku. Billie wycelowała i strzeliła w obcego, gdy ten skoczył. Monstrum ciężko zważyło się w dół.

– Ruszajcie się! – krzyknęła Ripley.

Pobiegła do statku, strzelając raz za razem do potworów, które usiłowały się zbliżyć.

Co najmniej tuzin obcych został porażony wybuchem. Ogromne potwory syczały i tańczyły w obłąkanym tańcu, rozświetlając mrok swoimi płonącymi ciałami. Powietrze rozgrzało się prawie do czerwoności, obcy przerwali atak.

Billie pamiętała, że te koszarne bestie nie lubią ognia.

Razem z Amy biegnęły za Ripley w stronę drugiego statku.

"Głupia, głupia!" – łajała sama siebie.

Ripley usiłowała ją ostrzec, powinna przecież sama rozpoznać zapach paliwa.

– Uważaj na drzwi! – krzyknęła Ripley i pobiegła do kabiny sterowniczej. Billie wycelowała karabin w zniszczony właz. Pot i gorąco zaćmiewały jej wzrok.

Amy nagle krzyknęła...

Billie odwróciła się błyskawicznie i ujrzała, jak potwór, który wyłonił się zza rzędu foteli wyciąga łapy w stronę dziewczynki...

Seria kul powaliła go na podłogę. Amy znów krzyknęła, patrząc w jej kierunku...

...zdążyła odwrócić się na czas, żeby zobaczyć potworną sylwetkę pokrytą płomieniami, biegnącą w kierunku wejścia statku.

W fotelu pilota siedział martwy mężczyzna z rozerwanym gardłem.

Ripley kopnęła go i zwałił się na bok. Ciało głucho uderzyło o podłogę. Usiadła na jego miejscu i zaczęła naciskać guziki. Silniki statku przebudziły się z cichym pomrukiem.

Ulga, chłód i powitanie życia opanowały ją jednocześnie.

Słyszała krzyk dziewczynki, słyszała odgłosy strzałów. Nie przerywała jednak sprawdzania odczytów. Ledwo wystarczy im paliwa na start, wszystko wyłączone, przyrządy lądownicze niezdatne do użytku, osłony właściwie nie istnieją – będą miały szczęście, jeżeli w ogóle się stąd ruszą.

Tylko trochę, tylko odrobinę stąd odlecieć...

Zadziwiająco – spostrzegła nagle, że nie chce umierać.

\* \* \*

Potwór upadł w kierunku Billie, a jego martwe już szpony rozerwały jej kombinezon. Ostry, piekący ból rozlał się po ramieniu i piersiach, kiedy płomienie palącej się bestii dosięgnęły jej ciała.

Wyciągnęła przed siebie karabin i nacisnęła spust...

Monstrum odfrunęło w tył, siejąc na wszystkie strony kawałkami płonącego szkieletu. Stłumiła płomienie na swym ubraniu, zdzierając przy tym kawałki spalonej skóry. Myślała, że zemdleje z bólu i od zapachu zwęglonych tkanek...

Statek zadrżał nagle pod jej stopami. Billie zatoczyła się do tyłu i upadła.

– Złap się czegoś mocno! – krzyknęła do Army.

Zobaczyła, że dziewczynka chwyta za jeden z zamocowanych do podłogi foteli.

Odwróciła się ponownie do wejścia, wszystko jakby nagle spowolniało...

...jeszcze jeden potwór usiłował dostać się do środka. Wystrzeliła i poleciał w tył. Dziwne, ale widziała tylko jego głowę...

Podczołgała się na łokciach do włazu i patrzyła. Noc rozświetlona była płonącym wrakiem latacza. Potwory wyły i biegały wokoło. Doszedł ją zapach spalonych materiałów...

Amy żyje.

Była to ostatnia myśl, a potem ogarnęły ją ciemności.

Statek zatrzęsł się, kiedy Ripley nacisnęła przycisk startu. Niepewnie uniósł się w górę. Choć jakieś części odpadały, ciągle leciał.

Pieprzone współrzędne. Ripley chwyciła drążek ręcznego sterowania i pchnęła go w przód. Niech ten złom odlatuje stąd, jak najdalej od tych potworów. Na zachód.– Mam ich! – ryknęła Tully.

Wilks poczuł, jak twarz skrzywia mu się w szerokim, radosnym uśmiechu.

*Kurtz* był w powietrzu i krążył nad obozem. *Wilks* nie zamierzał czekać na pokazanie się następnych obcych – pół godziny przed limitem wyznaczonym przez *Ripley*, *Brewster* uniósł statek w powietrze. Gdyby nadlecieli, lepiej żeby mieli wolne miejsce do lądowania...

Tully zmarszczyła brwi.

– Zaczekajcie, to nie oni...

– Któżby inny...? – zaczął *Wilks* i przerwał.

Pochylił się nad ramieniem *Marii* i sprawdził odczyt. To był inny statek, większy. W czasie gdy mu się przyglądał, pojazd zbliżył się do obozu i zniżył lot...

– Rozbije się – odezwała się chrapliwym głosem Tully.

To byli oni, musieli to być oni i byli o włos od katastrofy. *Wilks* zacisnął pięści i czekał.

Statek nazywał się *Coleman*, sądząc z napisów na konsoli. Dziwne, że zauważyła to w takiej chwili. Obserwowała horyzont najlepiej jak potrafiła, ale rozsypujący się statek trząsał się i zataczał alarmująco. Raz po raz wykrzykiwała imię *Billie*. Bez rezultatu. Nie było czasu na panikę. Na całej konsoli błyskały światełka alarmowe, mówiąc jej, że lot może zaraz zakończyć się katastrofą.

Byli już prawie w obozie, kiedy błyskające jej nad głową światełko rozjarzyło się jaskrawą czerwienią.

– Schodzimy w dół! – krzyknęła najgłośniejszym głosem jaki potrafiła.

Pot zmoczył jej włosy. Obniżyła lot statku, modląc się, żeby upadek nie zabił ich, kiedy silniki zatrzymają się zupełnie.

Statek ściał czubki drzew i uderzył o ziemię, ślizgając się po jej powierzchni.

– Łądujemy, szybko! – zawołał Wilks. Całe ciało trzęsło mu się i prężyło, kiedy Brewster sprowadzał *Kurtza* w dół.

Billie otworzyła oczy. Była poraniona i bolała ją żołądek... Wszystko było jakieś dziwne, przechylone. Usiadła, potrząsnęła głową zaskoczona...

– Amy? – skrzeczący szept wydobył się z jej wyschniętego gardła.

Dziewczynka wczepiona była w fotel po drugiej stronie pomieszczenia. Na dźwięk głosu podniosła opuchniętą od płaczu buzię i popatrzyła na nią.

– Twój Wujaszek nas wysłał – powiedział Billie. – Jest bezpieczny.

– Naprawdę? – oczy dziecka rozszerzyły się nagle.

– Tak, naprawdę.

Twarz dziewczynki zmieniła się. Wyraz rezygnacji nagle zniknął z jej oblicza. Łzy jednak ciągle toczyły się po policzkach. Dziecko wstało i przeszło przez pokój w kierunku Billie, która wyciągnęła ramiona. Amy rzuciła się w nie i przytuliła mocno.

Billie, pomimo swych ran, nie poczuła bólu.

Tak naprawdę, to nigdy w swoim życiu nie czuła się lepiej.

Ripley wpadła do zrujnowanego pomieszczenia i ujrzała obejmującą się parę. Dźwięk silników *Kurtza* nad głową zdawał się być piękną muzyką, doskonałym uzupełnieniem obrazu, jaki miała przed oczami.

– Zabierajmy się stąd – powiedziała.

Łzy płynęły jej po policzkach po raz pierwszy, odkąd pamiętała. Mogła płakać. Jest jeszcze coś, dla czego warto żyć.

## ROZDZIAŁ 30

Kurtz uniósł się w górę i poleciał do miejsca, w które wycelowane były ładunki Orony.

Wilks stał w drzwiach działu medycznego.

Billie i Ripley były ranne, ale nie tak poważnie, jak wydawało się na początku. Obydwie miały poparzenia od kwasu, a Billie dodatkowo nawdychała się trujących wyziewów palącego się latacza, jednak wszystko zdawało się zmierzać ku lepszemu. Jones zbadał, czy dziecko nie zostało zaimplantowane. Dziewczynka była czysta.

Skończone.

„Prawie” – natychmiast upomniał się w myślach.

Czuł się teraz naprawdę wspaniale. Co za odmiana. Sposób w jaki uśmiechnęła się do niego Billie przypominał mu, że musi coś z tym zrobić...

Pomyślał, że zakończenie wywoła w nim rodzaj pustki, ale było wręcz przeciwnie. Przecież jest jeszcze cały wszechświat. Co prawda, jest już stary, ale jeszcze nie martwy.

Jeszcze długo nie.

Dla takiego straceńca, dla cholernego komandosa, który stracił mnóstwo czasu, oczekując na koniec, to co zrobił teraz, miało wreszcie jakąś wartość. Czas na jego ruch.

Tak zdecydował.

Billie leżała na kozetce i czuła się strasznie śpiąca. Cokolwiek zrobił z nią Jones, -było to dobre.

Amy i jej Wujek właśnie wyszli do jadalni, trzymając się za ręce. Wcześniej siedzieli przez godzinę przy stole i opowiadali swoją historię przerywaną milczeniem i westchnieniami. Amy prawie przez cały czas płakała. Emocjonalne rany goją się

bardzo powoli, Billie wiedziała o tym od dawna. Była tu jednak po to, żeby pomóc tej zagubionej dziewczynce.

Poczuła tak ogromne wewnętrzne uspokojenie, jakiego nigdy dotąd nie odczuwała. Skończyło się ukrywanie. Przyzwyczyła się do ludzi nie wiele więcej, niż to przestraszone dziecko. Całe jej dotychczasowe życie dosłownie zalane było łzami. Jednak udało jej się przeżyć.

Jeszcze lepiej – wszyscy przeżyli. Ripley, Wilks, Amy i jej Wujek, cała reszta. Teraz mogli odlecieć.

Dokąd, nie wiedziała. Poczuła, jak świadomość powoli znika, odpływa, ale nie obchodziło jej to. Była w niej miłość... do Amy, do Dawida – jak trudno było myśleć o nim w ten sposób. Dawid, nie Wilks. Musi się do tego przyzwyczyać. Wszystko się ułoży...

Billie usnęła.

Ripley nieświadomie dotknęła plastikowego opatrunku na ramieniu i popatrzyła na pusty ekran monitora. Siedziała przy konsoli. Obok niej byli Tully, Wilks i McQuade.

Widząc Amy i Billie razem, przypomniała sobie kilka wydarzeń ze swojej przeszłości. Uczucia, które pamiętała, były silne i wyraziste. Nieważne czy były sztuczne, czy nie. Odegrała znaczącą rolę w życiu tych ludzi i odkryła coś w sobie. Coś takiego, o czym nigdy nie myślała – szacunek do własnej osoby. Teraz naprawdę przestało obchodzić ją, kim jest — czy może, czym jest. Nie było to już dla niej powodem do obaw...

– Kiedy tylko będziesz gotowa – odezwała się Tully.

Ripley położyła palce na przyciskach. Nagły strumień energii przeniknął jej ciało. Jakie słowo powinna wpisać, jakie słowo może stanowić najlepsze zakończenie tej historii? To oczywiście nie miało znaczenia – każde pięć liter wprowadzonych w kanał o odpowiedniej częstotliwości wyśle sygnał, który zapoczątkuje odliczanie, sygnał, który uruchomi zegar. Poczuła, że jest to



jednak bardzo ważne, jako symboliczny gest oznaczający zakończenie...

Po chwili wprowadziła słowo ŻYCIE i patrzyła na nie przez kilka sekund. Tak. To było właśnie to.

Śmiało wyciągnęła rękę w kierunku tego jedyne go przycisku.

**KONIEC**